

Polska Zbrojna

**DODATEK
KONCEPCJA
OBRONNA RP**

INDEKS 417 459 ISSN 0867-4523

NR 6 (854) CZERWIEC 2017

CENA 6,50 Zł (w tym 8% VAT)

NAD MOSULEM BYŁO GĘSTO

**POLSCY PIŁOCI
W KUWEJCIE
ZAANGAŻOWANI
W WALKĘ
Z TERRORYSTAMI**

WALDEMAR DZIAK

o najbardziej
tajemniczym
kraju świata

WOJSKA OBRONY TERYTORIALNEJ

**ZAWSZE GOTOWI, ZAWSZE BLISKO -
ZGODNIE Z TĄ MAKSYMĄ
BĘDĄ DZIAŁAĆ TERYTORIALSI**

G[OT]OWI



200 stron **fotografii lotniczych** *zespołów akrobacyjnych z całego świata*



*Obejrzyj
fragment
albumu*

Jedyny taki album w Polsce
zamów u nas ↙

BIBLIOTEKA POLSKI ZBROJNEJ

sekretariat@zbrojni.pl tel.: (48) 261 845 365, (48) 261 840 400

Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

„ZAWSZE GOTOWI, ZAWSZE BLISKO”
TO DEWIZA ŻOŁNIERZY WOJSK
OBRONY TERYTORIALNEJ. JUŻ
WPROWADZAJĄ JĄ W ŻYCIE.
W BIAŁYMSTOKU, LUBLINIE I RZESZOWIE ZŁOŻYLI
WOJSKOWĄ PRZYSIĘGĘ.

Wobecności ministra Antoniego Macierewicza i dowódcy WOT-u gen. bryg. Wiesława Kukudy prawie 400 osób gotowych do służby dopełniło wojskowej tradycji. Terytorialsi mają też za sobą pierwsze szkolenia, m.in. „szesnastki” na poligonie w Nowej Dębie. Kiedy odwiedziliśmy ich w czasie tych ćwiczeń, wszyscy mówili jednym głosem, że właśnie spełniają swoje marzenia.

Kierownictwo Ministerstwa Obrony Narodowej zaprezentowało rezultaty zakończonego właśnie Strategicznego Przeglądu Obronnego. Dzięki wielomiesięcznej pracy resortu i analityków wyznaczono kierunek, w którym Wojsko Polskie powinno podążać w ciągu najbliższych 15 lat. Zespół pracujący nad „Koncepcją obronną Rzeczypospolitej Polskiej”, uwzględniając potencjalne zagrożenia, opracował listę niezbędnych, priorytetowych zmian w siłach zbrojnych. Jego wnioski znacząco różnią się od wyników poprzedniego przeglądu, sprzed sześciu lat, szczególnie jeśli chodzi o ocenę zagrożenia wojną na pełną skalę. Kierownictwo resortu zwraca uwagę, że nie należy lekceważyć sytuacji za naszą wschodnią granicą, na Bliskim Wschodzie czy w Afryce Północnej. Na mocy tego ważnego dokumentu będą zapadać kluczowe decyzje dotyczące polityki obronnej, modernizacji uzbrojenia i nowego systemu dowodzenia. Zachęcamy do zapoznania się z jawną częścią „Koncepcji obronnej RP”, którą dołączamy do numeru.

Zapraszamy wszystkich czytelników miesięcznika „Polska Zbrojna” do wzięcia udziału w drugiej edycji konkursu literackiego „Polski Żołnierz – etos i duma – na przykładzie historycznym lub współczesnym”, który organizujemy z okazji Święta Wojska Polskiego. Dzięki pracom nadesłanym do redakcji w ubiegłym roku mieliśmy okazję poznać wspaniałych młodych ludzi, a z niektórymi nawiązaliśmy współpracę na dłużej. Czekamy na Państwa prace!



Zdjęcie na okładce:
PGZ SA

NR 6 (854)
CZERWIEC 2017

TEMAT NUMERU

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

10 / Terytorialsi w gotowości

Nowa siła zbrojna – nowe wyzwania.
Pokazujemy WOT od kulis.

PAULINA GLIŃSKA
20 / Autorytet lidera

Ppor. Paweł Wołosz o wyzwaniach
związanych ze służbą w wojskach obrony
terytorialnej.

EWA KORSAK,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
22 / Ochotnicy na start
Terytorialsi na poligonie w Nowej Dębie.

PIOTR RASZEWSKI
**26 / Legia mocno
terytorialna**
Z Legii Akademickiej do WOT-u.

ARMIA

MICHAŁ ZIELIŃSKI

30 / Nad Mosulem było gęsto

Jakie zadania wykonują nasi żołnierze
w Kuwejcie?

BOGUSŁAW POLITOWSKI
38 / Instynkt czołgisty
Plut. Rafał Rutkowski
o służbie pancerniackiej
i swojej miłości.

EWA KORSAK,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
40 / Psy wojny
Operatorzy GROM-u o czworonożnych
towarzyszach walki.

MICHAŁ ZIELIŃSKI
44 / Tango nad Litwą
Polacy w misji „Baltic Air Policing”.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
**50 / U nas zawsze coś się
dzieje**

Grupa Jednostek Pływających w cyklu
„Wojsko od kulis”.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

56 / Żołnierz kompletny

Sierż. Zbigniew Piech nie ustaje
w zbieraniu kolejnych doświadczeń
i umiejętności, które mogą przydać się
w służbie.

ARSENAŁ

KRZYSZTOF KUSKA

66 / Burza w szklance wody

Jaka jest przyszłość myśliwców F-15?

TADEUSZ WRÓBEL
70 / Kłopotliwy ogier

Amerykański program ciężkiego
śmigłowca transportowego pod lupą.

TADEUSZ WRÓBEL
74 / Gromowładni

Polskie systemy przeciwlotnicze bardzo
krótkiego zasięgu.

KRZYSZTOF WILEWSKI
80 / Różgi boga

O militaryzacji kosmosu
i kosmicznej broni.

Znajdziesz nas tutaj:



TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Ewa Korsak, Magdalena Miernicka, Bogusław Politoski, Małgorzata Schwarzgruber, Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel, tel.: 261 845 244, 261 845 604; Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: 725 880 221; Rafał Ciałosiński, Andrzej Fajfara, Tomasz Gos, Krzysztof Kaucz, Piotr Korczyński, Krzysztof Kubiak, Krzysztof Kuska, Michał Niwicz, Tomasz Otlowski, Piotr Raszewski, Robert Sendek, Przemysław Wywiat, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kepka, Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244; Renata Gromska, January Szustakowski, tel.: 261 845 502

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Jaszczuk (kierownik), Agnieszka Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Małgorzata Szustakowska, Piotr Zarzycki, tel. 261 845 387, 261 845 180, faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel: 542 315 201, 502 012 187
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 26.05.2017 r.

DRUK ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobylka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych „Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

- www.polska-zbrojna.pl
- www.prenumerata.ruch.com.pl
- www.garmondpress.pl/prenumerata
- www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”, dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER

Narodowe Archiwum Cyfrowe.
220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.plTreść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400 Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

**84 /
Bliskowschodni
taniec Trumpa**

Czy prezydent USA wytycza nowe ścieżki w polityce, czy też wraca do rozwiązań sprzed kadencji Baracka Obamy?

TADEUSZ WRÓBEL

**91 / Panowanie
na oceanach**

Chiny marzą o wielkiej ekspansji morskiej.

TADEUSZ WRÓBEL

**94 / Jeszcze bardziej gorący
kartofel**

Prof. Waldemar J. Dziak

o nieprzewidywalnym wodzu Kim Dzong Unie i jedynym państwie na świecie, które może wpłynąć na politykę Korei Północnej.

KRZYSZTOF KAUCZ

98 / Gra pozorów

Co Koreańczycy pokazali na wielkiej paradzie?

WITOLD REPETOWICZ

101 / Patrzą śmierci w oczy

Kurdowie – skuteczna broń w walce z Państwem Islamskim.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

104 / Powrót do przeszłości

Zmiany w Bundeswehrze i niemieckiej koncepcji obrony.

ROBERT SENDEK

**108 / Kręta droga
do nowoczesności**

Regionalny wyścig zbrojeń na Bałkanach.

HISTORIA

ROBERT SENDEK

**112 / Katyń
złamał mi życie**

Co się stało z dr. Markiem Markowem, członkiem komisji badającej w 1943 roku okoliczności mordu katyńskiego?

PRZEMYSŁAW WYWIAT

**118 / Niepozorny Poleszuk
przywódcą narodu**

Najbardziej znany Polak swoich czasów – Tadeusz Kościuszko.

TOMASZ GOS

124 / Smok z Elbląga

Pierwszy polski okręt zaczęto budować już w XVI wieku.

PIOTR KORCZYŃSKI

**128 / Młt galicyjskiej
Somosierry**

Straceńcza szarża 13 Pułku Ułanów pod Custozą.

TADEUSZ WRÓBEL

134 / Rodzina farmanów

W cyklu „Niezwykłe maszyny” – francuskie ciężkie czterosiłnikowe bombowce.

HORYZONTY

ANNA DĄBROWSKA

**138 / Ci ludzie
walczyli o naszą
wolność**

Jak Holendrzy uczcili pamięć polskich pilotów?

KADR





KIEROWCA FRANCUSKIEGO CZOŁGU LECLERC podczas zawodów Strong Europe Tank Challenge 2017, które miały miejsce na terenie ośrodka poligonowego w Grafenwoehr w Niemczech. W rywalizacji uczestniczyli także pancerniacy z 34 Brygady Kawalerii Pancernej.

FOT. RAFAŁ MNIEDŁO/11 LDKPanc

Wzmocniona obecność

Prezydent podpisał postanowienia o użyciu dwóch polskich kontyngentów.

Dokumenty podpisane przez Andrzeja Dudę to efekt decyzji podjętych podczas ostatniego szczytu NATO w Warszawie. Przedstawiciele państw członkowskich zdecydowali wówczas o wzmocnieniu wschodniej flanki sojuszu. W Polsce rozmieszczone zostały pododdziały z USA, Wielkiej Brytanii i Rumunii. Wkrótce dołączą do nich siły także z Chorwacji. Nasi żołnierze z kolei mają służyć w Rumunii i na Łotwie. W pierwszym z tych krajów polski kontyngent tworzy 223 wojskowych,

głównie z 17 Brygady Zmechanizowanej w Międzyrzeczu. Uzupełnią go specjaliści z 10 Brygady Logistycznej oraz 11 Batalionu Dowodzenia. PKW będzie funkcjonować w składzie wielonarodowej batalionowej grupy bojowej NATO. Razem z naszymi żołnierzami mają służyć wojskowi z Kanady, Niemiec, Holandii, Turcji, Wielkiej Brytanii oraz Stanów Zjednoczonych. Podczas półrocznej misji wojska będą się koncentrować przede wszystkim na wspólnym szkoleniu.

Drugi kontyngent – do 200 osób – wejdzie w skład batalionowej grupy bojowej na Łotwie. **Polska armia wyśle kompanię czołgów PT-91 Twardy z 9 Brygady Kawalerii Pancernej w Braniewie.** Polscy żołnierze, razem z wojskowymi z Włoch, Albanii i Słowenii, będą służyć pod kanadyjskim dowództwem. Zgoda na użycie kontyngentu obejmuje także Litwę i Estonię, bo w ramach zaplanowanych ćwiczeń żołnierze będą przemieszczać się w obrębie państw bałtyckich. PZ, PG, MM ■

Jastrzębie na straży

„Orlik” po raz siódmy nad krajami bałtyckimi.

Polscy lotnicy w ramach natowskiej misji „Baltic Air Policing” strzegą powietrznych granic krajów bałtyckich od 1 maja do 31 sierpnia 2017 roku. W składzie Polskiego Kontyngentu Wojskowego „Orlik” VII służy 140 żołnierzy i pracowników wojska. Główne siły wystawiła 31 Baza Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach, wspierają ją lotnicy z 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego z Łasku, nawigatorzy z Centrum Operacji Powietrznych, specjaliści z Szefostwa Służby Hydrometeorologicznej, żołnierze Żandarmerii Wojskowej, a także ze Służby Wywiadu Wojskowego i Służby Kontrwywiadu Wojskowe-

go. Dyżur przejęli od pilotów z holenderskich sił powietrznych. Po raz pierwszy w tej natowskiej misji biorą udział cztery polskie samoloty F-16. Dotąd do patrolowania powietrznych granic wysyłaliśmy myśliwce MiG-29. Dowódcą PKW „Orlik” VII jest ppłk pil. Piotr Ostroch, starszy inspektor bezpieczeństwa lotów w 31 Bazie.

Żołnierze pełnią całodobowe dyżury bojowe, patrolują przestrzeń powietrzną Litwy, Łotwy i Estonii – krajów, które nie mają własnego lotnictwa bojowego. Obowiązkiem pilotów jest także wsparcie załóg cywilnych lub wojskowych samolotów, które znajdują się w sytuacji awaryjnej. PZ, MKS ■

Misja w Kosowie

Jesteście ambasadorami sił zbrojnych. Od waszego wyszkolenia, od waszych umiejętności będzie zależało to, (...) jaki będzie wizerunek Polski w tym szczególnym regionie Europy”, mówił w Gliwicach podsekretarz stanu w MON Bartłomiej Grabski podczas pożegnania żołnierzy XXXVI zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego KFOR. Zmiana liczy ponad 260 żołnierzy, w tym blisko 170 z 6 Batalionu Powietrznodesantowego z Gliwic. Dowodzi nią ppłk Robert Kruz. Polska uczestniczy w misji NATO w Kosowie od 1999 roku. PKW KFOR wykonuje zadania stabilizacyjne przez monitorowanie przestrzegania porozumień i traktatów międzynarodowych. Polscy żołnierze m.in. przeciwdziałają zorganizowanej przestępczości, przemytowi, korupcji oraz wspierają władze i organy porządkowe w utrzymywaniu bezpieczeństwa. AD ■

➤ O ćwiczeniach będących elementem misji „Baltic Air Policing” na str. 44-47.

TOMASZ
SZATKOWSKI

Przemysłany model



Drodzy Czytelnicy „Polski Zbrojnej”, 22 maja 2017 roku w Akademii Sztuki Wojennej zaprezentowałem jawny dokument, będący wynikiem Strategicznego Przeglądu Obronnego (SPO). „Koncepcja obronna RP” wieńczy trwające niemal rok prace kierowanego przeze mnie zespołu. Było to najbardziej ambitne przedsięwzięcie tego typu we współczesnej historii resortu obrony narodowej.

Kierownictwo MON-u zainicjowało w lipcu 2016 roku Przegląd, bo wyszło z założenia, że dotychczasowy rozwój sił zbrojnych nie był odpowiednio przemysłany i opierał się na błędnych założeniach, w szczególności dotyczących środowiska bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Złe rozpoznanie zagrożeń przez lata w istotny sposób wpływało na model organizacji Sił Zbrojnych RP, plany modernizacyjne i zakupowe, a także szkolenie czy model utrzymywania rezerw. Jednocześnie, wynikający z konstytucji priorytet wojska, którym jest obrona kraju, nie zawsze był stawiany na pierwszym miejscu. Fundamentem Strategicznego Przeglądu Obronnego 2016 było przekonanie, że siły zbrojne przede wszystkim powinny służyć potrzebom obronnym państwa. Proponowana wizja rozwoju polskiej obronności odpowiada na to wyzwanie. Jest ona realistyczna zarówno pod względem operacyjnym, jak i ekonomicznym. Tezy w niej postawione zostały zweryfikowane za pomocą zróżnicowanych narzędzi, takich jak gry wojenne, ćwiczenia dowódczo-sztabowe czy symulacje budżetowe i operacyjne.

Podzielony na grupy badawcze zespół SPO diagnozował poszczególne obszary systemu obronnego państwa, a następnie wypracował rekomendacje, które złożyły się na spójną wizję rozwoju polskiej obronności w perspektywie 15 lat. Choć 2032 rok może się wydawać odległą perspektywą, planowanie długoterminowe w kwestiach obronnych jest niezbędne. Niektóre ze zmian są już wdrażane, inne uwidocznia się w dalszej perspektywie. Wynika to m.in. z wygospodarowania w przyszłości dodatkowych funduszy na obronność, przewidzianych w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Zaplanowany przez ministra Mateusza Morawieckiego wzrost wydatków obronnych do 2,5% PKB w 2030 roku jest w pełni uzasadniony.

W Przeglądzie istotne są rekomendacje dotyczące modelu przyszłych Sił Zbrojnych RP. Realizacja ich zapewni Polsce odpowiedni potencjał odstraszania, a w razie spełnienia się najbardziej pesymistycznego scenariusza – możliwość obrony. Postulujemy m.in. budowę własnych zdolności antydostępowych, opartych na integracji rozwiniętych systemów rozpoznania i rażenia. Nasze analizy wykazały, że efektywnym uzupełnieniem dla tego typu zdolności mogą być jednostki wojsk obrony terytorialnej, działające w ścisłej koordynacji z wojskami operacyjnymi.

Nasze plany dotyczą nie tylko samych sił zbrojnych, lecz także ich otoczenia organizacyjnego. Jednym z najważniejszych zadań postawionych przed moim zespołem było zaproponowanie nowego, bardziej efektywnego systemu dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP. Przygotowaliśmy też rekomendacje dotyczące odbudowy systemu pozamilitarnych przygotowań obronnych czy kierunków, które powinna przyjąć opracowywana w MON Narodowa Polityka Zbrojeniowa.

SPO 2016 pod wieloma względami był wydarzeniem przełomowym. Nie możemy jednak pozwolić, aby stał się tylko pojedynczym impulsem do działania. Aby stworzyć trwałe podstawy do prowadzenia racjonalnej polityki obronnej, chcemy uczynić Strategiczny Przegląd Obronny elementem cyklicznego procesu planistycznego. Realizacja założonych celów powinna być rozliczana, metody planistyczne zaś doskonalone. Przyjęty przez nas plan zmian jest ambitny, ale realistyczny. Zachęcam Państwa do zapoznania się z nim i lektury „Koncepcji obronnej RP”.



Podsekretarz stanu w MON TOMASZ SZATKOWSKI jest pełnomocnikiem ministra obrony narodowej do spraw Strategicznego Przeglądu Obronnego.

TEMAT NUMERU

/ WOJSKA OBRONY TERYTORIALNEJ



PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

TERYTORIAŁSI W GOTOWOŚCI

Mają wspierać lokalne społeczności, pomagać w zwalczaniu klęsk żywiołowych, współdziałać z wojskami operacyjnymi. Docelowo w siłach zbrojnych będzie ich około 53 tys.



ROBERT SUCHY/CO.MON



Powstanie wojsk obrony terytorialnej (WOT) było szeroko komentowane przez polityków, analityków, dziennikarzy oraz wojskowych. Koncepcja powołania nowego rodzaju sił zbrojnych spotkała się z niemałą krytyką. Mimo szumu medialnego, plany stały się faktem. I jak pokazują statystyki dotyczące zainteresowania służbą w szeregach WOT-u, był to dobry ruch.

Od 1 stycznia 2017 roku wojska obrony terytorialnej są nowym, piątym rodzajem sił zbrojnych. Podlegają ministrowi obrony narodowej, a na czele formacji stoi dowódca WOT-u.

Misją terytorialsów jest obrona i wspieranie lokalnych społeczności, a do głównych zadań w czasie pokoju zalicza się m.in. przeciwdziałanie i zwalczanie skutków klęsk żywiołowych oraz prowadzenie działań ratowniczych w sytuacjach kryzysowych. W czasie wojny mają wspierać wojska operacyjne w strefie bezpośrednich działań bojowych, a poza nią stanowić siłę wiodącą. Zgodnie z deklaracjami resortu obrony w szeregach WOT-u ma służyć około 53 tys. żołnierzy, którzy będą przydzieleni do 17 brygad rozlokowanych na terenie całej Polski.

KTÓRZY DO WOT?

Choć nabór do wojsk obrony terytorialnej ruszył w styczniu 2017 roku, już wcześniej było wiadomo, że nie zabraknie ochotników do służby. Zgodnie z danymi zbieranymi przez wojewódzkie sztaby wojskowe już pod koniec 2016 roku zainteresowanie służbą w WOT odnotowano na terenie całego kraju, ale najwięcej chętnych zgłosiło się tam, gdzie powstały trzy pierwsze brygady: w Białymstoku, Lublinie i Rzeszowie. „Mamy bardzo dużo osób zadeklarowanych do służby i wydanych kart powołania na pierwsze turnusy szkoleń wyrów-

nawczych i podstawowych w trzech województwach. Założyliśmy sobie jednak, by w województwach, w których nie budujemy jeszcze WOT-u, ludzie nie odchodzili z kwitkiem. Chcemy, by w szeregi wojsk obrony terytorialnej mógł wstąpić każdy Polak, jeśli spełni wymagania psychofizyczne i zdrowotne”, mówi gen. bryg. Wiesław Kukuła, dowódca formacji.

Wśród kandydatów do pełnienia tzw. terytorialnej służby wojskowej (TSW) są osoby reprezentujące różne środowiska i grupy zawodowe. Dominują żołnierze rezerwy, w tym byli zawodowcy, ale też członkowie organizacji proobronnych. Oczywiście wśród ochotników nie brakuje i takich, którzy dotychczas nie mieli do czynienia z wojskiem. „Zgłaszają się do nas studenci i pracownicy naukowcy wyższych uczelni. Są zawodowi kierowcy, sprzedawcy, operatorzy maszyn budowlanych. Kwalifikacje kandydatów są bardzo zróżnicowane. Niemal 70% ochotników deklaruje zatrudnienie, 25% to studenci. Ponadto 36% ma wykształcenie wyższe, a zdecydowana większość średnie”, przyznaje ppłk Marek Pietrzak, rzecznik prasowy Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej (DWOT).

Według kadry DWOT-u, duże zainteresowanie służbą w szeregach terytorialsów można tłumaczyć m.in. tym, że ta formacja daje możliwość pogodzenia życia rodzinnego ze służbą wojskową. „Są różne motywacje, m.in. takie, które mocno eksponujemy, czyli tradycje rodzinne, patriotyzm, wychowanie. Zgłaszają się też ludzie, którzy zwyczajnie chcą zrobić w swoim życiu coś więcej, rozwijać się. Sądzimy, że odnajdą się w służbie”, przyznaje dowódca WOT-u. Podkreśla jednocześnie, że same chęci do służby nie wystarczą. Nabór ma bowiem charakter konkursowy i poza spełnieniem wymogów formalnych (wiek, wykształcenie, zdolność psychiczna i fizyczna do służby)

SŁUŻBA W WOT MOŻE TRWAĆ OD ROKU DO SZĘŚCIU LAT, Z MOŻLIWOŚCIĄ JEJ PRZEDŁUŻENIA

liczą się też kwalifikacje i umiejętności. Nie bez znaczenia jest także sprawność fizyczna, choć w tym wypadku normy kwalifikujące są niższe od tych obowiązujących żołnierzy zawodowych. „Po prostu wiemy, jak wygląda kondycja fizyczna młodzieży. Nie jest jednak sztuką odrzucić znaczną część kandydatów już na samym początku. Jesteśmy formacją masową, a nie elitarną. Niekoniecznie trzeba być najlepszym. Ważne jest, by mieć potencjał do rozwijania się”, dodaje generał.

PERFEKCYJNE SZKOLENIE

Wojska obrony terytorialnej od pozostałych rodzajów sił zbrojnych różni nie tylko przeznaczenie i sposób naboru ochotników. Całkowicie odmienna jest struktura WOT-u. Żołnierze zawodowi mają stanowić w tym wypadku zaledwie 10% całości, a trzonem formacji będą rezerwiści i ochotnicy, którzy nie mieli wcześniej kontaktu ze służbami mundurowymi. Ci ostatni będą pełnić tzw. terytorialną służbę wojskową, która będzie się dzielić na służbę rotacyjną – w jednostce wojskowej przez minimum dwa dni w miesiącu w czasie wolnym od pracy, oraz dyspozycyjną, w czasie której żołnierze będą normalnie wykonywać swoją pracę lub inne obowiązki. Cały czas mają być jednak gotowi, by stawić się do służby rotacyjnej w terminie i miejscu wskazanym przez dowódcę. Ta elastyczność w byciu rezerwistą ma w jak najmniejszym stopniu zakłócać dotychczasowy tryb życia rodzinnego i zawodowego żołnierza.

Różnice dotyczą także szkolenia żołnierzy TSW. Mają się nim zająć zarówno wojskowi, jak i cywile. „Dla nas liczą się doświadczenia i umiejętności. Dziś w batalionach i brygadach mamy duże piony szkolenia. Poza tym budujemy trzy mobilne zespoły szkoleniowe (MZS): w Lublińcu, Warszawie i Pruszczu Gdańskim. W każdym będzie 12 instruktorów – byłych żołnierzy wojsk specjalnych, a także funkcjonariuszy innych for-

macji. Ich doświadczenia i wiedza będą bezcenne dla terytorialsów. Zakładamy również, że będziemy kontraktować usługi szkoleniowe poza siłami zbrojnymi”, zapowiada dowódca WOT-u.

Trzy mobilne zespoły instruktorskie, umownie nazywane: Południe, Centrum i Północ, będą miały swoje specjalizacje. Grupa Południe ma się specjalizować w szkoleniu z tzw. zielonej taktyki, czyli prowadzenia działań w rejonach słabo zurbanizowanych i w górach. Grupa Centrum zostanie ukierunkowana na szkolenie z taktyki czarnej, czyli z prowadzenia walki w terenach miejskich. Grupa Północ z kolei zajmie się szkoleniem z ratownictwa i ochrony infrastruktury krytycznej. Idea działania powoływanych zespołów opiera się na metodzie treningowej stosowanej przez siły specjalne podczas szkolenia nowych formacji. Taki model sprawdził się także w Polsce, gdy kilka lat temu tworzone Dowództwo Wojsk Specjalnych. Wówczas polskich komandosów szkolili Amerykanie zgrupowani w mobilnych zespołach treningowych (Mobile Training Team).

Zgodnie z założeniami MZS-y będą podlegać bezpośrednio Dowództwu Wojsk Obrony Terytorialnej. Ich podstawowym zadaniem będzie szkolenie instruktorów i kadry dowódczej WOT-u. Będą działać na terenie całej Polski z godnie z zapotrzebowaniem poszczególnych brygad. Zatrudnienie w zespołach znajdą byli operatorzy o różnych specjalnościach, m.in. ratownicy pola walki, snajperzy, łącznościowcy, JTAC-y oraz wojskowi z pododdziałów zabezpieczenia desantowania i szkoleniowcy. Do MZS-ów przystąpią nie tylko wojskowi, lecz także przedstawiciele innych służb mundurowych, m.in. funkcjonariusze z pododdziałów antyterrorystycznych policji.

SZESNASTKI NA START

W WOT jest nowatorskie podejście do samego szkolenia. Ci, którzy mają już za sobą służbę wojskową, ➔



Wstęp do WOT!

Osoba zainteresowana służbą w WOT musi złożyć wniosek do wojskowej komendy uzupełnień (właściwej dla miejsca zamieszkania). Trzeba do niego dołączyć kopię dowodu osobistego, a także odpis (albo po okazaniu oryginału kopię) dokumentu stwierdzającego posiadane wykształcenie. Przydatne mogą się okazać także certyfikaty językowe, świadectwa ukończenia szkół, kursów lub uzyskania specjalizacji zawodowych, zaświadczenia o prawie wykonywania zawodu, rekomendacja władz pro-

obronnej organizacji pozarządowej. Postępowanie rekrutacyjne ma charakter konkursowy i obejmuje analizę złożonych dokumentów oraz rozmowę kwalifikacyjną. W wypadku ochotników, którzy nie pełnili czynnej służby wojskowej i nie złożyli przysięgi wojskowej, jest sprawdzana również ich wiedza ogólnowojskowa. Osoby, które przejdą ten etap rekrutacji, a nie miały orzeczonej zdolności do czynnej służby wojskowej, zostaną skierowane do wojskowych: komisji lekarskiej oraz pracowni psychologicznej. ■

PRAWA I PRZYWILEJE ŻOŁNIERZA OT

Opiniowanie służbowe – żołnierze terytorialnej służby wojskowej będą mu podlegać corocznie. Przełożeni ocenią, w jaki sposób żołnierz wykonuje swoje zadania, jak przestrzega dyscypliny wojskowej i przepisów o ochronie informacji niejawnych. W opinii będą mogły się znaleźć propozycje dalszej służby, w tym wyznaczenia żołnierza na inne stanowisko służbowe, mianowania na wyższy stopień, skierowania na kurs. W wypadku niespełnienia wymagań, np. oceny niedostatecznej w opinii czy niestawienia się na ćwiczenia, żołnierza będzie można zwolnić przed terminem zakończenia służby.

Finanse – żołnierzom terytorialnej służby wojskowej przysługuje comiesięczny dodatek z tytułu jej pełnienia oraz utrzymywania zdolności do natychmiastowego stawiennictwa w koszarach.

W praktyce rezerwiści otrzymują 300 zł miesięcznie za tzw. gotowość bojową i dodatkowo około 100 zł za każdy dzień szkoleń, w zależności od posiadanego stopnia wojskowego.

Pierwszeństwo w naborze – żołnierze TSW z co najmniej trzyletnią usługą będą mieli pierwszeństwo w ubieganiu się o służbę kandydacką czy zawodową, a także w naborze na stanowiska urzędnicze związane z obronnością.

Zwrot kosztów – żołnierze TSW zamieszkujący poza miejscem pełnienia służby mają prawo do zwrotu kosztów dojazdów z miejsca zamieszkania do miejsca pełnienia służby rotacyjnej i z powrotem.

Uprawnienia pracownicze – okres urlopu bezpłatnego w związku ze służbą rota-

cyjną udzielony przez pracodawcę będzie wliczany do czasu pracy, od którego zależą uprawnienia pracownicze, w tym np. urlop wypoczynkowy za dany rok. Czas służby rotacyjnej będzie się też wliczać do wysługi emerytalnej.

Dofinansowanie – żołnierze TSW będą mogli brać udział w szkoleniach i kursach, także podoficerskich i oficerskich, oraz liczyć na dofinansowanie kosztów nauki.

Urlopy – za każde 30 dni terytorialnej służby rotacyjnej żołnierzowi będą przysługiwały dwa dni urlopu wypoczynkowego. Do liczby dni służby będą zaliczane te spędzone zarówno na szkoleniach weekendowych, jak i na obowiązkowych raz w roku ćwiczeniach poligonowych. Terytorialsi zyskają także prawo do trzydniowego urlopu okolicznościowego i nagrodowego. ■

przechodzą tzw. szkolenie wyrównawcze, prowadzone przez cztery weekendy. W Lublinie przygotowaniem rezerwistów zajmuje się m.in. por. Michał Lachowicz. Pod jego okiem trenuje około 140 osób, głównie z okolic Chełma, Zamościa i Lublina. „Mamy zarówno ochotników, którzy niedawno zdjęli mundur, jak i osoby, które wiele lat temu przeszły służbę zasadniczą. Ta druga grupa wymaga większej uwagi, zwłaszcza że wojsko posługuje się już innym sprzętem i wyposażeniem niż kiedyś. Wśród szkolonych widać liderów, to głównie osoby, które niedawno zdjęły mundur”, opisuje por. Lachowicz. Na pierwszych zajęciach rezerwiści mają sprawdziany z WF-u i przypominają sobie zasady bezpieczeństwa w posługiwaniu się bronią. Podczas kolejnych weekendów przechodzą już zajęcia taktyczne

i strzeleckie. Po szkoleniu rezerwiści zasilą szeregi TSW we wszystkich trzech korpusach. „Szkolimy szeregowych, podoficerów i oficerów. W początkowym etapie program jest taki sam. Z czasem zadania są profilowane zgodnie z przynależnością do korpusu osobowego”, dodaje por. Lachowicz.

Dla wojskowych nowicjuszy są przewidziane szesnastodniowe szkolenia przygotowawcze. Na początku mają we wszystkich trzech sformowanych dotychczas brygadach podczas takich „szesnastek” szkoliło się niemal 400 terytorialsów. Około 370 osób złożyło potem przysięgę wojskową.

Zanim ochotnicy ruszyli na poligony, musieli przejść badania lekarskie oraz psychologiczne. Odebrali umundurowanie, a trening wojskowego abecadła rozpoczął

W SZEREGI AMERYKAN-SKIEJ GWAR-DII NARODO-WEJ

wstąpiło około 358 tys. żołnierzy, w tym 49,5 tys. jest w służbie czynnej (8% ogółu wojsk lądowych armii USA). Specyfiką organizacji jest regionalny charakter działania w lokalnych społecznościach. Podstawowym jej przeznaczeniem są wszelkiego typu działania wspierające regularne oddziały wojsk amerykańskich.



U.S. DOD

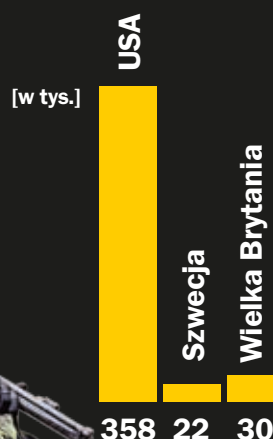
W SZWECJI istnieje licząca około 22 tys. członków ochotnicza organizacja obronna Hemvärnet. Podzielona jest na 40 batalionów, a każdy z nich na od dwóch do pięciu kompanii. Ich członkowie wykonują wszelkiego rodzaju zadania o charakterze lokalnym, takie jak wsparcie kryzysowe, monitorowanie granic, obrona i ochrona obiektów.



HEM VÄRNET

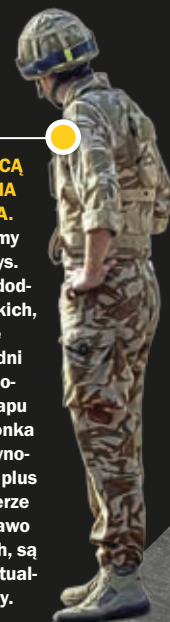
NIE TYLKO W POLSCE

Wiele państw posiada formacje mogące wypełniać takie zadania jak OT. Najsilniejszą strukturą tego rodzaju na świecie jest amerykańska Gwardia Narodowa.



FORMACJĘ WYPEŁNIAJĄCĄ ZADANIA TAKIE JAK OT MA TAKŻE WIELKA BRYTANIA.

Tamtejsza ochotnicza Army Reserve liczy ponad 30 tys. żołnierzy służących w pododdziałach lądowych, morskich, i powietrznych. Szkolenie podstawowe trwa do 59 dni w roku (na ogół weekendowo). Po przejściu tego etapu roczne zobowiązanie członka jednostki terytorialnej wynosi 19 dni (dwa weekendy plus obóz szkoleniowy). Żołnierze tej formacji otrzymują prawo do wielu ulg podatkowych, są też chronieni przed ewentualnymi zwolnieniami z pracy.



WCZEŚNIEJ NA ŚLĄSKU I W WIELKOPOLSCIE

Dowództwa brigad wojsk obrony terytorialnej (BOT) i pierwsze pododdziały w województwach śląskim i wielkopolskim (z dowództwami w Katowicach i Poznaniu) będą formowane już w 2018 roku. Rozpocznie się też budowa batalionów i kompanii lekkiej piechoty. Kompanie lekkiej piechoty śląskiej brygady będą miały profil miejski, część – górski oraz wodny. Pododdziały w Wielkopolsce mają mieć w większości charakter ogólny, a część będzie ukierunkowana na działanie w terenie wodnym i miejskim. Za rok rozpocznie się też formowanie batalionów lekkiej piechoty w Warszawie. Każdy z nich będzie liczył cztery kompanie – dwie o profilu miejskim, po jednej o profilu ogólnym i wodnym. Jeden z batalionów (z dowództwem w Zegrzu) ma działać na terenie prawobrzeżnej Warszawy i powiatów leżących po tej stronie Wisły. Batalion odpowiadający za tereny lewobrzeżnej Warszawy będzie stacjonował w stolicy.

od zajęć z rozkładania i składania karabinka Beryl. „W czasie kursu zapoznawali się też z podstawowymi uwarunkowaniami służby i zasadami bojowego zachowania. Uczyli się m.in. taktyki, zasad ratownictwa medycznego i bezpiecznego posługiwania się bronią. Odbyli też pierwsze strzelania ostrą amunicją”, mówi ppłk Pietrzak. Kolejne „szesnastki” ruszą w sierpniu, wrześniu i październiku.

„Obecny model szkolenia został skonstruowany na potrzeby budowy formacji o charakterze powszechnym. Nie stać nas na ośrodki, który przeszkoli tak dużą liczbę osób w ciągu roku. Dlatego robimy to w wielu miejscach Polski, w takiej właśnie formie. Przewiduję, że ostatni żołnierze w tym systemie będą szkoleni do około 2022 roku, czyli do czasu, gdy WOT zostaną

sformowane w całości. Tymczasem uruchomimy stacjonarny, dziewięciodniowy, podstawowy kurs lekkiej piechoty, który po wygaszeniu szkolenia w obecnym kształcie będą musieli ukończyć wszyscy nowo aplikujący do służby w WOT”, zapowiada dowództwo formacji.

Nowością w szkoleniu terytorialsów będzie także to, że żołnierze TSW będą mogli zdobywać oficerskie gwiazdki. Po zaliczeniu obowiązkowego szkolenia szesnastodniowego mają oni trafiać do studium wojskowego na wyższych uczelniach, np. Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych i Wojskowej Akademii Technicznej. Nauka jest przewidziana w trybie stacjonarnym przez miesiąc, a później przez 11 miesięcy będą się kształcić podczas weekendów. Ostatnim etapem ich





ĆWICZ Z TRENEREM PERSONALNYM

Obowiązkiem żołnierzy terytorialnej służby wojskowej będzie utrzymywanie na wysokim poziomie sprawności. Pomagać im w tym mają np. aplikacje treningowe na smartfony oraz dostęp do trenerów personalnych. Podczas szesnastodniowych szkoleń przygotowawczych żołnierze są badani przez urządzenia do analizy budowy ciała i zdają test sprawności fizycznej, który określa ich kondycję na początku służby. Na tej podstawie dla każdego terytorialsa został przygotowany indywidualny plan treningowy na cały rok. Nad postęпами w treningach będzie czuwał trener personalny. Po dziesięciu miesiącach służby żołnierze TSW zdadzą swój pierwszy egzamin, który zweryfikuje ich sprawność. W drugim roku służby będą się uczyć pływać (ci, którzy nie umieją), a pływający będą mogli zdobyć uprawnienia ratowników. Od trzeciego roku służby będą zdawać taki sam egzamin ze sprawności fizycznej jak żołnierze zawodowi. ■

edukacji będzie zaliczenie dwutygodniowych ćwiczeń. Po tym zostaną promowani na podporucznika TSW.

124 DNI SZKOLENIA

Absolwenci „szesnastek” i kursów wyrównawczych rozpoczną trzyletni cykl szkolenia, bo tyle ma trwać przygotowanie żołnierza TSW do walki. W pierwszym roku terytorialsi mają się uczyć podstaw taktyki i przetrwania na polu walki. Zajęcia będą się odbywać podczas 11 spotkań weekendowych oraz zintegrowanego, dwutygodniowego szkolenia w terenie. Podobny cykl przewidziano w drugim roku służby. Tu jednak nacisk zostanie położony na zajęcia specjalistyczne.

„Idea szkolenia żołnierzy WOT-u jest to, by dokument jego ukończenia miał znaczenie na rynku cywilnym. By umiejętności i kwalifikacje, które zdobędą, stanowiły korzyść, która buduje ich wartość na rynku pracy. By były przydatne dla lokalnych społeczności, ale również przyciągały do WOT-u osoby zainteresowane inwestowaniem w siebie”, podkreśla gen. Kukuła. Pośród przydatnych w armii specjalistów są kierowcy, ratownicy medyczni, nurkowie, skoczkowie spadochronowi.

Katalog specjalności jest ciągle w opracowaniu i będzie systematycznie rozszerzany. Ostateczny kształt dokument uzyska w czerwcu 2018 roku, kiedy pierwsze kompanie lekkiej piechoty rozpoczną etap szkolenia specjalistycznego. „Planujemy także kursy bardzo specjalistyczne, np. dotyczące rozpoznania meteorologicznego, naprowadzania zrzutów spadochronowych czy przygotowywania i zabezpieczania lądowisk polowych. Szkolenia specjalistyczne obejmą całe spektrum umiejętności, które zapewnią formacji efektywne wspieranie lokalnych społeczności, a także służb ratowniczych”, dodaje dowódca WOT-u.

To jednak nie wszystko. Żołnierze niektórych specjalności będą musieli dodatkowo zgłębiać swoją wiedzę. Tak będzie chociażby w wypadku operatorów dronów lub żołnierzy naprowadzających statki powietrzne na cele naziemne. „Szacujemy, że około 20% naszych ludzi będzie szkolonych w szerszym wymiarze. Dlatego gdy powołujemy ochotników do służby, pytamy ich o możliwość i chęć uczenia się poza normalnym wymiarem. Już dziś spora grupa kandydatów, zwłaszcza studentów, zgłasza swoją dyspozycyjność do tego typu zajęć, o ile

będą one organizowane w okresie wakacyjnym”, mówi gen. Kukuła.

Pod koniec drugiego roku żołnierze rozpoczną zgrywające szkolenia taktyczne na poziomie plutonu i kompanii. Trzeci rok będzie przeznaczony na zgrywanie kompanii i całego batalionu. Łącznie w ciągu trzech lat żołnierz TSW spędzi na szkoleniu nie mniej niż 124 dni szkoleniowe. Dowództwo formacji zapewnia, że tego rodzaju model szkoleniowy jest dostosowany do potrzeb WOT-u. Jak podkreśla kadra tego rodzaju sił zbrojnych, terytorialsi mają być lekką piechotą, więc nie będą wykorzystywać zaawansowanych technologicznie systemów uzbrojenia.

Niezależnie od planowanych szkoleń weekendowych i zintegrowanych, terytorialsi muszą się kształcić we własnym zakresie. Przewidziano naukę z wykorzystaniem platform e-learningowych, z użyciem zaawansowanych rozwiązań technologicznych. Docelowo każdy z żołnierzy ma otrzymać dostęp do platformy z materiałami do samokształcenia. „To sprawdzony w praktyce model nauczania, ale u nas takie pełne moduły ruszą w pewnych obszarach najwcześniej za trzy lata”, dodaje dowódca.

SPRZĘT Z GÓRNEJ PÓŁKI

Żołnierze WOT-u na razie są wyposażeni zgodnie ze standardem wojsk lądowych, ale w przyszłości ma się to zmienić. Mają oni bowiem dysponować sprzętem odpowiednim do zadań lekkiej piechoty. Dotyczy to m.in. karabinka MSBS. Jest to broń prosta w obsłudze, ergonomiczna i dopasowana do użytkowników praworęcznych i leworęcznych. Można ją modyfikować i strzelać z treningowej amunicji barwiącej. W czerwcu kilkadziesiąt sztuk MSBS kalibru 5,56 mm oraz dziewięciomilimetrowego pistoletu PR-15 Ragun dostaną do testów żołnierze 3 Podkarpackiej Brygady Obrony Terytorialnej. Jak informuje rzecznik prasowy DWOT-u, karabinki będą testowane przez żołnierzy zawodowych oraz terytorialnej służby wojskowej, ponieważ jednym z głównych celów testów dla WOT-u jest sprawdzenie, w jakim stopniu wdrożenie karabinka przełoży się na efektywność szkolenia. Uzbrojenie będzie też testowane przez byłych żołnierzy wojsk specjalnych, którzy tworzą mobilne zespoły szkoleniowe. Według dowódcy WOT-u, wprowadzenie nowego karabinka powinno się odbyć teraz, kiedy formacja startuje i u ponad 50 tys. żołnierzy będą się kształtować nawyki obsługi broni. „WOT szkolą się w innym trybie niż wojska operacyjne. Nie stać nas na kosztowne czasowe zmiany w systemach szkoleniowych. Karabinek wprowadzony dziś, będzie eksploatowany w WOT przez dziesięciolecia”, podkreśla generał.

Ponadto w wyposażeniu pododdziałów znajdą się także karabiny wyborowe kalibru 7,62 mm oraz broń dla snajperów kalibru 8,6 mm i 12,7 mm. W sekcjach będą także ciężkie karabiny maszynowe. Początkowo terytorialsi mają korzystać z UKM-ów, ale dowództwo WOT-u chciałoby, by w przyszłości ich podwładni mieli karabiny z krótką lufą Para Minimi. Żołnierze na początku będą używać także 60-milimetrowych moździerzów. Intencją DWOT-u jest, by w czasach ten ciężki sprzęt został zastąpiony lżejszym i nowocześniejszym uzbrojeniem, takim jak np. czeski Antos. „To lekka broń, którą żołnierze mogą przenosić na własnych plecach. Moździerz można szybko przygotować do otwarcia ognia, a przy tym cechuje go duża szybkostrzelność i zadowalająca celność”, mówi jeden z instruktorów WOT-u. W dwunastoosobowych sekcjach WOT będą wykorzystywane także rewolwerowe granatniki ręczne, przenośne przeciwlotnicze zestawy raketowe Piorun. Ważne dla obrony terytorialnej będą także bezzałogowe statki powietrzne w wersji rozpoznawczej i uderzeniowej (żołnierze dostaną je najwcześniej za rok). Jak informuje dowództwo WOT-u, drony będą wykorzystywane nie tylko w walce. Mają także służyć społeczeństwu, np. podczas poszukiwań osób zaginionych.

Terytorialsi będą bardzo dobrze wyposażeni w optoelektronikę. W sekcjach mają używać monokularów noktowizyjnych, a kierowcy – binokularów. Dodatkowo w ich wyposażeniu znajdzie się także termowizja (głównie dla snajperów). „Planujemy korzystanie z maszyn inżynierskich umożliwiających odgruzowywanie i kopanie umocnień. Ponadto, z samochodów ciężarowych obowiązkowo wyposażanych w pługi, z agregatów prądotwórczych, a także płaskodennych rzecznych łodzi bojowych. Myślimy też o stacjach do uzdatniania wody, tak żeby móc zasilać ludzi w wodę zdatną do picia”, dopowiada gen. Kukuła. Terytorialsi będą także pozyskiwać wyposażenie dla zespołów MERT (Mobile Exploitation and Reconnaissance Team, czyli zespół do rozpoznawania skażeń biologicznych, chemicznych i nuklearnych).

Planowane wydatki na wyposażenie i uzbrojenie WOT-u w ciągu trzech lat mają wynieść około 3,6 mld zł. „To wyposażenie otrzyma około 50% stanu sił zbrojnych. Po trzech latach wydatki spadną do poziomu 3%. WOT są relatywnie tanią formacją, a obecne zakupy to inwestycja, która szybko zacznie się zwracać”, kwituje dowódca formacji. W połowie maja MON podjęło decyzję o zakupie 500 samochodów Jelcz 442.32 wraz z pakietami logistycznym i szkoleniowym, które znajdą się w wyposażeniu wojsk obrony terytorialnej. ■

W latach pięćdziesiątych XX wieku rzucił studia na politechnice i wstąpił do wojska. Zasadniczą służbę wojskową odbył w szeregach 6 Brygady Powietrznodesantowej. Służył w jednostkach w Krakowie i Bielsku-Białej. „Chciałem służyć z najlepszymi, dlatego wybrałem desant. Skończyłem szkołę podoficerską i jako kapral z dumą nosiłem czerwony beret”, wspomina Arkadiusz Maślanka. Był wychowywany w duchu patriotycznym, wyrastał w szacunku do symboli narodowych i munduru. Przyznaje, że zawsze interesował się militariami, oglądał filmy wojenne, dużo czytał o armii. Decyzja o włożeniu munduru była dla niego kontynuacją zainteresowań.

OBUDZONE MARZENIA

Po „zette” chciał zostać w służbie nadterminowej, ale ostatecznie mu się to nie udało. „Żałowałem, ale szybko odnalazłem się w zupełnie innej dziedzinie”, mówi. Cywilną drogę zawodową związał z resocjalizacją. Ukończył studia na tym kierunku i pracował w ośrodku dla młodzieży uzależnionej od alkoholu i narkotyków, później w domu dziecka i w zakładzie poprawczym dla uzależnionych chłopców. „Moja praca zupełnie mnie pochłonęła i przestałem myśleć o służbie wojskowej. W przerwach od pracy z młodzieżą wyjeżdżałem w celach zarobkowych za granicę, spełniałem się także jako muzyk w zespole rockowym. Dużo się działo w moim życiu”, opowiada.

Kilkanaście lat później ponownie pomyślał o służbie w armii. „Wywodzę się z »czerwonych беретów«, więc kwestia honoru, godności i kodeksu spadochroniarza są dla mnie bardzo ważne. Marzenia o mundurze, uśpione przez pewien czas, odżyły na nowo”,

Po 20 latach ponownie włożył mundur i został żołnierzem wojsk obrony terytorialnej. „Czuję, że mogę zrobić coś dobrego dla kraju, dlatego zostałem terytorialsem”, mówi kpr. rez. Arkadiusz Maślanka.

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

CZTERDZIESTOLATEK Z POTENCJAŁEM



mówi. Znowu chciał być żołnierzem. Przez rok pracował nad kondycją fizyczną, dużo ćwiczył i przeszedł na dietę. Gdy odzyskał formę, ruszył na kwalifikacje do kilku jednostek z nadzieją na to, że ponownie włoży mundur. Testy przechodził pozytywnie, ale do wojska się nie dostał. „Jako czterdziestoletni podoficer z doświadczeniem jedynie ze służby zasadniczej nie miałem wielkich szans. Nie spodziewanie jednak przeczytałem gdzieś o formowaniu wojsk obrony terytorialnej”, wspomina. To była dla niego szansa na spełnienie marzeń o służbie. Podkreśla, że do WOT-u przekonało go to, że ta formacja pozwala łączyć pracę w resocjalizacji z obowiązkami żołnierza. „Ma to sens. Nie stracę dotychczasowego zarobku, a jednocześnie mogę służyć krajowi i realizować swoje pasje”, mówi.

Pierwsze kroki skierował do Wojskowej Komendy Uzupełnień w Białymstoku, gdzie teraz mieszka. Złożył odpowiednie dokumenty, dowiedział się także, iż może aplikować na roczne studium oficerskie WOT organizowane przez Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Złożył tam wymagane dokumenty, przeszedł badania lekarskie i psychologiczne. Niestety, podczas egzaminu sprawnościowego nie zaliczył jednej z konkurencji: biegu.

TRZECI RAZ

„Wróciłem do Białegostoku z niczym, ale się nie poddałem. Skoro nie mogłem wrócić jako zawodowy żołnierz, postanowiłem aplikować do ochotniczej służby w WOT. Znowu zaliczyłem odpowiednie testy i rozmowę kwalifikacyjną. I wreszcie się udało!”, mówi Arkadiusz Maślanka.

Niedawno skończył szkolenie wyrównawcze. „To strasznie męczące. Wiele się działo i było bardzo dynamicznie. Dużo strzelaliśmy, mieliśmy zajęcia z taktyki. Cóż, dziś mam 43 lata i muszę przyznać, że po wysiłku regeneracja następuje wolniej niż 20 lat temu, ale daję radę. Jestem na szkoleniu z fajnymi chłopakami, którzy chcą zrobić coś dobrego dla kraju. Podobnie jak ja, chcą od życia czegoś więcej”.

Hełm kuloodporny HBK 01

Maska przeciwwgazowa MP-6
Filtropochłaniacz FP-6

Mundur polowy

Kamizelka kuloodporna
Plate Carrier KBT-02

Priorytet: skuteczna ochrona.

Jest Pan żołnierzem od 25 lat, ale to właśnie w ostatnich miesiącach postanowił Pan zmienić korpus i zostać oficerem. Dlaczego?

Do decyzji o podjęciu nauki w studium oficerskim dojrzałem dość długo. Chciałem się rozwijać, ale częściowo realizowałem się na płaszczyźnie cywilnej. W latach 2000–2005 studiowałem w Akademii Podlaskiej na kierunku pedagogika, ze specjalnością przysposobienie obronne i obrona cywilna. W 2013 roku rozpocząłem czteroletnie studia doktoranckie z zakresu historii na Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym. Jestem autorem kilku artykułów, w tym naukowych, poświęconych tematyce wojskowej. Jako prelegent uczestniczyłem również w 20 konferencjach zorganizowanych w czołowych polskich ośrodkach naukowych. W końcu postanowiłem zająć się swoim rozwojem zawodowym w wojsku, a jednym z bodźców do podjęcia takiej decyzji było utworzenie wojsk obrony terytorialnej.

Co pana przekonało do włączenia się w budowanie piątego rodzaju sił zbrojnych?

Spodobała mi się ta idea. Dlatego w momencie rozpoczęcia procesu organizacji WOT-u postanowiłem wziąć udział w tym przedsięwzięciu. Dzisiaj jestem częścią struktury piątego rodzaju sił zbrojnych i stwier-

dzam, że to była bardzo dobra decyzja. To nowa jakość w szkoleniu wojska oraz w relacjach przełożony – podwładny. Poza tym taka służba daje możliwość wykonywania obowiązków służbowych blisko domu, z korzyścią dla lokalnego społeczeństwa.

Zaledwie 10% żołnierzy WOT-u to kadra, która ma tworzyć ten rodzaj sił zbrojnych. Znalazł się Pan w tym gronie. Czy to dla pana wyróżnienie?

Oczywiście. To nowy etap mojej służby, z czego ogromnie się cieszę. A czy wyróżnienie? Tak i to wielkie, daje bowiem sama służba w wojskach obrony terytorialnej.

By zostać podporucznikiem WOT-u, musiał Pan ukończyć półroczne studium w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Jak Pan ocenia te kilka miesięcy szkolenia?

Przekazano nam sporą dawkę wiedzy. Aspekty

ARCHIWUM PRYWATNE

AUTORYTET LIDERA

Z Pawłem Wołoszem
**o satysfakcji ze służby w wojskach
obrony terytorialnej rozmawia
Paulina Glińska.**



związane z organizacją, zadaniami czy funkcjonowaniem armii nie były dla mnie niczym nowym, ponieważ dość długo służyłem w wojsku. Zagadnienia odnoszące się do organizacji, sposobów prowadzenia działań, zadań i zasad użycia WOT-u były natomiast pewną nowością. Po tym kursie w jeszcze większym stopniu uświadomiłem sobie, jak wielka misja w odniesieniu do naszego społeczeństwa i – co za tym idzie – odpowiedzialność, stoją przed nowym rodzajem sił zbrojnych.

Studium ukończył Pan jako prymus. W swoim przemówieniu podczas promocji na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie mówił Pan o dużej odpowiedzialności, jaka spoczywa na tych, którzy tworzą wojska obrony terytorialnej i sami stają się ich częścią. Jak postrzega Pan misję WOT-u?

Jako dowódcy odpowiadamy za wyszkolenie i przygotowanie naszych żołnierzy do działań zbrojnych, ale to również przez nasz pryzmat żołnierze terytorialnej służby wojskowej postrzegają wojsko, którego częścią się stają. Dla nich musimy być nie tyle dowódcami – bo tych jest w wojsku bardzo wielu – ile liderami, cieszącymi się ogromnym autorytetem, budowanym na fundamencie wiedzy, sprawności fizycznej, kultury osobistej. Musimy wytworzyć w pododdziałach, którymi dowodzimy, odpowiednią atmosferę służby. Po to, by zbudować harmonijny zespół doskonale wyszkolonych żołnierzy, cieszących się nawzajem zaufaniem, które z kolei będzie warunkować powodzenie w działaniach.

Traktując żołnierzy podmiotowo, musimy także zadbać o atrakcyjność szkolenia, a przy tym i służby, by

Musimy uświadamiać naszym podwładnym, że nie szkolą się dla siebie, lecz dla bezpieczeństwa własnych rodzin, sąsiadów, znajomych, społeczeństwa

zapał do wysiłku szkoleniowego nigdy nie malał. Wreszcie to na nas spoczywa obowiązek, by nieustannie uświadamiać naszym podwładnym, że trud służby ma swój cel, że żołnierze nie szkolą

się dla siebie, lecz dla bezpieczeństwa własnych rodzin, sąsiadów, znajomych, społeczeństwa.

Objął Pan swoje pierwsze stanowisko oficerskie jako dowódca plutonu, a kilkanaście dni temu brał udział w szkoleniu pierwszych terytorialsów. Jakie są Pana pierwsze spostrzeżenia, wnioski?

Służę w 5 Batalionie Obrony Terytorialnej w Siedlcach, który podlega 1 Podlaskiej Brygadzie Obrony Terytorialnej w Białymstoku. Na początku maja faktycznie rozpoczęło się tu szkolenie podstawowe żołnierzy terytorialnej służby wojskowej. Jako dowódca 1 plutonu kompanii szkolenia podstawowego cały czas obserwowałem postępy żołnierzy. Zauważyłem dużą determinację tych ludzi. Przerwy w trakcie zajęć w polu wykorzystywali na praktyczne ćwiczenia z karabinkiem, a nawet rywalizowali, w pozytywnym tego słowa znaczeniu, kto pierwszy podepnie magazynkę do broni. Nie ukrywam, że to ogromna satysfakcja, gdy widzi się efekty nie tylko swojej pracy, ale też wysiłku innych instruktorów i samych szkolonych. Na pewno odnalazłem się w tym, co robię. Mam też świadomość, że wciąż mogę się rozwijać, tym bardziej że przełożeni stawiają na kreatywność podwładnych i pozostawiają im możliwość wypracowania własnej decyzji i kierunku działania. Nie doświadczałem tego w czasie ostatnich lat służby, chociaż zajmowałem – jakby się mogło wydawać – samodzielne stanowiska. ■

WIZYTÓWKA

PPOR. PAWEŁ WOŁOSZ

W 1992 roku został powołany do zasadniczej służby wojskowej. W trakcie jej odbywania rozpoczął naukę w Szkole Chorążych Wojsk Łączności w Legnicy. Po jej ukończeniu został skierowany do służby w garnizonie Siedlce. Najpierw znalazł się w 9 Podlaskiej Brygadzie Zmechanizowanej, gdzie zajmował stanowiska dowódcy stacji, a następnie plutonu w kompanii łączności batalionu dowodzenia. W 1999 roku rozpoczął służbę w Garnizonowym Węzle Łączności w Siedlcach na stanowisku kierownika stacji. Cztery lata później został tam wyznaczony na stanowisko szefa. Pozostawał na nim do czasu rozpoczęcia nauki w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu, w październiku 2016 roku. ■



EWA KORSAR,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Ochotnicy na start

„Szesnastka” już za nimi. Na poligonie w Nowej Dębie po raz pierwszy w historii naszej armii szkolili się żołnierze wojsk obrony terytorialnej.

Na poligon w Nowej Dębie przyjechaliśmy trzy dni przed końcem „szesnastki”, czyli podstawowego, szesnastodniowego szkolenia wojskowego, które przed przysięgą przechodzą żołnierze terytorialnej służby wojskowej. Czego się spodziewaliśmy? Zmęczonych twarzy, narzekania na zbyt ciężkie warunki, wymagających instruktorów i wreszcie problemów z organizacją kursu. Tymczasem... zostałyśmy pozytywnie zaskoczone.

ENTUZJAZM INSTRUKTORÓW

Por. Tomasz Jajko jest dowódcą kompanii w 3 Podkarpackiej Brygadzie Wojsk Obrony Terytorialnej, a jednocześnie instruktorem szkolących się na poligonie żołnierzy. Do pracy z ochotnikami starannie się przygotowywał. Przeszedł m.in. kurs, który dla kadry i instruktorów WOT-u z całej Polski zorganizowali specjaliści z Ośrodka Szkolenia Wojsk Specjalnych w Jednostce Wojskowej Komandosów w Lublińcu.



NA POCZĄTKU SZKOLENIA
ŻOŁNIERZE NAUCZYLI SIĘ
BEZPIECZNEGO
POSŁUGIWANIA SIĘ BRONIĄ,
A PÓŹNIEJ PRZEZ DWA
TYGODNIE MIELI JĄ PRZY
SOBIE

MICHAŁ NIWICZ (2)

Obserwujemy go, jak prowadzi szkolenie. Jest spokojny, dokładnie omawia kolejne zadania, bez zniecierpliwienia odpowiada na pytania żołnierzy. „Jeszcze niewiele wiedzą o wojsku, ale patrzę na ich entuzjazm i motywację, i jestem przekonany, że robię dobrze, inwestując w nich swój czas i energię”, mówi porucznik. Dodaje też, że pozytywnie ocenia ich zaangażowanie w wykonywane zadania. „Pod-

czas wieczornej zbiórki widzę ich zmęczone twarze, ale wystarczy jedno słowo pochwały i wszystko wraca do normy – znowu mają motywację i energię do działania”, mówi z uśmiechem por. Jajko. Słowa dowódcy kompanii potwierdza ppor. Sławomir Woch. Jest instruktorem i dowódcą plutonu. Dwa lata temu skończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Lądowych we Wrocławiu. „Mamy fajnych ludzi, ➔

którym się chce. To ich zaangażowanie sprawia, że nasza praca jest przyjemnością”, dodaje.

Na poligonie w Nowej Dębie jest dziewięciu instruktorów. Wśród nich są eksperci z dziedziny medycyny pola walki, którzy uczą, jak udzielić pierwszej pomocy, założyć opaskę uciskową i ewakuować rannego z pola walki. Są też łącznościowcy, ale przede wszystkim specjaliści od treningów strzeleckich i taktyki.

ŻOŁNIERSKIE PODSTAWY

„Szesnastka” rozpoczęła się 6 maja 2017 roku. Wówczas bramy trzech brygad OT przekroczyło około 400 osób. W Rzeszowie zameldowało się 160 ochotników. Dostali mundury i wyposażenie, a po niezbędnych instruktażach – także broń. Niemal od początku szkolenia każdy z nich jak oka w głowie musiał strzec karabinka Beryl. „Dla mnie to była najpiękniejsza chwila w całym szkoleniu. Gdy dostałam do ręki beryla, poczułam wielką odpowiedzialność oraz to, że właśnie spełniają się moje marzenia o służbie w wojsku”, mówi szer. Barbara Dudek-Leś, żołnierz WOT-u, uczestniczka szkolenia, wcześniej przez wiele lat związana ze Związkiem Strzeleckim „Strzelec”.

Praca z bronią była bardzo ważna dla terytorialsów. Zgodnie z intencją dowództwa WOT żołnierze na początku szkolenia nauczyli się bezpiecznego posługiwania się bronią, a później przez dwa tygodnie mieli ją przy sobie. „Jesteśmy przekonani, że dzięki temu w tych chłopakach i dziewczynach zaszczepimy szacunek do broni i poczucie odpowiedzialności za nią. To nowe podejście w szkoleniu wojska, ale jesteśmy pewni, że będzie skuteczne”, wyjaśniają instruktorzy.

Żołnierze również są zwolennikami takiego rozwiązania. „To, że w czasie ćwiczeń mogliśmy mieć broń cały czas przy sobie, było wielkim plusem. Dokładnie ją poznaliśmy i nabraliśmy dobrych nawyków, jeśli chodzi o obsługę. Takich wiadomości nie zdobylibyśmy bez przeszkolenia wojskowego”, mówi szer. Mateusz Mucha, żołnierz WOT-u, na co dzień pracownik firmy poligraficznej.

Pierwsze dni zgrupowania terytorialsów spędzili na szkoleniu z taktyki, nauce czołgania i budowania formacji oraz szkoleniu z pierwszej pomocy. Poznawali też sygnały i gesty, którymi posługują się żołnierze, i ćwiczyli działanie dwunastoosobową sekcją, np. podczas kontaktu ogniowego.

CEL, PAL

W końcu przyszedł czas na zajęcia na strzelnicy. Dla większości ochotników była to pierwsza okazja, by sprawdzić swoje umiejętności strzeleckie, ale na poligo-



**NA POLIGONIE BYŁO
DZIEWIĘCIU INSTRUKTORÓW**



nie w Nowej Dębie znalazły się też osoby obyte z bronią. „Wśród terytorialsów mamy instruktorów strzelectwa, myśliwych i członków organizacji proobronnych. Są też osoby w przeszłości związane z harcerstwem. Szkolenie ogniowe budzi zainteresowanie jednych i drugich”, wyjaśnia por. Jajko.

Trening ogniowy zaczęli od podstaw: nauki postaw strzeleckich, oswojenia się z hukiem, odrzutem broni i dymem po wystrzale, zapachem prochu. „Na początek ważne jest to, by umieli się skoncentrować, skupić na celu i strzale. Dlatego właśnie w pierwszej kolejności szkolimy z użyciem amunicji ślepej”, mówi jeden z instruktorów. „Teraz już wiem, że muszę popracować nad opanowaniem, zachowaniem spokoju i pokorą. Zauważyłem, że jeśli działam pod presją czasu, zbyt łatwo się



W CZASIE „SZESNASTKI” KAŻDY Z ŻOŁ- NIERZY WYSTRZELAŁ OKOŁO 100 SZTUK AMUNICJI BOJOWEJ

MICHAŁ NIWICZ (3)

denerwuję. Ale to można poprawić”, mówi szer. Paweł Pasterz, na co dzień urzędnik w Powiatowym Urzędzie Pracy w Rzeszowie.

Po kilkunastu godzinach treningu ze ślepą amunicją przyszedł czas na strzelanie „na ostro”. „Przyznaję, że byłam zdziwiona, ale i bardzo zadowolona, że tak szybko pozwolono nam strzelać na bojowo”, mówi szer. Barbara Dudek-Leś. Podczas szesnastodniowego szkolenia każdy z żołnierzy wystrzelał około 100 sztuk amunicji bojowej. Na strzelnicy był z nimi m.in. por. Tomasz Jajko. „Strzelacie do tarcz oddalonych od was o 100 m. Pokażą się wam cztery razy po kilkanaście sekund. Macie trafić celnie chociaż raz. Wówczas zaliczycie zadanie”, wyjaśnił dowódca kompanii. Nikt z obecnych na strzelnicy chłopaków i dziewczyn nie strzelił na ocenę niższą niż czwórka.

SZEŚĆ ZADAŃ

Ostatnie dwa dni na poligonie terytorialsi poświęcili na tzw. pętlę taktyczną, podczas której wykonywali zadania na czas. „To sprawdzian z tego, czego nauczyli się przez dwa tygodnie”, mówi ppor. Woch. Najpierw zaliczali czołganie, a później ewakuację rannego z pola walki. „Dystans 50 m mieli pokonać, czołgając się, w maksimum 60 s, a później jak najszybciej musieli holować rannego przez 15 m”, wyjaśnia instruktor.

Terytorialsi po tych dwóch egzaminacyjnych zadaniach wyglądają na zmęczonych. „Ciężko było?”, pytamy. „Jest gorąco, więc trudniej jest osiągnąć lepsze wyniki, ale dajemy radę”, odpowiada jeden z żołnierzy. „Muszę popracować nad kondycją fizyczną. Już na samym początku przekonałem się, że sporo pracy przede mną”, mówi szer. Grzegorz Bojda, pracownik Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego PZL. Po czołganiu czas na sprawdzian z pracy z mapą. Instruktor wyznacza terytorialsom zadania: mają obliczyć odległość między punktami, znaleźć miejsce na podstawie współrzędnych. Do dyspozycji mają mapę, ołówek i kompas. Tu nie wszystko idzie gładko. Instruktor daje drobne wskazówki i pozwala poprawić zadanie. „Masz minutę. Czas start”, mówi.

Podczas sprawdzianu żołnierze OT musieli także na czas zakładać maski przeciwgazowe. Instruktor sprawdził, czy w odpowiednim momencie wstrzymali oddech, zamknęli oczy (tak by trujący gaz ich nie podrażnił), czy taśmy maski nie są poprzekęcane. Ostatnim zadaniem było poprawne założenie opaski uciskowej. Podczas egzaminu terytorialsi mieli jeszcze sprawdzić swoje siły na strzelnicy, ale te zajęcia, ze względu na duże zagrożenie pożarowe, odwołano. Szesnastodniowe szkolenie zakończyli w sobotę. W niedzielę, 21 maja, w obecności rodzin i przyjaciół złożyli uroczystą przysięgę wojskową. ■

Legia Akademicka została reaktywowana wtedy, gdy wojsko zaczęło znikać z życia studenckiego. W 2003 roku zlikwidowano sześciotygodniowy kurs szkolenia rezerw, a osoby podejmujące naukę na cywilnych uczelniach wyższych całkowicie straciły kontakt ze służbami mundurowymi. Rok później na jednej z lubelskich uczelni powstało stowarzyszenie, które miało wypełnić tę lukę. „Zawiazano je wśród studentów i osób, które poważnie myślały o mundurze. Wielu z nas chciało zobaczyć, jak wygląda wojsko, poznać strukturę, regulaminy i doszkolić się na tyle, by później móc się z nim związać”, wspomina Karol Wojtaszek, prezes Legii Akademickiej.

„Zaczynaliśmy jako stowarzyszenie uczelniane. W pewnym momencie zdaliśmy sobie jednak sprawę, że już nie jesteśmy studentami. Charakter naszej organizacji musiał się zatem zmienić, by można było podjąć zdecydowanie szersze działania”, dodaje Damian Duda, wiceprezes stowarzyszenia. „Wyszliśmy z uczelni i staliśmy się podmiotem rejestrowym, który ma możliwość podpisywania porozumień, składania do Ministerstwa Obrony Narodowej wniosków o dotowanie czy branie udziału w organizowanych przez resort szkoleniach”.

Członkowie Legii Akademickiej nie ukrywają, że od samego początku mocno wspierali ideę utworzenia obrony

terytorialnej. Promowali rozwiązania systemowe, mające sprawić, że wyjdą z roli niby-wojska, istniejącego obok tego prawdziwego. „Cały czas dążyliśmy do tego, by wrócić pod opiekę ministerstwa, czyli stać się częścią systemu, tak jak Legia Akademicka utworzona w 1918 roku, kiedy była regularną armią. Przecież 36 Pułk Piechoty Legii Akademickiej stanowił etatową jednostkę, od początku ochotniczą, sformowaną ze studentów i walczącą bardzo dzielnie, chociażby w obronie Lwowa czy w Bitwie Warszawskiej”, dodaje Damian Duda.

TO NIE BĘDZIE ŻOŁNIERSKI SKANSEN

Ludzie z Legii Akademickiej od kilkunastu lat uczestniczyli w wielu rozmowach dotyczących koncepcji utworzenia obrony terytorialnej. Spotykali się z twórcami idei i teoretykami wojskowości. Jednocześnie angażowali się w działania ogólnopolskiego Ruchu na rzecz Obrony Terytorialnej oraz propagowali idee ochotniczych formacji wojskowych. „Dołączyłem do Legii Akademickiej na etapie, gdy proponowano, by wojska OT wyposażyc w łopaty i grabie”, wspomina z uśmiechem Konrad Dziekanowski. „Tamta formuła zupełnie mi się nie podobała. Długo walczyliśmy, aby było to normalne wojsko, które będzie kolejnym komponentem sił zbrojnych. Nie ukrywam, że obecna koncepcja mi odpowiada”, dodaje Dziekanowski,

PIOTR RASZEWSKI

LEGIA MOCNO TERYTORIALNA

Niemal 30 przedstawicieli Legii Akademickiej ma już za sobą przysięgę wojskową, a kolejni zgłaszają się do OT. Na czym polega fenomen organizacji, która masowo przekazuje swoich działaczy pod skrzydła wojsk obrony terytorialnej?



POTENCJAŁ TKWIĄCY W LUDZIACH Z LEGII AKADEMIC- KIEJ JEST IMPONUJĄCY

który działa w Legii Akademickiej od dziewięciu lat, a teraz jest jej skarbnikiem.

Wtórą mu inni członkowie stowarzyszenia. „Niewątpliwie dzisiejsza propozycja spełnia nasze oczekiwania. Wiemy, że będzie to wojsko obywatelskie, a nie formacja drugiej kategorii, czyli żołnierski skansen. Liczymy, że powstanie wojsko, które w pełni wykorzysta potencjał wypracowany przez nas w cywilu. Mieliśmy okazję poznać dowódców lubelskiej brygady OT oraz 23 Batalionu OT. To profesjonaliści z wizją, co na pewno przełoży się na funkcjonowanie lubelskich struktur”, podkreśla Damian Duda.

SZKOLENIA TO NASZA WIZYTÓWKA

Trzeba przyznać, że potencjał tkwiący w ludziach z Legii Akademickiej jest imponujący. Stowarzyszenie od początku działalności mocno stawiało bowiem nie tylko na jakość, lecz także na pragmatykę ćwiczeń, które organizowało pod swoimi auspicjami. „Szkolenia to nasza wizytówka. Staramy się, by instruktorzy byli na jak najwyższym poziomie, a same ćwiczenia powinny być jak najbardziej zbliżone do tego, co może się przydać kandydatowi do służby w formacjach mundurowych”, podkreśla Karol Wojtaszek. „Od początku bazowaliśmy na materiałach MON-u, zaczynając od podstawowych kwestii, takich jak musztry czy regulaminy, po bardziej złożone, jak musztra bojowa, strzelanie czy procedury łączności. Wiedzieliśmy, że jeżeli kiedykolwiek dojdzie do jakiegoś współdziałania z wojskiem – bez względu na to, czy zostaniemy przez nie wchłonięci – to nie dogadamy się, jeśli będziemy mówili innym językiem”, wyjaśnia Damian Duda.

Teraz Legia Akademicka szkoli się w jednostkach wojskowych, bierze udział w programie „Paszport”, a przede wszystkim jest jednym z czołowych stowarzyszeń, jeśli chodzi o współ-

pracę z MON-em w działaniach na poligonie. W 2016 roku przez dzień członkowie organizacji brali udział w ćwiczeniach „Anakonda”. „Jako pluton byliśmy włączeni w zadania 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej pod dowództwem płk. Grzegorza Kaliciaka. Muszę przyznać, że nie oszczędzano nas. Wykonywaliśmy zadania nie tylko na rzecz batalionu dowodzenia, lecz także te doktrynalnie przypisane obronie

terytorialnej, czyli zabezpieczaliśmy m.in. szkołę i infrastrukturę krytyczną”, wspomina Duda.

Nic dziwnego, że po otwarciu wstępnych list chętnych do służby w wojskach obrony terytorialnej członkowie Legii Akademickiej pojawili się w WKU jako jedni z pierwszych. „Kadrowiec zapytał, dlaczego nie szkoła oficerska”, śmieje się Damian Duda, który jest instruktorem strzelectwa, pierwszej pomocy, medycyny pola walki, a także nurkiem i spadochroniarzem. „Wykładałem także na trzech uczelniach, piszę doktorat i uczę w liceum mundurowym. Normalna, zawodowa służba wiązałaby mi ręce, a forma terytorialnej służby wojskowej nie krępuje mnie. Daje mi możliwość normalnej pracy z jednoczesnym włączeniem się w ten system”, odpowiada Duda.

Z podobnego założenia wyszli również ci, dla których WOT jest kolejnym krokiem umożliwiającym rozwijanie zainteresowań proobronnych. „Wiadomo, że wstąpienie do wojsk obrony terytorialnej jest pewnym zobowiązaniem. To nie zabawa. U mnie była to jednak w pełni świadoma decyzja, bo wierzę, że ta formacja pozwoli mi zrealizować moje pasje. Do tej pory sam zbierałem pieniądze na skoki spadochronowe czy strzelania, więc było to bardzo kosztowne. Teraz będę mógł się szkolić profesjonalnie i bez obaw, że zabraknie mi funduszy na rozwijanie umiejętności”, podkreśla Piotr Woźniak, student na kierunku bezpieczeństwo narodowe w UMCS, związany z Legią Akademicką od sześciu lat.

NIKOGO NIE NAMAWIALIŚMY

Przedstawiciele stowarzyszenia przyznają, że terytorialna służba wojskowa to idealne rozwiązanie właśnie dla studentów. Cykl szkolenia żołnierzy OT zaplanowano na trzy

PIOTR RASZEWSKI



NIE TYLKO DLA STUDENTÓW

Legia Akademicka powstała w 1918 roku, a reaktywowana została w 2000 roku. Głównym jej celem jest edukacja obronna, propagowanie postaw patriotycznych oraz wspieranie służb mundurowych. Liczy około tysiąca członków i ma kilka oddziałów terenowych. Choć nazwa sugeruje, że jest to organizacja studencka, zrzesza również uczniów szkół mundurowych. Członkami są także absolwenci uczelni wyższych i żołnierze rezerwy po misjach zagranicznych. Stanowią oni głównie kadre instruktorską Legii Akademickiej.

STOWARZYSZENIE LEGII AKADEMICKA DZIAŁA PRĘŻNIE WE WSCHODNIEJ CZĘŚCI POLSKI I OD POCZĄTKU WSPIERA IDEĘ OBRONY TERYTORIALNEJ

lata, a ludzie rozpoczynający studia właśnie na taki okres wiążą się na stałe z jednym miejscem. Dlatego podjęcie w tym czasie pewnych zobowiązań jest łatwiejsze. „Wydałoby mi się, że obrona terytorialna jest dla naszych członków – studentów optymalną propozycją, bo podczas nauki mogą jednocześnie rozwijać swoją pasję na jeszcze wyższym poziomie niż w Legii Akademickiej”, zaznacza Konrad Dziekanowski. Absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który teraz pracuje jako logistyk, też zdecydował się wstąpić w szeregi nowej formacji. „Znajdowałem do tej pory czas na dwie prace, życie rodzinne czy wyjazdy, więc myślę, że nie będzie problemu, by pogodzić to ze szkoleniami i działaniem w wojskach obrony terytorialnej. W przyszłości nie wykluczam nawet wstąpienia do zawodowej armii, ale chciałbym najpierw spróbować swoich sił w tej formacji”, zdradza Dziekanowski.

Małgorzata Lisikiewicz, działająca w Legii Akademickiej od siedmiu lat, a wcześniej w Związku Strzeleckim „Strzelec”, podkreśla z kolei, że do organizacji proobronnych wstępują ludzie z pasją, dlatego naturalne jest, że większość chce później związać się ze służbami mundurowymi, a pierwszym krokiem jest właśnie terytorialna służba wojskowa. „Nasze stowarzyszenie idealnie przygotowuje do tego zarówno pod względem fizycznym, jak i teoretycznym. Wydaje mi się, że członkom Legii Akademickiej nie tylko łatwiej podjąć decyzję o wstąpieniu do wojska, ale też się w nim odnaleźć. Ja będę oficerem zawodowym wojsk OT, więc mam świadomość, że moja odpowiedzialność będzie większa, ale nie boję się wyzwania”, przyznaje absolwentka Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie.

Może się zdarzyć, że młoda podchorąża będzie w ramach wojsk obrony terytorialnej dowodziła swoimi kolegami z Legii Akademickiej. „Niewykluczone, że tak się stanie. Nasza grupa zawsze była jednak mocno wyczułona na rozdzielną kwestię prywatnych od tych quasi-zawodo-

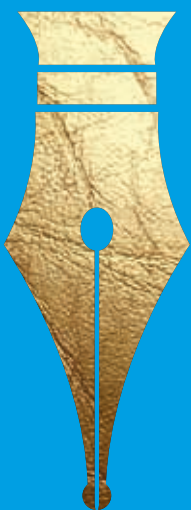
wych. Tak to działało w Legii Akademickiej i teraz na pewno się nie zmieni”, zaznacza z powagą Małgorzata Lisikiewicz.

Instruktorzy Legii Akademickiej potwierdzają, że w stowarzyszeniu toczyły się dyskusje na temat obecnej koncepcji obrony terytorialnej, ale decyzję o wstąpieniu w szeregi nowej formacji pozostawili swoim członkom. „Pojawiało się wiele głosów i oczekiwali oni opinii w tej kwestii. Nie ukrywam, że zdanie liderów ich przekonało i w jakiś sposób oddaliło postulaty przeciwników idei. Nikogo jednak nie namawialiśmy”, twierdzi Damian Duda. Tylko w pierwszej fazie akces do terytorialnej służby wojskowej zgłosiło niemal 30 kandydatów – członków Legii Akademickiej.

TO DLA NAS POWÓD DO DUMY

Proobronni nie obawiają się, że wraz z powstaniem wojsk OT byt ich organizacji może stać pod znakiem zapytania. „Nie traktujemy tego jako zagrożenia. Wręcz przeciwnie – do tej pory wielu naszych członków po pewnym czasie decydowało się na jakąś formę służby w mundurze i był to dla nas powód do dumy, a nie do zmartwień”, zapewnia Karol Wojtaszek. Szef stowarzyszenia zauważa jednocześnie, że organizacje proobronne mogą być wręcz pewnego rodzaju dopełnieniem WOT-u, bo w czasie wolnym od służby żołnierze obrony terytorialnej są zobowiązani do podnoszenia kwalifikacji we własnym zakresie.

„Takie organizacje z powodzeniem mogą wspierać członków terytorialnej służby wojskowej, stwarzając im możliwość podnoszenia kwalifikacji poza służbą. Zwłaszcza że nasi instruktorzy są żołnierzami rezerwy i przekazują wiedzę na odpowiednim poziomie. Myślę, że to dla nas szansa, by właśnie na takiej płaszczyźnie nawiązać współpracę z wojskami OT, a tym samym rozpocząć kolejny etap działania Legii Akademickiej”, kończy prezes stowarzyszenia z siedzibą w Lublinie. ■



DO PIÓR!

RUSZA DRUGA EDYCJA KONKURSU LITERACKIEGO.
DRODZY CZYTELNICY, NAPISZCIE, KTO DLA WAS JEST
AUTORYTETEM, WZOREM GODNYM NAŚLADOWANIA.
NA WASZE PRACE CZEKAMY DO 6 LIPCA.

Piętnastego sierpnia obchodzimy najważniejsze święto Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, upamiętniające Cud nad Wisłą w 1920 roku. To dobra okazja do zastanowienia się nad etosem polskiego żołnierza, wartościami, którymi się on kieruje, zarówno na polu walki, jak i w czasie pokoju. To już druga edycja konkursu literackiego „Polski Żołnierz – etos i duma – na przykładzie historycznym lub współczesnym”, który przygotowaliśmy dla Was z okazji Święta Wojska Polskiego. Podobnie jak w roku ubiegłym, organizujemy go z myślą o studentach cywilnych oraz podchorążych z wyższych szkół wojskowych (Akademii Sztuki Wojennej, Wojskowej Akademii Technicznej, Akademii Marynarki Wojennej, Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych, Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych).

W pierwszej edycji kapituła konkursu miała twardy orzech do zgryzienia ze względu na liczbę prac i ich wysoki poziom. Dzięki Wam odbyliśmy piękną podróż śladami bohaterów, których wybraliście – m.in. st. sierż. rez. Krzysztofa Plutę „Wira”, gen. brzę. Stanisława Sosabowskiego, gen. dław. Janusza Brochwicz-Lewińskiego „Grufę”, rtm. Witolda Pileckiego...

Na uroczystości 95-lecia „Polski Zbrojnej”, w czasie której zwycięzcom konkursu zostały wręczone nagrody, mieliśmy zaszczyt gościć bohatera jednej z prac. Gen. dław. Janusz Brochwicz-Lewiński był szczęśliwy, że młode pokolenie wciąż o nim pamięta. Wzruszony był również Szymon Rębisz, autor tekstu o „Grufie”, podchorążą Akademii Marynarki Wojennej, ponieważ mógł uścisnąć dłoń swojego bohatera i z nim porozmawiać.

Nie spodziewaliśmy, że efektu konkursu będą tak znaczące dla laureatów. Jesteśmy dumni i szczęśliwi, że możemy się przyczyniać do budowania Waszego etosu. Jednocześnie talent uczestników konkursu wykorzystaliśmy na łamach „Polski Zbrojnej”. Zatem ta droga może też prowadzić do związania się z nami na dłużej.

Zachęcamy do udziału w konkursie. Napiszcie, kto jest dla Was autorytetem, wzorem do naśladowania. Może to być postać zarówno historyczna, jak i współczesna. Objętość pracy konkursowej nie powinna przekraczać 10 tys. znaków ze spacjami.

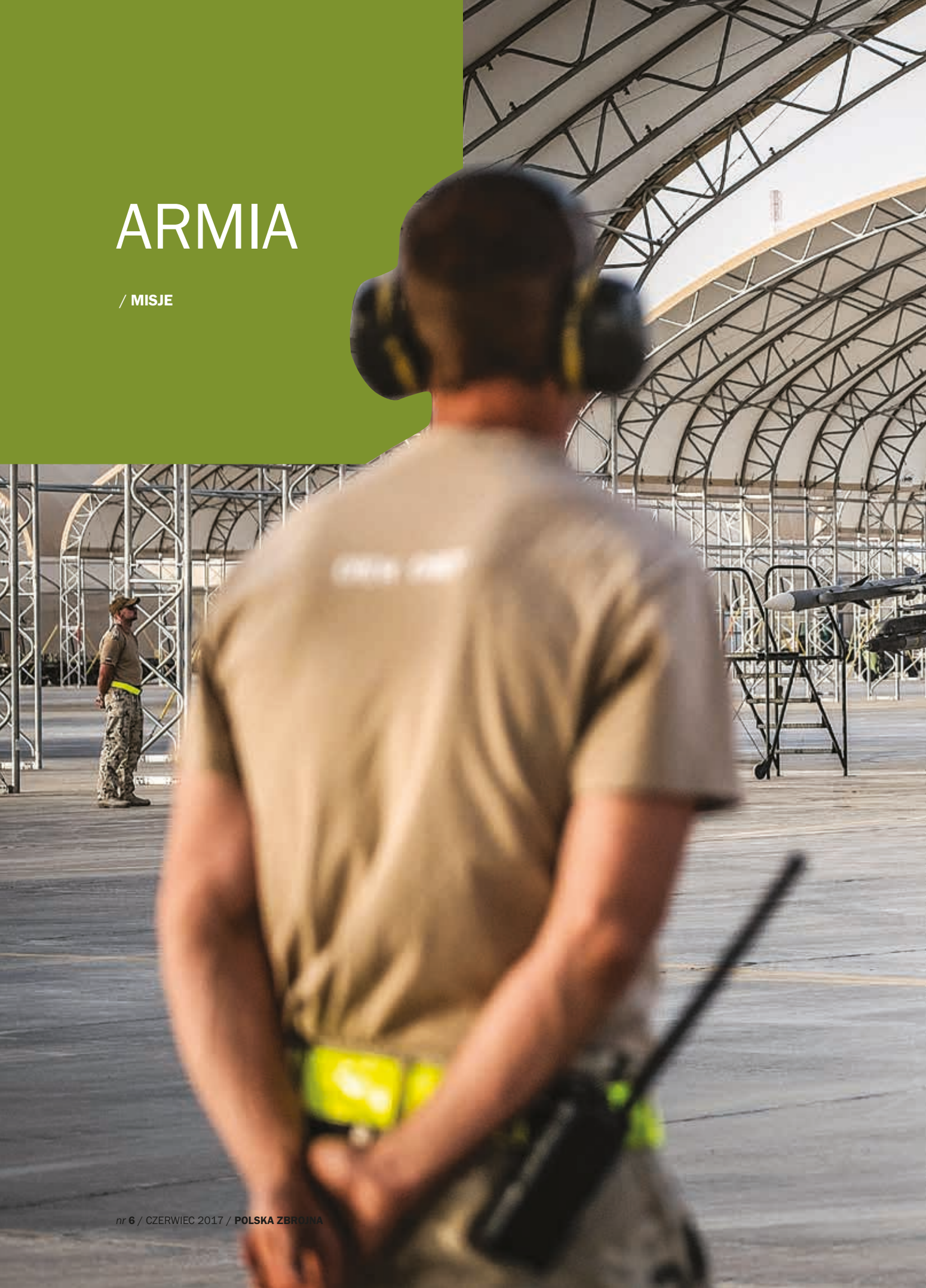
Teksty należy przestać do redakcji „Polski Zbrojnej” do 6 lipca (adres: Wojskowy Instytut Wydawniczy, Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa lub e-mail: konkurs@zbrojni.pl). W temacie wiadomości elektronicznej lub na kopercie powinna znajdować się adnotacja: Konkurs „Polski Żołnierz – etos i duma”. Każda praca musi być podpisana imieniem i nazwiskiem oraz zawierać adres i numer telefonu uczestnika konkursu, a także nazwę uczelni, kierunek i rok studiów (w wypadku studentów i podchorążych). Teksty bez podanych danych osobowych nie będą brały udziału w konkursie. Muszą one być samodzielne. Nie mogą być wcześniej publikowane (nawet we fragmentach) ani nagrodzone w innych konkursach.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 17 lipca 2017 roku. Nagrodzimy trzy najlepsze utwory literackie, a ten, który zajmie pierwsze miejsce, opublikujemy w sierpniowym numerze miesięcznika „Polska Zbrojna”. Wszystkie trzy teksty zostaną zaprezentowane 15 sierpnia na naszej stronie internetowej polska-zbrojna.pl. Laureaci otrzymają pióro „Polski Zbrojnej”, prenumeratę naszego miesięcznika oraz nagrody rzeczowe. Serdecznie zapraszamy do udziału!

IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA, redaktor naczelny miesięcznika „Polska Zbrojna”

ARMIA

/ MISJE





MICHAŁ ZIELIŃSKI

NAD MOSULEM BYŁO GĘSTO

Polski Kontyngent Wojskowy w Kuwejcie jako część globalnej koalicji wykonuje misje rozpoznawcze oraz analizuje pozyskany w ten sposób materiał. Mimo że działania te nie mają charakteru kinetycznego, stanowią jeden z najważniejszych elementów walki z tzw. Państwem Islamskim.



MICHAŁ ZIELIŃSKI



MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)

Baza lotnicza Ahmad al-Dżabir leży niespełna 150 km od granicy z Irakiem. Ze względu na swoje strategiczne położenie kompleks ten wykorzystywany jest nie tylko przez kuwejskie skrzydła F/A-18, ale także stanowi jedną z głównych baz globalnej koalicji w tym regionie. O burzliwej historii tego miejsca można się przekonać już w drodze na pas startowy, ochrzczony przez żołnierzy Sultan Ramp. Z ciągnącej się po horyzont, wypalanej przez słońce równiny wyrastają masywne betonowe hangary. Każdy z nich strąca brudą w sklepieniu i powykręcany drutami zbrojeniowymi – to wymowna pamiątka po pierwszej wojnie w rejonie Zatoki Perskiej.

PIERWSZE OGNIWO W WALCE

Sam Sultan Ramp stanowi pełne przeciwieństwo potężnych konstrukcji. Oprócz wieży kontroli lotów infrastruktura lotniska obejmuje pozbawione ścian hangary oraz płóciennymi namioty służące do przeglądu samolotów. Pośród stacjonujących tam kuwejskich F/A-18 oraz włoskich AMX-ów można zauważyć cztery F-16 Block 52+ z białą-czerwonymi szachownicami oraz oznaczeniami 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Łasku. To polski wkład w operację „Inherent Resolve” – trudną i niebezpieczną, ale niezbędną dla międzynarodowego bezpieczeństwa.

Kiedy w lecie 2014 roku grupa terrorystyczna tytułująca się Państwem Islamskim przejęła kontrolę nad znaczną częścią pogranicza syryjsko-irackiego i zaczęła nacierać w stronę Bagdadu, stało się jasne, że wycieńczony długoletnią wojną i podzielony politycznie kraj samodzielnie nie jest w stanie sprostać nowemu zagrożeniu. Amerykanie, którzy do tego czasu systematycznie wycofywali swoje siły z Iraku, ponownie zaczęli zwiększać zaangażowanie w działania w tym regionie. Jednocześnie na podstawie art. 51 „Karty Narodów Zjednoczonych”, dającego prawo do samoobrony indywidualnej lub zbiorowej, Rada Bezpieczeństwa ONZ uznała Daesz za organizację stanowiącą zagrożenie dla światowego pokoju i legitymowała operację zbrojną. Międzynarodowa koalicja pod przywództwem Stanów Zjednoczonych rozpoczęła dozbrajanie i szkolenie lokalnych sojuszników, ale zapewniła także wsparcie lotnicze wraz z działaniami kinetycznymi.

Zgodnie z decyzją prezydenta RP z czerwca 2016 roku do liczącej ponad 60 państw koalicji dołączyła także Polska. Duży nacisk położono na kontyngent lotniczy uczestniczący w pierwszej od czasów II wojny światowej misji bojowej pełnionej przez polskich pilotów. Mimo że liczący około 150 żołnierzy PKW OIR w Kuwejcie realizuje przede wszystkim zadania rozpoznawcze, jego zaangażowanie nie tylko stanowi nowe doświadczenie, lecz także wpływa na wzrost zaufania, jakim obda-



NIE JEST TAK, ŻE MOŻNA WSIAŚĆ DO KABINY I PO PROSTU POLECIEĆ. TRZEBA SIĘ ZAPOZNAĆ Z ROZKAZAMI, CELAMI TAKTYCZNYMI, SYTUACJĄ NA ZIEMI I W POWIETRZU, A TAKŻE Z CZĘSTOTLIWOŚCIAMI, NA KTÓRYCH POROZUMIEWAMY SIĘ Z NASZYM KOALICJANTAMI

rzają Polaków koalicjanci. W grudniu 2016 roku polski rząd zdecydował, że misja będzie kontynuowana przy zachowaniu dotychczasowego jej charakteru.

Dowódcą trwającej obecnie drugiej zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Kuwejcie jest ppłk pil. Norbert Chojnacki. W ciągu ponad 20 lat służby oficer ten osiągnął nalot 3400 godzin na wojskowych samolotach odrzutowych, w tym ponad 1900 na F-16. O intensywności prowadzonych nad Irakiem działań świadczy fakt, że od początku trwającej niespełna rok misji polscy myśliwcy osiągnęli nalot na poziomie kolejnych 1600 godzin. Ppłk Norbert Chojnacki kładzie jednak nacisk na różnice pomiędzy czasem spędzonym w powietrzu podczas ćwiczeń a doświadczeniem płynącym z działań na Bliskim Wschodzie. „Rozpoznanie jest przedsięwzięciem, które rozpoczyna wszelkiego rodzaju działania na terytorium wroga. W związku z tym jesteśmy pierwszym ogniwem na teatrze walki z Daesz”,

zaznacza. „Zadania realizowane przez polskich pilotów polegają przede wszystkim na fotografowaniu oraz filmowaniu obiektów mających kluczowe znaczenie w prowadzonych operacjach. Informacje o wyznaczonych celach przekazuje Centrum Operacji Powietrznych znajdujące się w Katarze”. Zlecenie może obejmować wykonanie zdjęć lub filmów pokazujących efekt nalotów koalicjantów bądź obrazujących aktywność wroga na danym obszarze (w skali obejmującej zarówno pojedyncze budynki, jak i całe dzielnice).

Daesz nie dysponuje zaawansowaną obroną przeciwlotniczą, jednak braki w tym obszarze terroryści nadrabiają olbrzymią determinacją. Niejednokrotnie koalicjanci zgłaszali incydenty, takie jak ostrzał z przenośnych przeciwlotniczych systemów rakietowych, dlatego mimo niekinetycznego charakteru misji polskie myśliwce latają uzbrojone. Ppłk Norbert Chojnacki zaznacza, że jest to niezbędny element samoobrony. Jednocześnie, ➔

ze względu na rygorystyczne zasady podejmowania działań z użyciem siły obowiązujące podczas „Inherent Resolve”, może on zostać użyty jedynie w ostateczności.

„Działamy nad terytorium wroga, którym jest tzw. Państwo Islamskie”, przekonuje dowódca PKW. „Oczywiście, wlatując nad kontrolowaną przez terrorystów część Iraku, narażamy się na ostrzał. Dodatkowo sam fakt, że samolot znajduje się tysiąc kilometrów od bazy macierzystej,

gdzie musi nie tylko wykonać misję, ale także zaopatrzyć się w paliwo, wpływa na nasze bezpieczeństwo. Jesteśmy przygotowani do tego typu działań i wykonujemy je zgodnie z wszelkimi wymogami bezpieczeństwa obowiązującymi na teatrze wojennym”.

Z NAJWYŻSZĄ OSTROŻNOŚCIĄ

Ze względu na swoją skuteczność myśliwce latające w barwach koalicji stanowią dla



Pustynny klimat wymaga od techników wdrażania specjalnych procedur w konserwacji elektroniki.

W rytmie misji



Z Norbertem Chojnackim

o wkładzie polskich pilotów w walkę z Daesz, realiach prowadzenia misji nad terytorium Iraku oraz o płynących z nich korzyściach rozmawia Michał Zieliński.

Polski Kontyngent Wojskowy w Kuwejcie już blisko rok wykonuje misję w ramach operacji „Inherent Resolve”. Jaki jest jego wkład w zwalczanie terrorystów z Daesz?

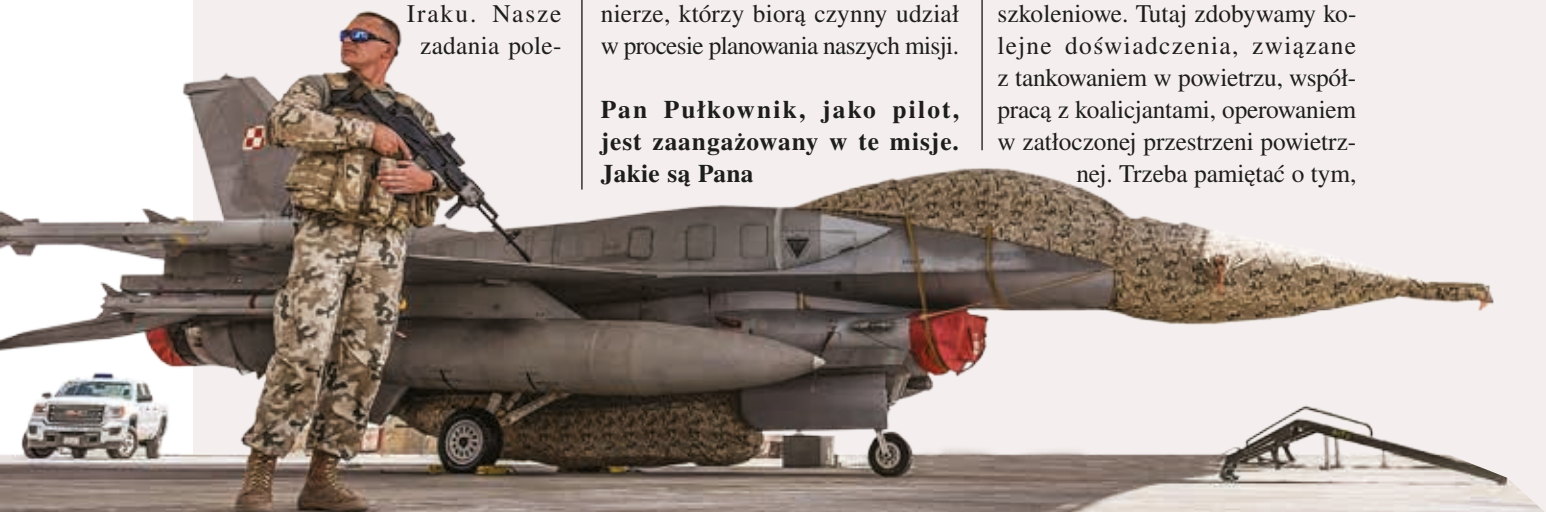
Do podstawowych zadań PKW w Kuwejcie należy rozpoznanie obrazowe prowadzone na terytorium Iraku. Nasze zadania pole-

gają na fotografowaniu obiektów, które zostały wyznaczone przez Centrum Operacji Powietrznych w Katarze. To właśnie tam znajduje się generalne połączone stanowisko dowodzenia wszystkich uczestników operacji „Inherent Resolve”. W Katarze pełnią również służbę polscy żołnierze, którzy biorą czynny udział w procesie planowania naszych misji.

Pan Pułkownik, jako pilot, jest zaangażowany w te misje. Jakie są Pana

doświadczenia z lotów nad terytorium Iraku?

Przede wszystkim są one prowadzone w warunkach bojowych. Podczas ich wykonywania towarzyszy nam stres, jednak jesteśmy do zadań przygotowani. Wcześniej ćwiczyliśmy je w kraju, wykonując loty szkoleniowe. Tutaj zdobywamy kolejne doświadczenia, związane z tankowaniem w powietrzu, współpracą z koalicjantami, operowaniem w zatłoczonej przestrzeni powietrznej. Trzeba pamiętać o tym,





MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

Daesz nadrzędny cel. Piloci są narażeni nie tylko na ostrzał podczas misji. Nieoficjalnie wiadomo, że najprawdopodobniej, ze względu na otwartą politykę informacyjną, terrorystom udało się uzyskać dostęp do danych personalnych lotników z jordańskich oraz kuwejskich sił powietrznych. W związku z tym polscy piloci o prowadzonych operacjach opowiadają z najwyższą ostrożnością i wyłącznie anonimowo.

„Na ziemi toczą się walki”, mówi jeden z nich. „Sytuacja jest bardzo dynamiczna, a my mamy na nią wpływ. Pozostajemy w powietrzu nawet do sześciu godzin, w tym czasie nasze cele mogą zmienić się o 180 stopni. Pojawiają się nowe okoliczności i dowództwo na bieżąco decyduje o tym, gdzie jesteśmy potrzebni. Jednocześnie pracujemy w trudnych warunkach, oddaleni o setki



że loty z Kuwejtu na teren Iraku to nie mała odległość do pokonania. W powietrzu spędzamy do sześciu godzin, co jest bardzo wyczerpujące. Proszę sobie wyobrazić sześć godzin w małej kabiny F-16 i wszystkie trudności, które są z tym związane. Mam na myśli fizjologię pilota, rytm dobowy, zmęczenie. Do tego należy doliczyć przygotowanie się do misji. Nie jest tak, że można wsiąść do kabiny i po prostu polecieć. Trzeba się zapoznać z rozkazami, celami taktycznymi, sytuacją na ziemi i w powietrzu, a także z częstotliwościami, na których porozumiewamy się z naszymi koalicjantami. Jest to ciąg zadań, które należy wykonać zarówno przed misją, jak i po niej.

Zdarza się, że misje są realizowane w trybie alarmowym?

Tak jak wspominałem, zadania wyznaczane dla naszego kontyngentu dostajemy z góry i zawsze mamy czas na przygotowanie się do nich. Niemniej jednak są piloci z innych krajów, którzy czekają w gotowości bojowej, i ich samoloty mogą być poderwane w ciągu kilkunastu minut. Stacjonują oni

znacznie bliżej terenu, na którym odbywają się operacje.

W przestrzeni powietrznej Iraku znajdują się także samoloty koalicjantów, w tym włoskie oraz amerykańskie.

Cała operacja „Inherent Resolve” opiera się na działaniach połączonych. Każdy zespół wprowadza swoją część – w ten sposób budujemy całość misji, a w efekcie osiągamy postępy pod względem operacyjnym oraz taktycznym w danym obszarze działań. W powietrzu mamy do czynienia nie tylko z tankowcami. Siły powietrzne koalicjantów startują z różnych miejsc, m.in. z innych baz na terenie Kuwejtu, Turcji, Jordanii, Cypru oraz z lotniskowców. Spotykamy się nad Irakiem i tam już naprawdę jest gęsto, niezależnie, czy to Mosul Al-Kaim, czy Tall Afar. Można tam spotkać F/A-18, rafale, AMX-y, eurofightery. Do tego śmigłowce, transportowce, praktycznie wszystkie typy maszyn.

W tym tłoku koalicjanci są w stanie zauważyć i docenić nasze zaangażowanie?

Współpraca z koalicjantami jest bardzo owocna, jesteśmy szanowani i cenieni za nasz wkład w walkę z Daesz. Zadania pod kątem rozpoznania obrazowego wykonują m.in. koledzy z Włoch i Niemiec, ale nasz zasobnik DB-110 pozwala na zrobienie bardzo dokładnych zdjęć. Efekty końcowe są chwalone przez koalicjantów i szeroko wykorzystywane w całej operacji „Inherent Resolve”.

A polscy piloci? Jakie korzyści czerpią z tej misji?

Jest to przede wszystkim możliwość współpracy z koalicjantami. Chcę podkreślić, że mamy wspianą samolot. Możemy wykonywać różnego typu zadania, w związku z czym polskie siły powietrzne są obecne na teatrze wojennym po raz pierwszy po II wojnie światowej. Każde zdobyte tutaj doświadczenie przełoży się na kolejne pokolenia pilotów i taktykę, która w przyszłości będzie wykorzystywana w szkoleniu lotniczym. ■

Ppłk pilot NORBERT CHOJNACKI jest dowódcą II zmiany PKW OIR Kuwejt.

kilometrów od wszelkiej pomocy. Żeby zrozumieć, z czym się zmagamy, trzeba wyobrazić sobie nas tam na miejscu, reagujących na zmieniającą się sytuację taktyczną, zarówno na lądzie, jak i w powietrzu”. Dynamic Targeting, zwany w lotniczym żargonie Di-Ti Tasking (obieranie celów, które nie były brane pod uwagę w fazie planowania misji), jest nieodłącznym elementem PKW OIR w Kuwejcie. W warunkach bojowych każda dodatkowa zmienna musi być wprowadzana z wyjątkową precyzją. Nad Irakiem znajduje się potężna liczba statków powietrznych, z których znaczna część stosuje działania kinetyczne.

„Ponieważ loty są bardzo długie, za każdym razem przechodzimy przez kilka faz”, wyjaśnia inny pilot z polskiego kontyngentu. „Najpierw skupiamy się na nawiązaniu kontaktu z cysterną powietrzną, aby zapewnić sobie wystarczającą ilość paliwa w strefie działań. W chwili, w której tankowanie mamy już za sobą, skupiamy się na kolejnych aspektach lotu. W końcu u szczytu tej piramidy jest nasz cel taktyczny. W pewnym momencie może się okazać, że jest on jednak inny. Nasze samoloty zostały wyposażone w najwyższej klasy zasobniki rozpoznania obrazowego, dlatego w każdej chwili możemy być potrzebni w innym miejscu”.

NIE MA MIEJSCA NA SHOW STOPPER

W większości wypadków polskie F-16 wykonują powierzone misje w parach. Pierwszy samolot wyposażony jest w zasobnik rozpoznania obrazowego Goodrich DB-110. Umożliwia on obserwację oraz rejestr wyznaczonych wcześniej celów, zarówno w pasmach światła widzialnego, jak i na podczerwień. Wykonane za jego pomocą zdjęcia przechowywane są na dyskach typu SSD, mogą być również przekazywane do centrali w czasie rzeczywistym. Polskie siły powietrzne dysponują siedmioma zasobnikami tego typu. Wszystkie w specyfikacji odpowiadającej najnowszej, trzeciej generacji.

Jeden z pilotów tłumaczy: „Zwykle wykonujemy zdjęcia z dużej wysokości, sięgającej 30 tys. stóp. Mogą to być fotografie wertykalne lub horyzontalne, jednak w każdym wypadku są one bardzo dobrej jakości. Ograniczeniem dla zasobnika DB-110 jest przede wszystkim pogoda, czyli zamglenie w powietrzu lub po prostu chmury. Wtedy musimy zmniejszyć pułap”.

W tym samym czasie drugi samolot, wyposażony w zasobnik Lockheed Martin Sniper XR, nagrywa film. Dzięki temu analitycy mogą określić wszystkie zmienne, które zachodzą na obserwowanym obszarze, np. stwierdzić, czy konkretny punkt jest opuszczony, czy wciąż aktywny. Samolot ten utrzymuje się w odległości



do 3 km, jednak jest w każdej chwili gotowy, by wesprzeć prowadzącego.

Żołnierze Polskiego Kontyngentu Wojskowego OIR w Kuwejcie realizują powierzone im zadania 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Baza Al-Dżabar pracuje na trzy zmiany, które obejmują nie tylko pilotów, lecz także cały personel naziemny. Przez cały czas na służbie pozostają inżynierowie oraz technicy, analitycy, sekcja operacyjna, logistyka, ochrona lotniska, łączność, medycy. Ze względu na szerokość geograficzną należy liczyć się ze znaczną amplitudą temperatur, które w ciągu dnia mogą sięgać nawet 50 stopni w cieniu. Ma to wpływ na zamontowane w myśliwcach sensory i elektronikę, wymagające odpowiedniego chłodzenia oraz pielęgnacji. Piloci podkreślają jednak, że wszystko zostało przeanalizowane i pieczołowicie zaplanowane. Nie ma mowy, by nastąpił jakikolwiek „show stopper”.

Dochodzi godzina 23.00, kiedy na Sultan Ramp lądują para polskich F-16. Samoloty kołują i zatrzymują się



PKW w Kuwejcie to nie tylko piloci i technicy, ale również analitycy, logistyka i pozostały personel naziemny.

MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

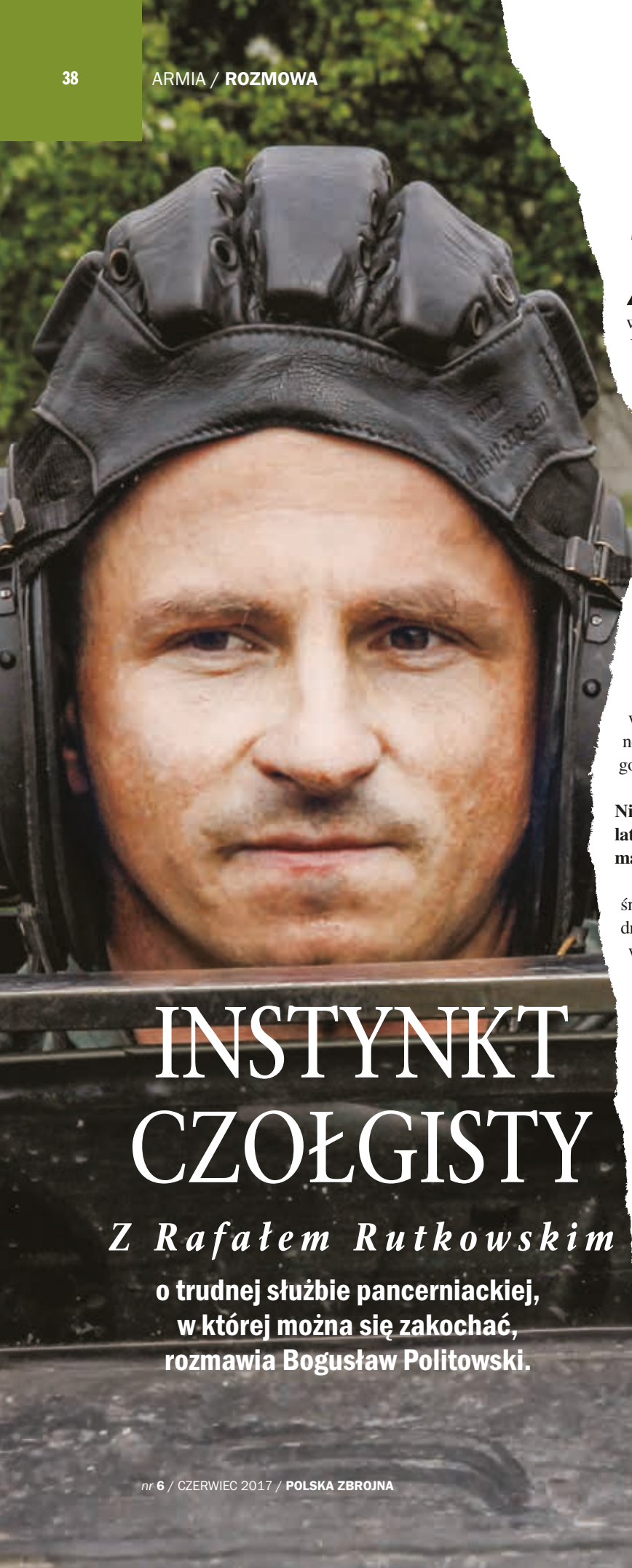
NAD IRAKIEM ZNAJDUJE SIĘ POTĘŻNA LICZBA STATKÓW POWIETRZ- NYCH, Z KTÓRYCH ZNACZNA CZĘŚĆ STOSUJE DZIAŁANIA KINETYCZNE

na swoich pozycjach w hangarach. Momentalnie oblega je sztab gotowych do pracy techników, którzy przystępują do wykonywania rutynowych czynności związanych z obsługą myśliwców. W tym samym czasie pobierany jest dysk z zasobnika DB-110. Analitycy pełniący dyżur w sztabie natychmiast

przystępują do działania. Gotowy produkt powstanie w ciągu kilku do maksymalnie kilkunastu godzin.

Kabinę jednego z samolotów opuszcza ppłk Norbert Chojnacki. Trwająca blisko sześć godzin misja nie należała do najłatwiejszych, jednak pilot znajduje czas, by zdać krótką relację z lotu:

„Bywa, że w operacjach połączonych następuje wiele zmiennych, a my musimy być elastyczni. Zaplanowany tankowiec nie mógł pojawić się w wyznaczonym obszarze, w związku z czym wskazano nam inną strefę na uzupełnienie paliwa. Musieliśmy się trochę napocić, żeby go znaleźć. Nad Mosulem oraz nad Al-Kaim było dosyć gęsto, jednak zasobnik podwieszony w samolocie kolegi wykonał wszystkie zdjęcia. W tej chwili analitycy przystępują do ich obróbki. Misja zakończyła się sukcesem”.



INSTYNKT CZOŁGISTY

Z Rafałem Rutkowskim

**o trudnej służbie pancerniackiej,
w której można się zakochać,
rozmawia Bogusław Politowski.**

Zamiłowanie do czołgów to była miłość od pierwszego wejrzenia?

Raczej nie. Nigdy nie chciałem iść do wojska. Byłem zły, gdy w 2004 roku powołano mnie do zasadniczej służby wojskowej. Uważałem, że zniszczy mi to życie. Nie miałem wyjścia i włożyłem mundur. Trafiłem do 10 Brygady Kawalerii Pancernej w Świętoszowie i po unitarce, której nie wspominam dobrze, znalazłem się w 2 Batalionie Czołgów. Zostałem ładowniczym w leopardzie. Chociaż byłem wtedy najniżej w pancerniackiej hierarchii, nagle coś się zmieniło w moim podejściu do służby. Tak ją polubiłem, że po miesiącu postanowiłem zostać czołgistą na zawsze.

Skąd taka zmiana?

W czołgach można tak się zakochać, że nie chce się rezygnować z pancerniackiej służby. Wielu moich kolegów mogłoby już odejść na emeryturę, ale nadal służą, bo to lubią. Trudna, wymagająca wiele wysiłku fizycznego i psychicznego praca czołgisty jest jednocześnie wielką przygodą, którą tylko nieliczni mogą przeżyć.

Nie do końca rozumiem tę fascynację. Przecież latem w środku, pod pancierzem, jest skwar, a zimą potworny ziąb...

To prawda. Proszę jednak kiedyś stanąć przy leśnej drodze, gdy jedzie kolumna czołgów. Ziemia drży. Czuć potężną moc. Być częścią tej potęgi, doprowadzić takim stalowym kolosem i jego załogą to wielka przyjemność, ale i odpowiedzialność.

Wiele jednak musiał się Pan uczyć, żeby doprowadzić tym kolosem...

W czasie zasadniczej służby wojskowej zgłosiłem, że chcę zostać w wojsku. Po jej zakończeniu ze stopniem starszego szeregowego byłem żołnierzem nadterminowym, ale szybko zostałem zawodowym. Kolejny i zarazem najważniejszy etap służby to ukończenie szkoły podoficerskiej. Byłem wtedy szczęśliwy, bo wiedziałem, że mogę pozostać w wojsku. Nie obowiązywały mnie już kontrakty i limity lat.

A szkolenie specjalistyczne?

Wiedzę fachową członkowie załogi zdobywają cały czas. Ciągłe bierzemy udział w różnych kursach, szkoleniach i ćwiczeniach w kraju i za granicą. Spędzamy godziny

W czołgach naprawdę można tak się zakochać, że nie chce się rezygnować z pancerniackiej służby

w trenerach. Załoga jest wtedy dobra, gdy każdy z jej członków ma najwyższe kwalifikacje, bo praca w czołgu to działanie zespołowe. Poza tym wymaga ona nie tylko siły mięśni, lecz także opanowania, precyzji w działaniu oraz dużej wiedzy o sprzęcie. O mojej załodze złożonej z żołnierzy mających krótki staż dopiero za dwa lata będę mógł powiedzieć, że jest w pełni zgrana, a wszyscy są naszym palcem jednej ręki.

Czyli załoga jeszcze nie do końca jest dobrze przygotowana do wykonywania zadań?

Jest przygotowana należycie. Dowodem niech będzie to, że nasz pluton w czasie tegorocznych zawodów użyteczno-bojowych pododdziałów wojsk lądowych w Poznaniu w klasyfikacji plutonów czołgów zajął pierwsze miejsce. Chodziło mi o to, że potrzeba dwóch lat, żebyśmy się idealnie zgrali, nauczyli wykonywania wszystkiego błyskawicznie wręcz instynktownie, niemal bez słów.

Na ósmej zmianie w Afganistanie nie służył Pan jednak w czołgu...

Byłem dowódcą obsługi moździerza 60 mm w plutonie zmekanizowanym. Przez pół roku przygotowałem do misji i kolejne miesiące na miejscu poznałem specyfikę innego rodzaju wojsk. I chociaż piechota ma więcej świeżego powietrza, to i tak bym się nie zamienił. Służba w czołgu to moja pasja.

Czyli jednak przynajmniej Pan, że pod pancerzem leoparda bywa duszno?

Tak jest w czasie strzelań, gdy z armaty wylatują gazy. Najtrudniej jest latem, gdy jest pełno kurzu.

Kurz w środku czołgu?

Oczywiście. Przecież w czasie przemarszów często trzeba siedzieć w wieżyczce wozu, więc właz jest otwarty. W pierwszej maszynie kolumny jest w miarę dobrze, ale kolejne jadą w tumanach kurzu. Czasami kierowca-mechanik też jedzie z otwartym włazem. Zimą dla odmiany w takiej sytuacji nie obędzie się bez kominiarek, a i tak często zwisają z nich sople.

Co w tej służbie lubicie najbardziej?

Chyba najbardziej działania bojowe – manewry taktyczne, wykrywanie celów, strzelanie. Adrenalina jest wtedy

na maksa. Każdej załodze zależy na tym, by wypaść jak najlepiej. Najmniej lubimy obsługę wozów. To mnóstwo ciężkiej fizycznej pracy, szczególnie gdy trzeba naciągnąć gaśnicę, wymienić wieniec zębaty lub gumowe nakładki. Zero adrenaliny.

Czy nazwaliście jakoś swój czołg tak jak bohaterowie serialu „Czterej pancerni i pies”?

Wiele czołgów w kompanii ma nazwy. Najczęściej są to imiona żon czy dziewczyn. Naszego jeszcze nie nazwaliśmy, ale może wkrótce nadamy mu imię. Tych imion nie możemy wypisywać na pancerzach. Nie posługujemy się nimi także w korespondencji radiowej. To jest zabronione.

W serialowym czołgu Rudy 102 załoga wieszała we wnętrzu wozu zdjęcia, medale pamiątki. Co jest w Pana leopardzie?

Na pewno nie zdjęcia żon czy dziewczyn. Wisią tabele przelicznikowe dotyczące na przykład ustalania przez peryskop siły wiatru na podstawie różnych wskazówek w terenie i inne dane potrzebne w czasie działania bojowego oraz nawiązywania łączności. To są takie informacje, które w trakcie dynamicznych zajęć mogą umknąć z głowy.

Służba pancerniaków nie jest łatwa także dla rodzin...

Ożeniłem się dwa lata temu. Moja żona Iwona na razie nie utyskuje, że często nie ma mnie w domu. Zdawała sobie sprawę z tego, że wychodzi za mąż za żołnierza. Przywykła do tego, że przynajmniej jeden weekend w miesiącu spędzam w koszarach lub na poligonie. Co kilka tygodni zdarzają się też jakieś nocne zajęcia, a do tego dochodzą poligony. W sumie w ciągu roku prawie dwa miesiące jest sama.

Służba w pododdziale pancernym to nie tylko praca w czołgu...

Oczywiście, że nie. Mamy wiele szkoleń ogólnowojskowych. Szlifujemy język angielski. Uprawiamy sport. Niedawno w składzie reprezentacji brygady zająłem pierwsze miejsce drużynowo i trzecie indywidualnie w pływaniu na szczeblu dywizji. ■

Plut. RAFAŁ RUTKOWSKI jest dowódcą załogi leoparda 2A4 w 1 Batalionie Czołgów w 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej. Pełni teraz obowiązki dowódcy plutonu czołgów.



Jest maj, rok 2011. Kilka dni temu komandosi Navy SEALs z Team Six przeprowadzili jedną z najważniejszych operacji specjalnych, podczas której zginął Osama bin Laden, terrorysta i przywódca Al-Kaidy. W podziękowaniu za dobrze wykonane zadanie ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych zaprosił żołnierzy do Białego Domu. Wśród gości był ktoś wyjątkowy – pies, który wziął udział w operacji „Geronimo”.

Do dziś tajemnicą pozostaje wygląd psa, wiek i doświadczenie w służbie. Nie wiadomo też, jak się wabił ani jakie wypełniał zadania w czasie akcji. Rąbka tajemnicy próbowała uchylić Kathryn Bigelow, reżyserka

„Wroga numer jeden”, filmu opowiadającego historię „polowania” na Osamę bin Ladena. Na jednej ze scen filmowych widać, jak do śmigłowca ruszającego na akcję wskakuje pies, a w innej – jak zwierzę ubezpiecza akcję operatorów Navy SEALs z zewnątrz, nie wchodząc do budynku.

Udział psów w jednej z najważniejszych operacji przeprowadzonych przez siły specjalne to tylko przykład na to, że doskonale sprawdzają się one w najtrudniejszych akcjach, o czym doskonale wiedzą również polscy żołnierze i funkcjonariusze. W służbach mundurowych od lat służą psy szkolone m.in. do wykrywania ładunków wybuchowych, narkotyków, poszuki-



EWA KORSAK,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

PSY WOJNY

**Desantują się ze śmigłowców,
skaczą ze spadochronami,
świetnie radzą sobie w wodzie.
Są w stanie powstrzymać
każdego przeciwnika i wykryć
materiały wybuchowe.
W szeregach jednostki GROM
służą wyjątkowi operatorzy
– psy specjalne.**

MICHAŁ NITWICZ

wania zwłok czy tropienia. Nowością są jednak w naszej armii psy bojowe. Takich wyjątkowych operatorów ma tylko Jednostka Wojskowa GROM.

NAJLEPSZE NA ŚWIECIE

Psy bojowe służą w niewielu jednostkach specjalnych na świecie. Oprócz armii Stanów Zjednoczonych są m.in. w wojskach izraelskich, brytyjskich, norweskich, kanadyjskich i australijskich. W Polsce system K9 (skrót anglojęzyczny, który brzmi jak łacińskie słowo canine – psowaty), czyli szkolenia psów bojowych, stworzył GROM. Jego twórcą i szefem przez wiele lat był „Pawul”, od kilku tygodni już były żołnierz jednostki. „Wszystko zaczęło się w 2012 roku. Mieliśmy doświadczenia z misji w Iraku i Afganistanie. Korzystaliśmy tak-

że z wiedzy żołnierzy amerykańskich. Byliśmy pewni, że tak jak oni potrzebujemy psów, które bezpośrednio chroniłyby operatorów podczas walki, przemieszczania się w miejsce operacji oraz w czasie zdobywania budynków”, mówi „Pawul” i dodaje: „Amerykanie wprowadzili psy bojowe do służby wojskowej po zamachach na World Trade Center. Oczywiście ich służba, szkolenie i wykorzystanie zmieniły się przez lata. Zwierzęta szybko przestały wykonywać działania typowo policyjne i zaczęto szkolić je do walki”. Ideą programu K9 (także w Polsce) było bowiem zawsze to, by pies był zintegrowany z żołnierzami i wspólnie z operatorami ruszał do akcji.

Stworzenie programu K9 w jednostce GROM nie było jednak proste. Kłopoty były związane przede wszystkim z przepisami oraz z tym, że w kraju nie było specjalistów do takiego szkolenia. Brakowało też odpowiednich hodowli, z których można by kupić zwierzęta. Jako pierwszy nowe umiejętności zdobywał właśnie „Pawul”, który w 2012 roku pojechał do najlepszego w Europie ośrodka szkolącego psy i przewodników. Tam kupił dwa pierwsze czworonogi. Zwierzęta miały już za sobą przeszkolenie z posłuszeństwa i były przygotowane do wykrywania substancji wybuchowych. „To był fundament, dalszym szkoleniem zajęliśmy się sami. Dziś w GROM-ie mamy więcej psów o podobnym profilu”, przyznaje twórca K9.

W sekcji K9 w GROM-ie do każdego zwierzęcia przypisano operatora zespołu bojowego. Potrzebni też byli trenerzy, którzy zajęliby się szkoleniem czworonogów. „Znalazłem odpowiedniego kandydata w sekcji bojowej. Żołnierz przeszedł sześciomiesięczny kurs przygotowawczy. Bardzo ciężko pracował, szkolił psy m.in. dla jednostek specjalnych. Wrócił z olbrzymim bagażem doświadczeń, z których czerpaliśmy garściami. Od razu stworzyliśmy specyfikację, sprecyzowaliśmy, jakie psy sami chcemy mieć. A jakie chcieliśmy? Najlepsze na świecie”, mówi były komandos.

Oczekiwania dotyczyły przede wszystkim rasy. Są dwie, które spełniają wymagania GROM-u – krótkowłose owczarek belgijski Malinois (w jednostce nazywany Maliniakiem) oraz owczarek holenderski. Żołnierze wyjaśniają, że są one odporne na skrajne różnice temperatury, bardzo wytrzymałe i niesamowicie chętne do pracy. Jak przyznają ich przewodnicy, nagrodą dla tych psów nie jest głaskanie czy smakołyk, lecz po prostu sama praca. Nie oznacza to jednak, że każdy owczarek holenderski i belgijski nadaje się do służby w GROM-ie.

Zanim psy rozpoczną służbę w elitarniej jednostce wojsk specjalnych, muszą przejść pewnego rodzaju selekcję. Powinny reagować na podstawowe komendy, nie bać się wystrzałów, wybuchów, wysokości, śliskich →

powierzchni, huku śmigłowca i muszą... gryźć. „Podczas takich egzaminów zwierzę musi umieć gryźć w pomieszczeniu, w którym bez przerwy wybuchają petardy, pozorant jest agresywny lub zupełnie pasywny. Sprawdzamy też, jak pies zachowuje się w otoczeniu innych zwierząt, na przykład owiec czy kur. Dla nas ważne jest, czy mimo wielu bodźców będzie umiał się skupić na szukaniu jakiegoś ukrytego materiału wybuchowego, czy też raczej zajmie się obiadem”, śmieje się twórca K9.

Psy nie należą do najcięższych – ważą około 30 kg. To optymalna waga, która pozwala na to, by operator mógł swobodnie zwierzę podnieść, przenieść na plecach, desantować się z nim na linie ze śmigłowca czy skoczyć ze spadochronem. Operatorzy na czterech łapach pracują w GROM-ie od 2014 roku. Służą z żołnierzami w zespołach bojowych, codziennie trenują, wykonują najniebezpieczniejsze zadania. Ich imiona, podobnie jak dane żołnierzy wojsk specjalnych, są objęte tajemnicą.

DUETY SPECJALNE

Marcin jest opiekunem jednego z psów. Gdy poznamy ten duet, nie możemy się powstrzymać, by nie pogłaskać zwierzęcia. Marcin zgadza się na to niechętnie i wyjaśnia, że jego owczarek holenderski, czasami zwany „Hieną”, za tym nie przepada. „To twardziel, nie lubi miziania za uchem”, wyjaśnia przewodnik.

Jego pies służy w jednostce już cztery lata. „Jest bardzo silny psychicznie i fizycznie, zupełnie różny od psów domowych, a nawet interwencyjnych policyjnych”, mówi Marcin. I wyjaśnia, że taki pies zwiększa bezpieczeństwo operatorów wykonujących zadania. „To dodatkowe uszy i nos. Poza tym zwierzę ma unikatowe umiejętności”. Na jednym z filmów, które pokazują nam przewodnicy, widzimy owczarkę wykonującego podczas szkolenia skok spadochronowy w tandemie z wysokości 4 tys. m. Podczepiony pod skoczka zwierzę nie wygląda na zestresowanego. Nie męczy się także w czasie pływania czy długiej pracy w śniegu. Pies był już niemal na wszystkich kontynentach, sprawdził się w każdym klimacie, ma za sobą nie tylko skoki spadochronowe, lecz także zjazdy na linie ze śmigłowców, szkolenie w wodzie i w wysokich górach. „Tylko raz zda-

OPERATORZY NA CZTERECH ŁAPACH PRACUJĄ W GROM OD 2014 ROKU. SŁUŻĄ Z ŻOŁNIERZAMI W ZESPOŁACH BOJOWYCH, CODZIENNIE TRENUJĄ, WYKONUJĄ NAJNIEBEZPIECZNIEJSZE ZADANIA. ICH IMIONA, PODOBNIK JAK DANE ŻOŁNIERZY, SĄ OBJĘTE TAJEMNICĄ



rzyła się sytuacja, gdy po kilku godzinach brodenia w wysokich zaspach śnieżnych dał odczuć, że nie bardzo mu się podoba to zadanie, ale wówczas był już naprawdę zmęczony”, wyjaśnia „Pawul”.

Podczas spotkania pies Marcina ma na sobie pełne wyposażenie, m.in. specjalistyczną kamizelkę. Można do niej podłączyć kamerę i za jej pośrednictwem obserwować teren oraz budynki sprawdzane w trakcie operacji. Ponadto kamizelka ma uchwyty wykorzystywane w technikach wysokościowych, na przykład gdy trzeba zjechać na linie ze śmigłowca, albo w czasie transportu, gdy żołnierze wciągają psa na wyższą kondygnację. Na brzuchu kamizelka jest wzmocniona, by chronić zwierzę przed skaleczeniem, gdyby czołgał się po trudnym terenie. Do niej można podpiąć wiele gadżetów, m.in. radio, ale żołnierze podkreślają, że im mniej pies ma na sobie, tym sprawniej się porusza. Jest wtedy szybszy, a co za tym idzie – lepiej wykonuje swoje zadania. „Gdy zakładam mu kamizelkę i kaganiec, wie, że zaczyna się robota. Jego czujność się

wzmaga, cały czas trzyma sektor. Ubezpiecza mnie. Aktywuje się na moją komendę albo na zagrożenie – napaść lub użycie jakiegoś niebezpiecznego narzędzia”, wyjaśnia Marcin.

Na pysku pies ma kaganiec z ukrytą wewnątrz blachą, który służy nie tylko do ochrony przed ugryzieniem, ale także jest narzędziem wykorzystywanym podczas walki. Kiedy zwierzę uderza nim, może spowodować wiele dotkliwych obrażeń. Owczarek ma na sobie także obrożę elektryczną, która umożliwia przewodnikowi dyskretne przywołanie go za pomocą wibracji, tak aby nikt tego nie słyszał. Ma ona

też funkcję podświetlania, której czasami używa się, gdy jest ciemno.

WOLA WALKI

Podczas szkolenia w jednostce psy trenują z pozorantami. To chyba jedna z najbardziej odpowiedzialnych, a zarazem niewdzięcznych ról, bo polega na tym, że żołnierz staje się celem ataku psa. Jak podkreślają operatorzy, tylko w ten sposób można nauczyć

zwierzę działania w czasie walki. Podstawowym sprzętem pozoranta jest gruby kombinezon, chociaż nawet mimo tej ochrony ugryzienie boli, a po treningach często pozostają na ciele siniaki. Najważniejsze jednak jest to, by umieć przezwyciężyć strach, wiedzieć, jak się osłonić, a jednocześnie wystawić na atak odpowiednie części ciała. „Wyobraźcie to sobie. Rozwścieczony pies biegnie w waszą stronę, a wy widzicie jedynie jego pysk i ogromne zęby. Nie jest to proste, zwłaszcza że pozorant nie ma osłoniętej twarzy ani szyi”, dodaje twórca K9.

Celem wieloetapowego i wyczerpującego szkolenia w GROM-ie jest uzyskanie posłuszeństwa psów i ich skuteczności w działaniu. Szczególnie ważne są zajęcia spadochronowe. „Z psem może skoczyć żołnierz, który ma za sobą co najmniej 200 skoków”, wyjaśnia „Pawul”. Czy zwierzę czuje się bezpiecznie w samolocie? Oficer, który takie skoki obserwował wielokrotnie, twierdzi, że podróżowanie samolotem nie jest tym, co czworonogi kochają najbardziej. Mimo to psy GROM-u nie sprawiają wrażenia przestraszonych, nie panikują, nie widać po nich jakiegokolwiek lęku. „Powieć tak: robią swoją robotę mimo wszystko. A nam właśnie o to chodzi”, przyznaje żołnierz. Jakie doświadczenie bojowe mają psy z GROM-u? To jest trzymane w ścisłej tajemnicy. Wiadomo jedynie, że przejechały wszystkie kontynenty i wykonują zadania zgodnie ze swoim wyszkoleniem.

Psy bojowe to jednak coś więcej niż tylko „cyborgi”, które wypełniają polecenia żołnierza. Operatorzy nie kryją, że bardzo żyli się ze swoimi podopiecznymi. „Co rano, gdy przychodzę do jednostki, moje pierwsze kroki kieruję właśnie do niego. Na początku zawsze idziemy na spacer, później jest jedzenie i trening. Spędzam z psem niemal cały dzień, przyjeżdżam też w weekendy i w czasie urlopów”, mówi Marcin. Ale zwierzęta za okazane serce potrafią się zrewanżować. Żołnierze pokazują nam jeszcze jeden film ze szkolenia. Podczas nagrania sekcja szkoli się w tzw. killing house, czyli budynku, w którym ćwiczy się walkę wewnątrz z użyciem ostrej amunicji. Najpierw pies z ogromną szybkością wbiegł do budynku, sprawdzał kolejne pomieszczenia, szukając terrorystów. Kilka kroków za nim byli operatorzy GROM-u. Gdy zadanie zostało wykonane, żołnierze jeden za drugim opuszczali obiekt przez uchylone okno. Nagle jeden z nich zaczęła plecakiem o futrynę i nie mógł się dalej ruszyć. Wówczas pies skoczył na niego, popchnął z całej siły, dzięki czemu mężczyzna wydostał się na zewnątrz. „Uczyliście ich tego?”, pytamy. „No właśnie nie, bycia kumplem w zespole nauczyły się same”, przyznają. ■





MICHAŁ ZIELIŃSKI

Tango nad Litwą

Utracenie łączności z samolotem jest jedną z głównych przyczyn interwencji par dyżurnych w czasie misji „Baltic Air Policing”.

Przez niewielkie okno w kadłubie alenii C-27 widać w oddali charakterystyczny, ciemny punkt odcinający się od śnieżnobiałej powłoki chmur. W ciągu kilkunastu sekund tuż pod skrzydłem spartana pojawia się F-16 Królewskich Holenderskich Sił Powietrznych. Myśliwiec próbuje nawiązać kontakt z pilotem transportowca, który nie odpowiada na wezwanie wieży kontroli lotów (takie sytuacje utraty łączności określa się jako COMLOSS). Po chwili pojawia

się druga maszyna. Chociaż „efy” przypominają rekiny zacieśniające kręgi wokół ofiary, nie przyleciały tu po to, by atakować. Piloci F-16 przede wszystkim mają udzielić pomocy, bo najczęściej pojawiają się wtedy, gdy dochodzi do awarii ze względu na usterkę techniczną lub błąd człowieka. Taka interwencja jest konieczna, bo zerwanie łączności samolotu z kontrolerem lotu czasami jest skutkiem poważnych problemów na pokładzie i może doprowadzić do obrania kursu koli-



zyjnego. Zdarza się jednak, że piloci celowo unikają kontaktu radiowego.

ROBIMY TO W OSTATECZNOŚCI

„Zwykle nie podchodzimy tak blisko jak dziś. Zasobnik Sniper XR oraz pozostałe sensory zamontowane w naszych samolotach pozwalają nam zidentyfikować statki powietrzne z dużej odległości. Ma to znaczenie szczególnie w wypadku liniowców i innych maszyn cywilnych, których

**W PRZESTRZENI
POWIETRZNEJ
PAŃSTW BAŁTYC-
KICH NIE PANUJE
DUŻY RUCH, ALE
ZDARZA SIĘ, ŻE
DO TEGO SAMEGO
ZGŁOSZENIA POD-
RYWA SIĘ KILKA
PAR MYŚLIWCÓW**





piloci nie przywykli do wykonywania takich manewrów”, wyjaśnia Midas, kapitan Holenderskich Królewskich Sił Powietrznych. Normalnie utrzymuje dystans około kilometra i z tej odległości zdobywa wszystkie potrzebne informacje. Dzięki zasobnikom może sprawdzić oznaczenia przechwyconego samolotu i przesłać je do Litwinów pełniących dyżur w centrum kontroli przestrzeni powietrznej w Kormiałowie. Gdy to robi, czeka na dalsze wytyczne.

„Mamy możliwość nawiązania bezpośredniej łączności z przechwyconym samolotem, ale robimy to w ostateczności. To zadanie personelu naziemnego”, tłumaczy kapitan. I dodaje: „Kontrolerzy lotów każdy incydent zgłaszają naj-

pierw do Połączonego Centrum Operacji Powietrznych w Uedem, które bada sytuację i uzyskane informacje przekazuje służbom dyżurnym w Kormiałowie. One natomiast wzywają nas”. Od tego momentu pełniący dyżur w „Baltic Air Policing” mają maksymalnie kilkanaście minut na start. Kiedy już są w powietrzu, poznają lokalizację celu oraz prawdopodobny status zdarzenia. Nigdy jednak do końca nie wiedzą, jaką sytuację zastaną na miejscu.

JESTEŚMY TYLKO NARZĘDZIEM

Tym razem w czasie międzynarodowych ćwiczeń „Ramstein Alloy 4” mieli do czynienia z „Tango



W POWIETRZU SPOTYKAJĄ SIĘ NIE TYLKO MASZYNY NATO, LECZ TAKŻE INNYCH PAŃSTW, M.IN. ZE SZWECJI. TYM RAZEM DO F-16 DOŁĄCZAJĄ EUROFIGHTERY LUFTWAFFE

Scramble”. W nomenklaturze sojuszu północnoatlantyckiego ten kod oznacza statek powietrzny, który należy przechwycić w ramach treningu. Misje tego typu zdarzają się nawet kilka razy dziennie. Prawdziwe

zagrożenie mogą nieść natomiast zgłoszenia oznaczone jako „Alpha Scramble”. Od 1 stycznia 2017 roku odnotowano kilkanaście takich incydentów. Najczęściej dotyczyły one samolotów cywilnych linii lotniczych, ale litewską przestrzeń powietrzną kilkukrotnie naruszyły też rosyjskie An-26.

„Jesteśmy gotowi do działania 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Po każdym alarmie pojawia się taka adrenalina, że osiągamy szczyt naszych możliwości. Jednocześnie jesteśmy jedynie narzędziem w rękach dowództwa i kontrolerów. Udajemy się we wskazane miejsce, rozwiązujemy pro-

blem i kiedy komunikacja zostaje już nawiązana, wracamy do bazy”, tłumaczy Midas. Kapitan zaznacza, że w przestrzeni powietrznej państw bałtyckich nie panuje duży ruch, ale zdarza się, że do tego samego zgłoszenia podrywa się kilka par myśliwców.

W powietrzu spotykają się nie tylko maszyny NATO, lecz także innych państw, m.in. ze Szwecji. Tym razem do F-16 dołączają eurofightery Luftwaffe stacjonujące w estońskiej bazie lotniczej Ämari. Przez kilkanaście minut holenderskie i niemieckie samoloty eskortują przechwyconego spartana i nagle... znikają, jakby rozplynęły się w powietrzu.

Ćwiczenia „Ramstein Alloy 4” odbywają się trzy razy w roku. „Od ośmiu lat cyklicznie przeprowadzamy rutynowe ćwiczenia z interoperacyjności oraz koordynacji sił zaangażowanych w misję »Baltic Air Policing«. Umożliwiają one kompleksowy trening procedur powietrznych, dzięki któremu możemy utrzymać bezpieczeństwo w przestrzeni powietrznej sojuszu”, twierdzi gen. bryg. Paddy Teakle, zastępca komendanta dowództwa sojuszniczych sił wczesnego ostrzegania i prowadzania – AEW&C NATO.

Pod koniec kwietnia 2017 roku myśliwce z Holandii, Niemiec, Polski i Norwegii razem z amerykańską cysterną lotniczą i natowskim AWACS-em przeprowadzały trening lotniczy obejmujący przechwytywanie samolotów ze statusem COMLOSS, asekurację uszkodzonych maszyn oraz tankowanie w powietrzu. W scenariuszach ćwiczeń uwzględniono także walkę powietrzną. ■

ANTONI MACIEREWICZ

Nie boją się wyzwań

**Słowa dewizy Wojska Polskiego – Bóg,
Honor, Ojczyzna – są odzwierciedleniem
idei przyświecających funkcjonariuszom
SKW – takich jak patriotyzm,
zapewnienie bezpieczeństwa państwa
oraz stanie na straży jego tajemnic.**

Zorganizowana i zarządzana nowocześnie Służba Kontrwywiadu Wojskowego potrafi sprostać wyzwaniom i zagrożeniom XXI wieku, a jednocześnie kultywuje tradycje. Nawiązują one do dziejów kontrwywiadu wojskowego II Rzeczypospolitej, gdy Wojsko Polskie toczyło zacięte i zwycięskie wojny o niepodległość Polski oraz jej kształt terytorialny, a także Polskiego Państwa Podziemnego – zarówno Armii Krajowej, jak i Narodowych Sił Zbrojnych, walczących o niepodległość z okupantem niemieckim i sowieckim w czasie II wojny światowej.

SIŁA TRADYCJI

Ustanowienie Święta Służby Kontrwywiadu Wojskowego miało na celu upamiętnienie wyodrębnienia kontrwywiadu ze struktur wywiadu (Oddziału II Informacyjnego Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego) w 1920 roku, gdy walki z Rosją Sowiecką o niepodległość Ojczyzny osiągnęły apogeum. Powstała Samodzielna Sekcja VII Defensywy podporządkowana bezpośrednio szefowi Oddziału II Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego. Jej zadaniem było organizowanie i prowadzenie działalności kontrwywiadowczej na terenach frontowych, monitorowanie osób podejrzanych o działalność szpiegowską i wywrotową, rozpoznawanie aktywności wywiadów państw wrogich Polsce, gromadzenie informacji oraz prowadzenie działalności śledczej w sprawach o wyjątkowym

znaczeniu dla państwa, zwłaszcza dotyczących szpiegostwa. W wykonywaniu zadań Sekcja VII Defensywy ściśle współdziałała z Żandarmerią Wojskową i cywilnymi służbami ochrony porządku publicznego.

Święto SKW obchodzone 22 czerwca symbolizuje wartości wyznawane przez kontrwywiad niepodległej II Rzeczypospolitej i konspiracyjne służby kontrwywiadu AK i NSZ: Bóg, Honor, Ojczyzna. Słowa dewizy Wojska Polskiego nawiązują do najlepszych tradycji oręża polskiego oraz służby Ojczyźnie. Są odzwierciedleniem idei przyświecających funkcjonariuszom – żołnierzom i pracownikom SKW – takich jak patriotyzm, zapewnienie bezpieczeństwa państwa oraz stanie na straży jego tajemnic. Święto jest też hołdem dla żołnierzy i pracowników kontrwywiadu okresu międzywojennego oraz z czasów II wojny światowej, konspiracyjnych Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych.

DAŻENIE DO NOWOCZESNOŚCI

Służbę Kontrwywiadu Wojskowego powołano 1 października 2006 roku. W czasie pokoju pozostaje ona poza strukturami Sił Zbrojnych RP, a w razie ogłoszenia powszechnej lub częściowej mobilizacji oraz w czasie wojny wchodzi w skład Sił Zbrojnych RP. Zostałem pierwszym szefem nowej służby specjalnej. Okoliczności jej powstania sięgają procesu likwidacji postkomunistycznych Wojskowych Służb Informacyjnych. Z uwagi na wykraczający





ZNACZĄCE SUKCESY SKW ODNOTOWAŁA ZWŁASZCZA

W WYKONYWANIU ZADAŃ ZWIĄZANYCH Z ZAPEWNIENIEM BEZPIECZEŃSTWA POLSKICH SIŁ ZADANIOWYCH W AFGANISTANIE

poza określony prawem obszar działania WSI, Sejm przyjął w 2006 roku – z inicjatywy prof. Lecha Kaczyńskiego, prezydenta RP, zwierzchnika sił zbrojnych – ustawy o likwidacji i weryfikacji WSI oraz o powołaniu w ich miejsce Służby Kontrwywiadu Wojskowego i Służby Wywiadu Wojskowego. W rezultacie przyjętych ustaw prezydent i prezes Rady Ministrów powołali członków Komisji Weryfikacyjnej WSI, na której czele stanąłem, a minister obrony narodowej powołał Komisję ds. Likwidacji WSI kierowaną przez historyka dr. hab. Sławomira Cenckiewicza. Jednocześnie zostałem wiceministrem obrony narodowej, a potem sekretarzem stanu odpowiedzialnym za proces likwidacji i weryfikacji WSI.

Służba ta ostatecznie przestała istnieć we wrześniu 2006 roku, a majątek i aktywa podzielono między nowo powstałe SKW i SWW. W październiku 2006 roku Komisja ds. Likwidacji WSI złożyła marszałkowi Sejmu, za pośrednictwem Sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych, sprawozdanie z działalności, a Komisja Weryfikacyjna WSI sporządziła raport z weryfikacji, który decyzją prezydenta RP prof. Lecha Kaczyńskiego został odtajniony i ogłoszony w lutym 2007 roku.

Priorytetami Służby Kontrwywiadu Wojskowego były ochrona sił zbrojnych przede wszystkim przed zagrożeniami wynikającymi z działalności szpiegowskiej i przestępczej, a także wykonywanie zadań w dziedzinie ochrony kryptograficznej, informacji niejawnych oraz kryptoanalizy i radiokontrwywiadu.

Żołnierze i funkcjonariusze SKW zabezpieczają kontrwywiadowczo także polskich żołnierzy poza granicami kraju, pełniących służbę m.in. w polskich kontyngentach wojskowych. Znaczące sukcesy służba odnotowała zwłaszcza w wykonywaniu zadań związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa Polskich Sił Zadaniowych w Afganistanie. W tym miejscu podkreślenia wymaga bardzo owocna współpraca ze służbami specjalnymi państw NATO. Działalność Służby Kontrwywiadu Wojskowego stanowi element międzynarodowego systemu bezpieczeństwa. SKW chroniła polskich żołnierzy również w trakcie misji w Iraku, Czadzie, Libanie, na Wzgórzach Golan oraz w basenie Morza Śródziemnego. Do dziś SKW zapewnia ochronę kontrwywiadowczą misji w Bośni i Hercegowinie oraz Kosowie.

Nowoczesne i nieszablonowe podejście do swojej roli pozwala SKW zdobywać informacje istotne dla bezpieczeństwa sfery obronności, które stanowią cenne wsparcie w podejmowaniu ważnych decyzji przez najważniejsze osoby w państwie. Z roku na rok kontrwywiad wojskowy zmienia swoje oblicze – unowocześnia sprzęt, rozwija zaplecze logistyczne oraz wprowadza nowe, bardzo zaawansowane technologie. Wiele wysiłku wkłada się również w aktywny rozwój personelu. Kadre SKW tworzą żołnierze Wojska Polskiego, funkcjonariusze oraz pracownicy cywilni.

W służbach jest coraz większe zapotrzebowanie na pracowników dysponujących ponadprzeciętną wiedzą z ekonomii, prawa czy też łączności i informatyki. To jest doskonałe miejsce dla ludzi, którzy pracują na rzecz Ojczyzny, nie boją się wyzwań, nowych technologii oraz ciężkiej służby w misjach wojskowych działających w wielu regionach świata, często na obszarach objętych działaniami zbrojnymi. ■

ANTONI MACIEREWICZ jest ministrem obrony narodowej.



ŁUKASZ ZALESIŃSKI

U nas zawsze coś się dzieje

**Roboczy wół – tak o Grupie Jednostek Pływających mówią marynarze.
Zawsze w cieniu, gdzieś za kulisami, ale niechby ich zabrakło...**

MARIAN KLUCZYŃSKI

Jadę do Portu Wojennego w Gdyni, żeby zobaczyć, jak wygląda służba marynarzy, o których rzadko się mówi. Mam spędzić wczesne popołudnie na pokładzie holownika H-8. Tylko muszę wstrześć się w moment, kiedy akurat będzie stał przy nabrzeżu. H-8 to największy i najsilniejszy holownik w 3 Flotylli Okrętów, jednostka grupowa. Oznacza to, że dowodzi nią oficer, który jednocześnie kieruje poczynaniami całej Grupy. Od niedawna rolę tę pełni kpt. mar. Ewa Pawlak, ale dziś ma ona całodobową służbę w sztabie, zastępuje ją więc podoficer – mł. chor. mar. Cyryl Szalewski, bo holownik nie może stać bezczynnie. Wskakuję zatem na pokład i ruszamy. Będziemy asystować okrętowi podwodnemu ORP „Bielik”, który za chwilę wychodzi w morze na ćwiczenia.

BECZKA PROSTO Z AMERYKI

Do tej pory holowniki widywałem głównie z daleka. Szara, sunąca na horyzoncie sylwetka, a za nią tarcza. To do niej strzelali operatorzy armat z trałowców, korwety czy okrętów transportowo-minowych, na których miałem okazję bywać. Zawsze zastanawiałem się, co w tym mo-

mentcie czuje załoga holownika. „No cóż, czasami serce mocniej zabije. Tarczę, w zależności od jednostki, która z nami ćwiczy, i warunków na morzu holujemy 400, 1000, 1200 m za rufą. Ale i tak gdzieś w głowie przez cały czas pozostaje poczucie, że w naszym kierunku lecą pociski. A gdyby tak operator się pomylił, omsknęłaby mu się ręka? Na szczęście nic takiego nigdy się nie zdarzyło”, uśmiecha się mł. chor. mar. Szalewski.

Bo, wbrew pozorom, na pokładzie holownika o emocje wcale nie tak trudno. Załogi większość zadań wykonują w porcie albo jego okolicy, ale kiedy już wyjdą w morze, jest o czym opowiadać. „Kiedyś dostaliśmy rozkaz, by przetransportować na jedną z naszych fregat beczkę z olejem”, wspomina mł. chor. mar. Szalewski. „Beczka przyleciała specjalnie ze Stanów Zjednoczonych, a fregata akurat brała udział w Baltopsie i kręciła się gdzieś za Półwyspem Helskim. Aby pójść dalej, załoga musiała uzupełnić zapas oleju. A tu pogoda, delikatnie mówiąc, kiepska: deszcz, wiatr, kilkumetrowa fala. Sztorm prawie”, opowiada. Wyjścia w morze nie można było jednak przełożyć. „Holownik ciężko znosi takie warunki. Nie dość, że



POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO
WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTAJCIE O MARY-
NARZACH, PILOTACH,
LOGISTYKACH, ARTYLE-
RYSTACH, PRZECIW-
LOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

RADOSŁAW PIOCH / 3FO (3)

jest mały, to jeszcze ma płaski dziób, bo to ułatwia dopychanie okrętów cumujących w porcie. Wysoka fala sprawia, że niemal staję w miejscu, silnik buzuje, jednostka odzyskuje moc i znów idzie naprzód. Potem kolejna fala, stop i znowu do przodu. Wreszcie dotarliśmy do fregaty”, opowiada podoficer. Potem jeszcze tylko trzeba było podejść do niej od zawietrznej, wyrzucić odbijacz, by nie roztrzaskać się o jej burtę, stanąć w pobliżu okrętowego dźwigu i na opuszczonych hakach zamocować 200-kilogramową beczkę. „Bułka z masłem to nie była, ale daliśmy radę”, przyznaje mł. chor. mar. Szalewski.

Równie ciekawie było, kiedy pewnego razu H-8 wracał z morskiego poligonu w Ustce. „Zabezpieczaliśmy strzelania wykonywane z lądu. Rozstawialiśmy pole tarczowe, pilnowaliśmy, by nikt nie przekraczał granic poligonu. Staliśmy tam dwa tygodnie”, wspomina bsmt Mateusz Puto, młodszy technik w załodze H-8. Pogoda była świetna. Załamanie przyszło, kiedy wraca-

li do Gdyni. „Szliśmy w odległości dwóch, trzech mil od brzegu, czyli teoretycznie ląd powinniśmy mieć w zasięgu wzroku. Kiedy jednak zebrały się chmury, powiało, a woda zaczęła przelewać nam się przez pokład, zrobiło się ciężko. Z GSD [główne stanowisko dowodzenia, któremu na cywilnych jednostkach odpowiada kapitański mostek] niewiele było widać, w dodatku zaczęły nam się grzać agregaty”, opowiada bsmt Puto. H-8 musiał się schronić do cywilnego portu we Władysławowie, poczekać, aż wspomniane agregaty przestygną i dopiero potem ruszyć dalej. Przejście do Gdyni zajęło załodze w sumie 13 godzin.

„Mielśmy już wyjścia, podczas których na środku mesy wylądował przytwierdzony do ściany telewizor, a w kuchni przewróciła się przywiązana lodówka. Długo się zastanawiałem, do czego służą uchwyty na wysokości ręki, które mamy w toalecie. Aż przyszedł dzień, że przestałem się zastanawiać...”, uśmiecha się ➔

U NAS PRZEZ CAŁY CZAS ŻYCIE PRZYNOSI COŚ NOWEGO, ZAWSZE COŚ SIĘ DZIEJE. CZASAMI MAM WRAŻENIE, ŻE WIĘCEJ NIŻ NA DUŻYCH OKRĘTACH BOJOWYCH



bsm. Marek Mazurek, który na H-8 pełni funkcję bosmana okrętowego. Trzeba się jednak mierzyć z pogodą, bo są zadania, których przełożyć nie sposób. „Bardzo dużo daje służba w nocy, przy kiepskiej pogodzie i zmęczeniu. Pozwala nabyć doświadczenia, uodparnia, sprawia, że po prostu stajemy się lepszymi marynarzami”, podsumowuje kpt. mar. Ewa Pawlak.

OKRĘT NA OKU

Tymczasem dochodzimy do portowego base-
nu, w którym na co dzień cumują okręty pod-
wodne. Przy „Bieliku” ruch. Marynarze z jego

załogi wnoszą na pokład pakunki, a my stajemy w dryfie i czekamy. Radio na GSD trzeszczy i co chwila wyrzuca z siebie komunikaty nadawane przez kapitanat gdyńskiego portu. Panuje spory ruch, bo przez portowe główki za naszymi plecami w morze wychodzą okręty i jednostki cywilne. „Trochę się spóźniają...”, rzuca jeden z marynarzy i wskazuje na „Bielika”.

Choć dopiero co minęła 12.00, dla załogi H-8 to dziś już trzecie zadanie. Wcześniej rano trzeba było popłynąć po tarcze – cele, kołyszące się teraz na wodzie przy nabrzeżu, z którego korzystają jednostki Grupy. „Po południu trzeba je be-

TRZY PYTANIA DO

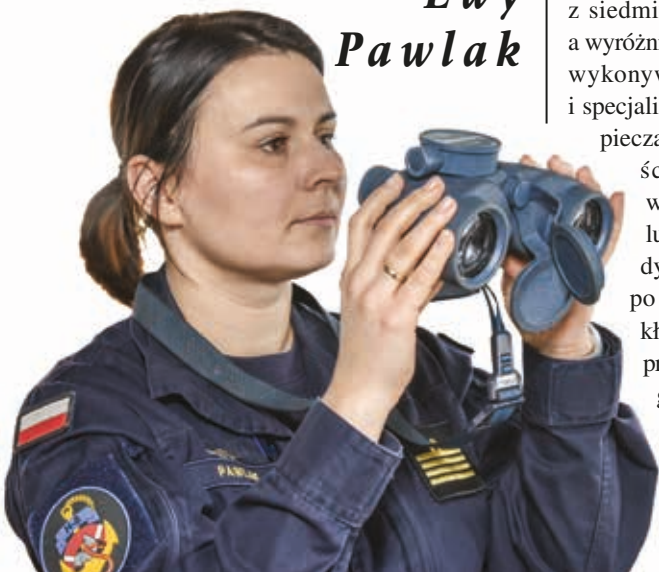
**Ewy
Pawlak**

Co wyróżnia Pani jednostkę?

Grupa, którą dowodzę, składa się z siedmiu jednostek pływających, a wyróżnia nas bardzo szeroki zakres wykonywanych prac. Holowniki i specjalistyczna motorówka zabezpieczają wyjścia z portów i wejścia okrętów do portów w Gdyni, Gdańsku oraz Helu. Jesteśmy w pobliżu, kiedy manewrują. A wszystko po to, by pomóc im w razie kłopotów: kiedy na przykład przestaną działać silniki, ster, gdy kiepskie warunki uniemożliwiają okrętowi samodzielne cumowanie. To jednak nie wszystko. Jednostki naszej Grupy wychodzą w morze, by

pomóc w wykonywaniu zadań ognio-
wych. Holowniki ustawiają lub
holują tarcze, które stają się celami,
a jeden z kutrów jest przeznaczony
do wyławiania z morza ćwiczebnych
torped. Nasi marynarze pilnują też
granic poligonów morskich, by pod-
czas ćwiczeń nie przekraczały ich
cywilne jednostki. Holowniki na
zmianę pełnią tygodniowe dyżury ra-
townicze, a zimą kruszą lód w base-
nach portowych. Do tego dochodzą
zadania transportowe: czasem na po-
zostające w morzu okręty trzeba do-
starczyć na przykład materiały pędne
czy części zamienne. Podczas cwi-
czeń czy akcji ratowniczych współ-
działamy ze śmigłowcami z Brygady
Lotnictwa Marynarki Wojennej, wy-
konujemy zadania na rzecz Straży

MARIAN KLUCZYŃSKI





dzie zamocować do rufy, bo jutro nie będzie czasu. O 5.00 rano wychodzimy z portu, o 8.00 musimy być w rejonie Wisłoujścia”, tłumaczy bsm. Mazurek. Na tamtejszym poligonie będą strzelały z armat do tarcz załogi fregaty ORP „Gen. T. Kościuszko” i korwety ORP „Kaszub”.

Po odebraniu tarcz trzeba było przeholować przez port barkę ekologiczną B-7, która służy do zbierania z okrętów zużytego oleju czy odpadów ropopochodnych. Potem zostawia się je w porcie, gdzie są utylizowane. Oczywiście to pracowity dzień nie tylko dla H-8. Jak się wkrótce dowiem, w morze wyszły dziś trzy inne jednostki Grupy.

ORP „Bielik” po kilkunastu minutach odcumowuje od nabrzeża i wolno zmierza ku wyjściu z basenu. Silnik H-8

ponownie ożywa i holownik robi zwrot. Ruszamy w ślad za okrętem.

MONOTONIA? TO NIE U NAS

Telefony rozdzwoniły się nad ranem: „Na wysokości Helu płonie jacht. Musicie jak najszybciej stawić się w porcie”. „Na burcie byliśmy o 6.30. Ostatecznie jednak nie wyszliśmy w morze. Alarm został odwołany. Żeglarza zabrała na pokład inna jednostka, która znajdowała się w pobliżu. Ona też zajęła się gaszeniem pożaru”, tłumaczy kpt. mar. Pawlak. Na takie sytuacje marynarze z H-8 muszą być jednak przygotowani. Holownik od lat jest włączony w system dyżurów ratowniczych. „Taki dyżur trwa tydzień. Przez ten czas wszyscy członkowie załogi muszą być przez całą dobę pod telefonem”, wyjaśnia mł. chor. mar. Szalewski. Oczywiście może się zdarzyć, że ktoś będzie chory, a ktoś inny na szkoleniu. Wtedy zastępuje go marynarz posiadający odpowiednie uprawnienia. Takie rozszady nie są zresztą w GJP rzadkością. Szalewski na przykład na co dzień jest dowódcą motorówki cumowniczej M-22, ale w trakcie ponad 20 lat służby zdołał poznać wszystkie typy jednostek Grupy niemal od podszewki. Dlatego, kiedy trzeba, jest do dyspozycji.

H-8 został wyposażony w działo do gaszenia pożarów i cztery pompy osuszające. Na holowniku przewidziano ➔

Granicznej czy komandosów morskich z Formozy i GROM-u. Holowniki z Grupy są przystosowane do udzielania pomocy uszkodzonym jednostkom pływającym, w tym do gaszenia pożarów, usuwania przebieć, ściągania z mielizny. Jest tego naprawdę sporo.

Jakimi predyspozycjami muszą wykazać się marynarze służący w Grupie?

Przede wszystkim muszą mieć coś, co nazwałabym powołaniem morskim. Służba u nas jest trudna i wymaga pełnej dyspozycyjności. Bardzo często marynarze wykonują zadania w weekendy, wieczorami, w nocy. Nierzadko są to rzeczy, które nie były wcześniej planowane. Czło-

wiek idzie do domu, a po chwili dostaje telefon i słyszy: „Musisz wrócić”. To wymaga dużego zaangażowania, cierpliwości, no i pracowitości. Do tego dochodzi oczywiście wiedza, ale o to nie muszę się martwić. W Grupie mamy doświadczonych podoficerów, od których ja sama mogę się naprawdę wiele nauczyć.

A jakich ludzi potrzebujecie?

Najmiej widziani są ci z wykształceniem morskim – marynarze i podoficerowie. Wojsko daje możliwość poszerzania wiedzy, zdobywania nowych umiejętności, ale niezależnie od tego mamy w Grupie żołnierzy, którzy robią to dodatkowo, na własną rękę. To bardzo ważne. Przychodzą

do nas marynarze, którzy mają za sobą służbę na dużych jednostkach, w Dywizjonie Okrętów Wsparcia czy nawet w Dywizjonie Okrętów Bojowych. Oni z łatwością przystosowują się do nowego otoczenia i obowiązków. Raczej jednak się nie zdarza, by zgłaszali się żołnierze z innych rodzajów sił zbrojnych. Służba na morzu to jednak bardzo specyficzne zajęcie... W sumie obsada Grupy nie jest liczna, a obowiązków mamy sporo. Dlatego każdy, kto tu przyjdzie, musi się liczyć z ciężką pracą, ale też przyjazną, niemal rodzinną atmosferą. ■

Kpt. mar. EWA PAWLAK jest dowódcą Grupy Jednostek Pływających, która wchodzi w skład Dywizjonu Okrętów Wsparcia 3 Flotylli Okrętów w Gdyni.

GRUPA JEDNOSTEK PŁYWAJĄCYCH

WCHODZI W SKŁAD DYWIZJONU OKRĘTÓW WSPARCIA I STANOWI CZĘŚĆ 3 FLOTYLLI OKRĘTÓW W GDYNI. JEJ POCZĄTKI WIĄŻĄ SIĘ JEDNAK Z PUCKĄ KOMENDĄ PORTU WOJENNEGO, KTÓRA ZOSTAŁA POWOŁANA PO PRZYŁĄCZENIU DO POLSKI 140-KILOMETROWEGO ODCINKA BAŁTYCKIEGO WYBRZEŻA.

Stało się to w 1920 roku. Dowództwu Komendy podlegały wówczas trzy jednostki pomocnicze: motorówka oraz dwa kupione w Finlandii holowniki – „Krakus” i „Wanda”. Sześć lat później KPW przeniosła się do Gdyni, a jej struktury – podobnie jak cała marynarka wojenna – zaczęły się rozrastać. Krótko przed wybuchem wojny do służby weszło wiele holowników i kutrów, a także okręty: szkolny ORP „Mazur”, hydrograficzny ORP „Pomorzanie” czy baza nurków ORP „Nurek”. Po zakończeniu działań wojennych w listopadzie 1945 roku w ramach KPW Gdynia został powołany Oddział Pomocniczych Środków Pływających i Przystani Głównego Portu. Wkrótce został on przemianowany na Oddział Okrętów Pomocniczych i Przystani,

a na jego czele stanął kmdr Włodzimierz Steyer. W 1974 roku jednostka ponownie zmieniła nazwę – na 45 Dywizjon Pomocniczych Jednostek Pływających i zyskała większą samodzielność. W takiej formie przetrwała 22 lata. W 1996 roku 45 Dywizjon został przekształcony w Dywizjon Pomocniczych Jednostek Pływających i na powrót włączony w struktury KPW. W jego skład wchodziły dwa okręty i 20 jednostek pomocniczych. W 2006 roku okręty ratownicze OORP „Lech” i „Piast” trafiły do nowo sformowanego Dywizjonu Okrętów Wsparcia, a sześć lat później w ich ślady poszły pozostające w służbie holowniki, kutry i motorówki. W strukturach dywizjonu zaczęła funkcjonować Grupa Jednostek Pływających.



RADOSŁAW PIÓCH / 3 F O

też etat dla dwóch marynarzy z uprawnieniami nurka, stosunkowo często więc wykorzystuje się go w akcjach poszukiwawczych i ratowniczych. Tak było kiedy podczas ćwiczeń na Bałtyku zaginął operator GROM-u albo kiedy lata temu na wodach Zatoki Gdańskiej awaryjnie lądował śmigłowiec Mi-14PŁ. „Holowanie, pomoc w cumowaniu, transport, akcje ratownicze. Nie obrażając nikogo, jesteście trochę jak te woły robocze...”, rzucam. „Tak! Tak właśnie o nas mówią. I nie ma się o co obrażać”, przyznaje bsm. Mazurek. A mł. chor. mar. Szalewski dodaje: „Ludzie myślą, że to monotonna służba, a tak wcale nie jest. U nas przez cały czas życie przynosi coś nowego, zawsze coś się dzieje.

Czasami mam wrażenie, że więcej niż na dużych okrętach bojowych”.

W Grupie służy wielu niezwykle doświadczonych marynarzy. Kiedy trzeba, zasilają załogi innych jednostek z własnego dywizjonu, choćby okrętu szkolnego ORP „Wodnik”. W przeszłości wielu z nich na stałe służyło na dużych okrętach. Kpt. Pawlak była dowódcą działu nawigacyjnego na wspomnianym „Wodniku” i zastępcą dowódcy na ORP „Bałtyk”. Z kolei bsm. Puto służył na „Bałtyku”, ale też w załodze fregaty ORP „Gen. K. Pułaski”. „Odpowiadałem tam za paliwo lotnicze do stacjonującego na pokładzie śmigłowca oraz za urządzenia do produkcji słodkiej wody. Wziąłem udział

HOŁOWNIKI I RESZTA

W SKŁAD GRUPY WCHODZI
SIEDEM JEDNOSTEK.

Najważniejszą z nich jest holownik H-8, typu H-960. Został on zbudowany w Stoczni Remontowej Nauta, a do służby wszedł w marcu 1993 roku. Jednostka ma długość blisko 28 m i szerokość 8 m. Jej zanurzenie wynosi 4,2 m, a wyporność – 332 t. Rozwija prędkość 12 w., przy której może pokonać

d y s t a n s

1150 Mm. H-9 jest

napędzany wysokoprężnym

silnikiem o mocy 1300 KM, co wraz

z bliźniaczą jednostką H-6 ze Świnoujścia czyni je najmocniejszymi holownikami polskiej marynarki. Jednostka nie została wyposażona w uzbrojenie, ma za to dwa dźwigi, działko przeciwpożarowe i łódź. W gdyńskiej stoczni Nauta powstały też

dwa starsze holowniki typu H-900/II. Noszą nazwy H-5 i H-7. Na każdym z nich bandera została podniesiona w 1981 roku. Mają one 25,5 m długości, 7,1 m szerokości oraz 2,8 m zanurzenia. Ich wyporność to 220 t, prędkość zaś – 12 w. Każda

z jednostek napędzana jest wysokoprężnym silnikiem o mocy 935 KM. W Grupie są też trzy kutry. Dwa z nich to jednostki typu 4142, zbudowane przez Tczewską Stocznę Rzeczną. K-5 wszedł do służby w 1988, a K-9 w 1989 roku. Mają one długość niespełna 19 m, szerokość niemal 4,5 m, zanurzenie 1,5 m oraz wyporność obliczoną na 45 t. Mogą rozwijać prędkość 9 w., a ich silniki mają moc 165 KM. Trzecim z kutrów jest poławiacz torped typu Kormoran. Nosi nazwę K-8. To najstarsza jednostka w Grupie. Do służby weszła w 1971 roku. Jej długość to niemal 35 m, szerokość nieco ponad 6,5 m, a zanurzenie 1,6 m. Kuter ma wyporność 133 t i rozwija prędkość 21 w.

Jego załoga liczy 18 osób.

K-9 jako jedyna jednostka w Grupie ma uzbrojenie – zamontowaną na dziobie 23-milimetrową armatę

Wróbel. Na rufie jest też dźwig zdolny podnieść ciężar 3 t. Ostatnia z jednostek Grupy to motorówka cumownicza M-22. Została zbudowana w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku przez Tczewską Stocznę Rzeczną. Jej wymiary to 10,7 na 4,3 m. Zanurzenie zostało obliczone na 1,5 m, wyporność zaś na 28,6 t. ■

MARIAN KLUCZYŃSKI

między innymi w antyterrorystycznej misji »Active Endeavour« na Morzu Śródziemnym», wspomina. Do Grupy przeszedł, ponieważ wiązało się to z awansem na wyższy stopień. „I nie żałuję”, podkreśla. „Dzięki służbie na fregacie zobaczyłem ładny kawałek świata, ale tutaj też jest ciekawie. No i panuje niemal rodzinna atmosfera”.

BIELIK BEZ PCHANIA

ORP „Bielik” wyszedł z basenu, który należy do portu wojennego, i powoli kieruje się ku główkom portu. „My pilnujemy, by nic nieoczekiwanego się nie wydarzyło. W razie gdyby zawiódł silnik albo przestały działać śruby, musielibyśmy przepchnąć okręt – albo na morze, gdzie poczekalibyśmy, aż wszystko wróci do normy, albo gdyby awaria okazała się poważniejsza, z powrotem do miejsca

cumowania”, wyjaśnia mł. chor. mar. Szalewski. Na szczęście nie dzieje się nic złego i „Bielik” szczęśliwie wychodzi na Zatokę Gdańską, a my wracamy do miejsca cumowania. Czas na obiad. Zazwyczaj gotuje go kucharz, ale teraz urodziło mu się dziecko i dostał urlop. Ktoś musi go zastąpić. „Zwykle jakoś dzielimy się takimi obowiązkami. Mamy trzy osoby, które gotują na zmianę”, tłumaczy marynarze. Jak się okazuje, całkiem nieźle. Teraz tylko podczepienie tarcz i będzie można pójść do domu. Czy aby na pewno? Przez trzeszczące radio na GSD słychać kolejne zadanie. Holownik H-7 wraca z morza i wiezie jakąś część. Jaką? No tego w tej chwili nie wiadomo. Należy ją jednak wyładować na brzeg, a do tego potrzeba dźwigu. Takiego, jak jeden z dwóch na pokładzie H-8. „Widzi pan? U nas zawsze coś się dzieje...” ■

BOGUSŁAW POLITOWSKI

ŻOŁNIERZ KOMPLETNY

W wojsku posiadanie wielu specjalności jest ogromnym atutem, ponieważ w warunkach bojowych umiejętności z różnych dziedzin mogą pomóc w uratowaniu życia.

Chyba łatwiej byłoby powiedzieć, czego sierż. Zbigniew Piech nie potrafi, niż wymienić to, w czym doskonale sprawdza się w czasie służby. On sam żartobliwie wyjaśnia, że nie pilotował jeszcze żadnego samolotu, ale od razu zastrzega, że przed nim jeszcze wiele lat służby, więc wszystko może się zdarzyć. „Skoro kiedyś podjąłem taką decyzję, to uznałem, że nie można stać w miejscu. W wojsku, na misjach, w boju każda umiejętność może się przydać. Dlatego zdobywam kolejne kwalifikacje i doświadczenia. Nie dla laurów, stopni czy odznaczeń, ale dla własnej satysfakcji. Aby służba i życie były ciekawsze”, wyznaje.



SAPER Z KRWI I KOŚCI

Podstawowe kwalifikacje podoficera związane są z minierstwem. Rozbrajanie ładunków wybuchowych, unieszkodliwianie powojennych niebezpiecznych znalezisk czy współczesnych min pułapek – tym zajmuje się na co dzień. W jednym palcu ma też wiedzę na temat zakładania ładunków wybuchowych, ustawiania grup min, niszczenia przepustów czy mostów. Wszystko, co wiąże się z tą specjalnością, może wykonywać na lądzie i pod wodą. Od wielu lat sam się doskonali, a jednocześnie szkoli młodych adeptów sztuki saperskiej.

Porucznik Grzegorz Nakonieczny, dowódca kompanii dowodzenia 1 Brzeskiego Pułku Saperów, w której służy



podoficer, twierdzi, że wiedza sierżanta jest bezcenna: „Jest bardzo zaangażowany w szkolenie. Dąży do tego, aby grupa rekonesansowo-przygotowawcza, którą dowodzi, oraz drużyny nurków osiągnęły najwyższy poziom przygotowania do działań”.

CZTERY MIESIĄCE POD WODĄ

Zasadniczą służbę wojskową rozpoczął w 1994 roku. Trafił wówczas do 1 Brzeskiej Brygady Saperów. Gdy



AŻ TRUDNO UWIERZYĆ, ŻE **SIERŻ. ZBIGNIEW PIECH** NIGDY NIE PLANOWAŁ ZOSTAĆ ŻOŁNIERZEM



pierwszy raz włożył mundur, nie myślał jednak o tym, by życie związać z wojskiem. Jak wielu młodych ludzi chciał odsłużyć swoje i czym prędzej wrócić do cywila.

Młodemu Zbyszkowi los jednak spłatał psikusa. Zaraz po unitarce dowódcy wysłali go do Ośrodka Szkolenia Płetwonurków w Gdyni. Tam pierwszy raz zszedł pod wodę i... oczarował go ten nowy świat. Po ukończeniu kursu uznał, że nie chce robić w życiu nic innego. Postanowił pozostać w wojsku na stałe. W 1997 roku podpisał kontrakt

na służbę nadterminową. Jako absolwent szkoły podoficerskiej we Wrocławiu został żołnierzem zawodowym.

Po ukończeniu kilku kolejnych kursów i szkoleń w składzie specjalnej grupy rozminowania podwodnego jeździł po całym kraju i z różnych akwenów wyciągał pozostałości po II wojnie światowej – najczęściej zardzewiałe pociski moździerzowe czy artyleryjskie oraz bomby lotnicze. Czasami zdarzały się niebezpieczne sytuacje. „Pewnego razu niewybuch, który musieliśmy wydobyć na ląd, miał wszelkie znamiona pocisku wypełnionego chemicznym środkiem trującym. To był ogromny stres. Działaliśmy nadzwyczaj ostrożnie i się udało”, wspomina.

Kiedy dzisiaj podlicza godziny spędzone na szkoleniach i poligonach, wychodzi mu, że trzy lata był poza domem. Kiedy inni doskonalili się tylko w jednej specjalności, on pracował podwójnie. W tej chwili legitymuje się uprawnieniami starszego nurka inżynierii oraz kierownika podwodnych działań inżynieryjnych. Zdobył najwyższe kwalifikacje, jakie można zdobyć w wojskach lądowych. Pod wodą przepracował ogółem 3 tys. godzin, czyli 125 dni i nocy.

„Kiedy schodzę pod wodę ze Zbyszkim, zawsze czuję się pewniej. Wiem, że mogę na niego liczyć w sytuacjach trudnych. Jest doskonałym nurkiem – mistrzem w swoim fachu. Ponadto to doskonały organizator wszelkich →

KOMENTARZ

szkoleń i kursów, który potrafi umiejętnie przekazywać swoją ogromną wiedzę młodym adeptom nurkowania”, ocenia sierż. Bernard Hajucki, zastępca dowódcy plutonu rozpoznania inżynieryjnego i równocześnie kierownik prac podwodnych z 5 Kresowego Batalionu Saperów z Krosna Odrzańskiego.

ZWIADOWCA

Sierżant Zbigniew Piech pełni służbę w plutonie rozpoznania inżynieryjnego. Jest zastępcą dowódcy i jednocześnie szefem wszelkich prac podwodnych. Nie są mu obce techniki przetrwania na wrogim terenie, bytowania w zamaskowanych miejscach czy prowadzenia obserwacji. Do tego trzeba doliczyć wiedzę i umiejętności związane ze skrytym rozpoznaniem dróg, mostów, przepustów, umocnień i fortyfikacji oraz innych obiektów infrastruktury.

Jako członek saperskiego zwiadu umie posługiwać się wszelkiego rodzaju wykrywaczami. Za pomocą echoprofilografu potrafi na przykład odwzorować ukształtowanie dna zbiornika wodnego, przez który mają przepłynąć wojska. Dodatkowo przygotowany jest do prowadzenia różnych prac podwodnych, poczynając od ratowania załogi zatopionego transportera, przez demontaż lub montaż przeróżnych konstrukcji, po poszukiwanie osób, które utonęły. Por. Nakonieczny dodaje, że dzięki doświadczeniu misyjnemu Piech często bierze na siebie obowiązek przygotowania sekcji rozpoznania inżynieryjnego do bieżących działań.

MEDYK POŁA WALKI

W 2004 roku sierż. Piech uznał, że to wszystko za mało. „Nasze nurkowania stały się bardzo profesjonalne. Schodziliśmy coraz niżej, wykonywaliśmy coraz bardziej skomplikowane i niebezpieczne zadania. Potrzebne było zatem profesjonalne zabezpieczenie medyczne. Wojskowi ratownicy nie zawsze byli dobrze do tego przygotowani. Postanowiłem więc, że sam będę się kształcił w tym kierunku”, wspomina podoficer.

Za zgodą przełożonych, ale za własne pieniądze, rozpoczął na wrocławskiej uczelni studia licencjackie na kierunku ratownictwo medyczne. Już rok po ukończeniu nauki mógł sprawdzić umiejętności zdobyte w szkole

**RENATA ANDRZEJCZAK**

Ubolewamy, że Zbigniew Piech z przyczyn służbowych nie może pełnić na naszym szpitalnym oddziale ratunkowym więcej dyżurów. To bardzo dobry ratownik medyczny. Jest niezwykle zdyscyplinowany, ma duże doświadczenie i wiedzę. W trudnych sytuacjach, gdy jednocześnie musimy przyjąć kilku ciężko rannych w stanie zagrożenia życia, potrafi zorganizować cały zespół i zmobilizować go do idealnego współdziałania. Odnajduje się na każdym odcinku – zarówno chirurgicznym, jak i kardiologicznym czy neurologicznym. Jako ratownik uczestniczy w transportach ciężko rannych osób. Wówczas w karetce jest zdany tylko na siebie.

RENATA ANDRZEJCZAK jest zastępcą pielęgniarki oddziałowej Szpitalnego Oddziału Ratunkowego 4 Wojskowego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu.

w warunkach bojowych. Podczas pierwszej misji afgańskiej w 2007 roku występował w dwóch rolach – jako saper i ratownik medyczny w patrolu rozminowania, a w 2009 roku był medykiem podczas misji w Libanie. Kiedy na przełomie 2010 i 2011 roku drugi raz wyjeżdżał do Afganistanu, tym razem jako ratownik medyczny, nie przypuszczał, że będzie to tak trudna zmiana.

„Podczas jednego z patroli ostrzelano nas z moździerzy. Jeden z pocisków trafił w zabudowania, w których przebywali cywile. Zostało poszkodowanych około dziesięciu osób. To był straszny widok, bo rannych było dużo dzieci. Natychmiast przystąpiliśmy do udzielania pomocy. Uratowaliśmy pięcioro maluchów i wysłaliśmy je do szpitala w bazie w Ghazni. Niestety, troje dzieci nie przeżyło. Jedno z nich zmarło na moich rękach”, sierż. Piech zawiesza na chwilę głos. „Z dorosłymi jest trochę inaczej. Byłem przyzwyczajony do widoku krwi czy różnych zranień u ofiar wypadków, bo często pełnię dyżury w szpitalnym oddziale

ratunkowym (SOR) wojskowego szpitala we Wrocławiu. Tamto umierające dziecko mam jednak przed oczami do dziś”, wyznaje ratownik. Na misjach w Afganistanie sierż. Zbigniew Piech wiele razy pomagał afgańskim żołnierzom i miejscowej ludności.

Jak mówi, czuje się spełniony jako żołnierz, saper, nurek i medyk. Wymagało to jednak wielu poświęceń. „Nie ma mnie w domu kilka miesięcy w roku. Wyjeżdżam na wiele szkoleń, kursów i ćwiczeń. W każdym miesiącu cztery razy, najczęściej w weekendy, dyżuruję na SOR-ze, aby utrzymać sprawność ratownika medycznego”, mówi.

Jego żona przyzwyczaiła się, że męża bardzo często nie ma w domu, a pieniądze z domowego budżetu często wydają na przykład na sprzęt nurkowy czy inne specjalistyczne gadzety. Syna Damiana, który ma 21 lat, nigdy nie ciągnęło do wojska. Armią zafascynowany jest natomiast chrześniak sierżanta, który w tym roku planuje dostać się do szkoły oficerskiej. Z dokonań syna natomiast niezwykle dumny jest ojciec podoficera, który niedawno w jednym z pokoi powiesił na ścianie swój dyplom kaprała z dawnych czasów jako znak, że Zbyszek zamiłowanie do służby odziedziczył właśnie po nim.

MJR JAROSŁAW WITASZEK


Data i miejsce urodzenia:

9 czerwca 1969 roku,
Malbork.

W wojsku służył od: 1993 roku.

Tradycje wojskowe: ojciec pełnił służbę jako technik samolotów MiG-21, natomiast brat niedawno rozstał się z mundurem.

Edukacja wojskowa: Szkoła Podchorążych Rezerwy oraz niezliczona liczba kursów.

Zajmowane stanowisko: szef sekcji i instruktor w Sekcji Wysokościowo-Ratowniczej.

Jednostka wojskowa: 33 Baza Lotnictwa Transportowego w Powidzu.

Zostałem żołnierzem, bo: tylko wojsko daje takie możliwości rozwoju zawodowego i samodoskonalenia.

Najlepsza broń: lubię broń krótką, a glock jest najlepszy!



Misje i ćwiczenia: służyłem podczas XII zmiany PKW w Afganistanie. Regularnie biorę też udział w różnego rodzaju ćwiczeniach w kraju i za granicą.

Przełomowe wydarzenie w życiu: pierwszy skok ze spadochronem. Połknąłem bakcylię na dobre.

Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: menedżerem w dobrze prosperującej firmie.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: ułatwiłbym dostęp do broni etatowej i strzelnicy. Obecnie żołnierze (z wyjątkiem wojsk specjalnych) nie czują się pewnie ze swoją bronią, a przecież powinna być przedłużeniem ich ręki.

Moje największe osiągnięcie: jestem lotniczym instruktorem klasy mistrzowskiej, cywilnym instruktorem spadochronowym jako tandem pilot, instruktorem AFF [Accelerated FreeFall – przyspieszona nauka swobodnego spadania] i mechanikiem spadochronowym. Wykonywałem też skoki spadochronowe na Czarnym Łądzie.



W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się: to, że polscy żołnierze noszą mundury z dumą.

Motto życiowe: żyć tak, by nie patrzeć z obrzydzeniem w lustro.

Moja książka życia: „Steve Jobs”

Waltera Isaacsona. To książka o spełnianiu marzeń, ambicji i dążeniu do doskonałości.

Niezapomniany film: jest ich wiele. Najbardziej lubię filmy z gatunku science fiction. Dobra była na przykład „Grawitacja”.

Co robię po służbie: jako instruktor spadochronowy szkole młodych adeptów spadochroniarstwa metodą „na linę”, AFF oraz „wożę” spadochronem pasażerów w systemie „tandem” z wysokości 4 tys. m. Wykonałem już ponad 3600 skoków spadochronowych, a to jeszcze nie koniec...



Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

DODATEK ZA WARUNKI SZKODLIWE

Co decyduje o przyznaniu i wypłacie dodatku z tytułu pełnienia służby w warunkach szkodliwych: czy stanowisko służbowe zakwalifikowane jako szkodliwe, czy faktyczny czas na nim przepracowany? Proszę o interpretację przepisów.

→ **Kwestie dodatków za warunki szkodliwe występujące w środowisku służby żołnierza zawodowego w chwili obecnej reguluje rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych z 28 grudnia 2016 roku.** Określa ono m.in. szczególne właściwości lub warunki pełnienia zawodowej służby wojskowej uprawniające żołnierzy zawodowych do otrzymywania dodatku specjalnego. Jeżeli właściwa do tego komisja określi, że na danym stanowisku służbowym występują czynniki negatywne, które mogą oddziaływać na organizm żołnierza powodując szkodę na jego zdrowiu, podejmuje decyzję o zakwalifikowaniu takiego stanowiska jako wiążącego się nierozdzielnie z prawem do dodatku.

Informacje w tym zakresie wpisuje się również w odpowiednią rubrykę karty opisu stanu stanowiska służbowego. Może się zdarzyć, że żołnierz zajmuje stanowisko, które nie zostało zakwalifikowane jako takie, na

którym dodatek za szkodliwość służby przysługuje. Nie oznacza to jednak, że nie może on domagać się uznania tego stanowiska jako szkodliwe dla zdrowia.

W sprawie tej musi złożyć stosowny meldunek do dowódcy jednostki wojskowej, który będzie zobligowany do wszczęcia stosownego postępowania mającego na celu sprawdzenie, czy sugestie żołnierza zawodowego o narażeniu go na działania czynników negatywnych są uzasadnione. Przyznanie danego dodatku wiąże się również z uprawnieniami żołnierza do nabycia prawa do dodatkowego urlopu wypoczynkowego. Reasumując, jeżeli dane stanowisko służbowe zostanie zakwalifikowane jako spełniające wymogi do przyznania dodatku specjalnego z tytułu szkodliwości służby, to jest on przyznawany w kwocie odpowiadającej wytycznym zawartym w § 24 ust. 1 i 2 rozporządzenia. Wypłata dodatku wiąże się z jednoczesnym wykonywaniem czynności na tym stanowisku służbowym. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 70 ust. 1 i 2; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych z 28 grudnia 2016 roku (DzU 2016 poz. 2296) – § 4 pkt. 10), § 24 ust. 1–5.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

PRAWO JAZDY NA KOSZT WOJSKA

Ukończyłem kurs prawa jazdy finansowany przez MON. Na własny koszt zdałem egzamin państwowy w WORD. Czy jest możliwość zwrotu środków za ten egzamin?

→ **Żołnierz zawodowy skierowany przez dowódcę jednostki wojskowej na kurs prawa jazdy może ubiegać się o zwrot kosztów związanych z opłatą za egzamin państwowy.**

Stanowi o tym art. 54 i 55 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Szczegółowo kwestie dofinansowania lub finansowania określonego kursu reguluje rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie nauki żołnierzy zawodowych.

Podkreślenia jednak wymaga, że jeżeli w ramach odbytego kursu MON zapewni

również udział w bezpłatnym egzaminie końcowym na prawo jazdy – to w sytuacji, gdy zainteresowany nie skorzystał z takiej możliwości – może się liczyć z odmową pokrycia kosztów egzaminu. Pamiętać przy tym należy, że do uzyskania zwrotu za egzamin potrzebne jest skierowanie na kurs prawa jazdy z ramienia dowódcy jednostki wojskowej i zgoda na jego odbycie. W praktyce z żołnierzem w takiej sytuacji zawierana jest umowa, w której znajduje się klauzula odnosząca się do sankcji finansowej nałożonej na żołnierza w wypadku, gdyby ten kursu nie ukończył lub został z niego wykreślony z powodu braku postępów. Wtedy żołnierz obciążany jest rzeczywistymi kosztami kursu. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 54, art. 55; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie nauki żołnierzy zawodowych z 15 września 2014 roku (DzU 2014 poz. 1352)

SŁUŻBA PRZYGOTOWAWCZA A WYSŁUGA LAT

W maju 2012 roku rozpocząłem czteromiesięczną służbę przygotowawczą. Od razu po jej zakończeniu, we wrześniu, przystąpiłem do egzaminów sprawnościowych do jednostki. W styczniu 2013 roku, po zmianie przepisów emerytalnych dla służb mundurowych, zostałem powołany do służby zawodowej. Czy cztery miesiące spędzone w służbie przygotowawczej wliczają mi się do wysługi lat? Czy liczy się data powołania do zawodowej służby wojskowej? Jakie zasady emerytalne mnie obowiązują?

→ **Służba przygotowawcza wlicza się do wysługi lat.** Zgodnie z ustawą o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej żołnierzami w czynnej służbie wojskowej są osoby, które odbywają służbę przygotowaw-

czą. Tym samym okres służby pełnionej jako służba przygotowawcza będzie się wliczać do okresu zawodowej służby wojskowej, od którego zależą uprawnienia emerytalne określone w art. 12 ustawy emerytalnej.

Podkreślić należy, że okres pełnienia służby przygotowawczej wlicza się do okresu zatrudnienia u tego pracodawcy i obejmuje wszystkie uprawnienia wynikające ze stosunku pracy. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 21 listopada 1967 roku o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej, tekst jednolity z 31 sierpnia 2016 roku (DzU z 2016 poz. 1534) – art. 55 ust. 1 pkt 2) lit. b), art. 59 ust. 1 pkt 5), art. 120; ustawa z 11 września 2003 roku (DzU z 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 3 ust. 1a; ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin z 10 grudnia 1993 roku (DzU 1994 nr 10 poz. 36), tekst jednolity z 27 czerwca 2016 roku (DzU 2016 poz. 1037) – art. 12, art. 13.

PRAWA AUTORSKIE

Jako żołnierz zawodowy w jednym z centrów szkolenia niejednokrotnie uczestniczyłem w opracowywaniu programów szkolenia, na podstawie których realizowane są kursy przyjeżdżających do nas żołnierzy. Do moich podstawowych obowiązków należy prowadzenie zajęć dydaktycznych, ale też „opracowywanie i uaktualnianie programów szkolenia w ramach posiadanej specjalności”. O ile uaktualnianie programów to najczęściej nanoszenie zmian wypracowanych przez wyższych przełożonych, o tyle ich opracowywanie jest wkładem własnym, chronionym prawnie. Dodatkowo z racji wypełniania obowiązków służbowych instruktorom nie przysługuje żaden dodatek pieniężny, którym można by motywować realizowanie powyższego obowiązku (opracowywania programów). Podobnie jest z prezentacjami szkoleniowymi, które tworzone są przez instruktorów jako prywatna pomoc dydaktyczna, a rozkazem przełożonych mają być złożone i udostępniane innym osobom w bibliotece jednostki.

➔ **Zgodnie z art. 1 ust. 1 ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych z 4 lutego 1994 r. (DzU nr 24 poz. 83 z późn. zm.) – przedmiotem prawa autorskiego jest każdy przejaw działalności twórczej o indywidualnym charakterze, ustalony w jakiejkolwiek postaci, niezależnie od wartości, przeznaczenia i sposobu wyrażenia (utwór).** Jak wynika z treści definicji podstawowym wymogiem ochrony jest ustalenie, że w sprawie chodzi o twórczość o indywidualnym charakterze. Cechą procesu twórczego jest to, aby był on subiektywnie nowy dla samego twórcy. Innymi słowy, proces ten powinien być wynikiem samodzielnego wysiłku twórczego, brać początek w umyśle twórcy, a rezultat działalności twórczej autora powinien być dla niego poprzednio nieznan. W takim ujęciu działalność twórcza (nazywana oryginalnością) pokrywa się z nowością podmiotową. Z tej przyczyny wymaganie nowości w znaczeniu obiektyw-

nym (nowości przedmiotowej) nie jest niezbędną cechą twórczości. Tym samym udzielenie ochrony autorskim prawom majątkowym, w rozumieniu ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, wymaga wykazania przez poszukującego ochrony prawnoautorskiej takich okoliczności faktycznych, z których wynika, że po pierwsze przysługuje mu tego rodzaju ochrona w odniesieniu do określonego utworu spełniającego wymagania z art. 1 ust. 1 ustawy, a po drugie, iż działania powodujące naruszenie jego praw rzeczywiście mają miejsce.

Ten rodzaj ochrony wymaga kumulatywnego spełnienia obu tych przesłanek, a brak chociażby jednej z nich skutkować musi odmową jej udzielania.

Poza sporem pozostaje również, że liczne czynności, które autor pytania wykonuje podczas pełnienia zawodowej służby wojskowej, wynikają z zakresu obowiązków na zajmowanym stanowisku służbowym. Autor pytania powinien również mieć na uwadze to, że poza resortem nie uzyskałby żadnego wynagrodzenia za wykonywane przez niego czynności związane z opracowywaniem programów dydaktycznych, a tylko w takiej sytuacji można byłoby rozważać, czy doszłoby do naruszenia jego prawa majątkowego. Żołnierz zawodowy bez zgody przełożonego nie może poza tym podejmować pracy zarobkowej. Zaznaczyć przy tym należy, że jeżeli w grę wchodziłaby ochrona programów komputerowych – to również ona byłaby ograniczona na tle przepisu art. 74 ust. 3 ustawy, który mówi, że prawa majątkowe do programu komputerowego stworzonego przez pracownika w wyniku wykonywania obowiązków wynikających ze stosunku pracy przysługują pracodawcy, o ile umowa nie stanowi inaczej. Przepis ten ma zastosowanie również do żołnierza zawodowego – podobne stanowisko zajął Sąd Apelacyjny w Katowicach w wyroku z 17.03.2016 roku sygn. akt I ACa 1028/15. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych z 4 lutego 1994 roku (DzU nr 24 poz. 83 z późn. zm.) – art. 1, art. 74 ust. 3 i art. 79; ustawa z 11 września 2003 roku (DzU z 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 56.

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ

DOWÓDCA GARNIZONU WARSZAWA
ZAPRASZA



FESTIWAL ORKIESTR WOJSKOWYCH

WARSZAWA 2017

23-25 CZERWCA 2017 — WSTĘP WOLNY

KONCERT

23.06.2017, GODZ. 19.00
AMFITEATR W PARKU SOWIŃSKIEGO

KONCERT INAUGURACYJNY

24.06.2017, GODZ. 18.00
AMFITEATR W ŁAZIENKACH KRÓLEWSKICH



ORGANIZATOR



PATRONAT HONOROWY
MINISTER GERNY NARODOWEJ

KONCERT GALOWY

25.06.2017, GODZ. 16.00

CENTRALNY OŚRODEK SPORTU
HALA WIDOWISKOWO-SPORTOWA TORWAR
UL. ŁAZIENKOWSKA 6A W WARSZAWIE

/ Z WOKANDY

Ponowne powołanie do zawodowej służby wojskowej

Powrót do służby zawodowej jest uzależniony między innymi od potrzeb sił zbrojnych.

Sprawa dotyczyła byłego żołnierza zawodowego, z którym rok wcześniej został rozwiązany stosunek służbowy na podstawie złożonego przez niego wniosku. Były żołnierz zdecydował się jednak na ponowne złożenie wniosku o powołanie do służby w korpusie oficerów zawodowych. Wystosował w nim również sugestię co do wymogu skierowania jego osoby do właściwej komisji lekarskiej, aby ta zbadała stan jego zdrowia i oceniła ponownie zdolność do pełnienia zawodowej służby wojskowej.

Dyrektor Departamentu Kadr MON odmówił powołania byłego żołnierza zawodowego do służby wojskowej w korpusie oficerów zawodowych. W uzasadnieniu decyzji wskazano, że przepis art. 14 ust. 1 ustawy z 11 października 2013 roku o zmianie ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz niektórych innych ustaw dotyczy tych byłych żołnierzy zawodowych, którzy w dniu wejścia przepisu w życie, tj. 5 grudnia 2013 roku, pozostawali poza zawodową służbą wojskową (zgodnie w tym przepisem byli żołnierze zawodowi oraz byli żołnierze nadterminowej zasadniczej służby wojskowej, którzy wskutek wypadku w związku z wykonywaniem obowiązków służbowych albo choroby będącej wynikiem służby wojskowej pełnionej poza granicami państwa po 1 stycznia 1998 roku doznali stałego lub długotrwałego uszczerbku na zdrowiu, mogą wystąpić, do 31 grudnia 2014 roku do ministra obrony narodowej z wnioskami o powołanie do zawodowej służby wojskowej). Skarżący został zwolniony natomiast w styczniu 2014 roku wskutek wypowiedzenia stosunku służbowego, złożonego w grudniu 2013 roku – kiedy był jeszcze żołnierzem zawodowym. Tego samego zdania był minister obrony narodowej, do którego zainteresowany wniósł odwołanie od niekorzystnej dla siebie decyzji.

Zainteresowany skierował skargę do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie. Podtrzymał dotychczasowe stanowisko, podkreślając, że wniosek zło-

żył w terminie zgodnym z ustawą, tj. do 31 grudnia 2014 roku, jako były żołnierz zawodowy, który podczas wykonywania obowiązków w związku ze służbą wojskową pełnioną poza granicami państwa po 1 stycznia 1998 roku doznał długotrwałego uszczerbku na zdrowiu. Tym samym spełnił wszelkie przesłanki prawne zgodne z zapisami ustawy, ponieważ nie precyzowała ona konieczności posiadania statusu byłego żołnierza w dniu wejścia jej w życie. Wojewódzki Sąd Administracyjny podzielił słuszność zarzutów skargi byłego żołnierza i zdecydował się uchylić decyzje obu organów. Minister obrony narodowej nie zgodził się ze stanowiskiem sądu – złożył od wyroku skargę kasacyjną, podtrzymując dotychczasowe stanowisko w sprawie.

10 lutego 2017 roku Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie na rozprawie ze skargi kasacyjnej ministra obrony narodowej od wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie z 2 września 2015 roku (sygn. akt II SA/Wa 163/15) oddalił skargę ministra, uznając ją za nieuzasadnioną. Przede wszystkim NSA zgodził się, że istniała możliwość ubiegania się o powołanie do zawodowej służby wojskowej żołnierzy wymienionych w nim kategorii (byli żołnierze zawodowi oraz byli żołnierze nadterminowej zasadniczej służby wojskowej) w określonym ustawowo terminie, nie uregulowano natomiast m.in. kompetencji organów właściwych do wydawania rozkazów personalnych o powołaniu do zawodowej służby wojskowej. Za trafne również uznał stanowisko sądu pierwszej instancji mówiące o potrzebie uwzględniania w sprawie pozostałych unormowań prawnych (np. zdolności do służby określonej przez właściwą komisję lekarską Z/O), potrzeby Sił Zbrojnych RP (np. wakaty na stanowiskach) ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Wyrok jest prawomocny. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Źródło: <http://orzeczenia.nsa.gov.pl/cbo/query>

/ Z WOKANDY

Skarga na bezczynność komisji

Komisja lekarska zwlekała z wydaniem rozstrzygnięcia, dlatego były żołnierz wniósł skargę do sądu.

Zwrócił się on do Centralnej Wojskowej Komisji Lekarskiej w Warszawie z wnioskiem o wznowienie postępowania orzeczniczego prowadzonego w jego sprawie. Komisja lekarska zwlekała jednak z wydaniem rozstrzygnięcia, a wszelkiego rodzaju monity o jej szybsze załatwienie nie odniosły skutku. W związku z tym zainteresowany zdecydował się wnieść do sądu administracyjnego skargę na bezczynność komisji lekarskiej.

Sąd uznał skargę za uzasadnioną, ponieważ jednak w czasie trwania postępowania CWKL załatwiła sprawę żołnierza, ostatecznie umorzył postępowanie sądowe. W uzasadnieniu wydanego wyroku sąd zwrócił uwagę na to, że w myśl art. 35 §3 kodeksu postępowania administracyjnego załatwienie sprawy wymagającej postępowania wyjaśniającego powinno nastąpić nie później niż w ciągu miesiąca, a sprawy szczególnie skomplikowanej – nie później niż w ciągu dwóch miesięcy od dnia wszczęcia postępowania, w postępowaniu odwoławczym zaś – w ciągu miesiąca od dnia otrzymania odwołania.

Z kolei art. 36 §1 kpa mówi, że o każdym przypadku niezakończania sprawy w terminie określonym w art. 35 lub w przepisach szczególnych organ administracji publicznej jest obowiązany zawiadomić strony, podając przyczyny zwłoki i wskazując nowy termin jej załatwienia. Ważne jest również, aby przed wniesieniem skargi do sądu administracyjnego – wnioskodawca pisemnie wezwał organ do usunięcia naruszenia prawa (o ile nie ma nad nim organu nadrzędnego) lub wniósł zażalenie do organu nadrzędnego nad nim (o ile taki istnieje). Dopiero po spełnieniu wszystkich powyższych wymogów skarga jest dopuszczalna. Składa się ją do właściwe-

go wojewódzkiego sądu administracyjnego za pośrednictwem tego organu, którego bezczynność dotyczy. Należy pamiętać, aby wszelkie pisma były kierowane listem poleconym, ponieważ tylko w ten sposób (w razie kwestionowania dotarcia przesyłki) zainteresowany będzie mógł udowodnić, że zostały one doręczone skutecznie.

16 lutego 2017 roku przed Wojewódzkim Sądem Administracyjnym w Warszawie zapadł wyrok w omawianej sprawie. Sąd stwierdził, że Centralna Wojskowa Komisja Lekarska w Warszawie dopuściła się bezczynności w rozpoznaniu wniosku żołnierza, jednak bez rażącego naruszenia prawa.

Powyższy wyrok jest potwierdzeniem faktu, że komisje lekarskie, których procedura opiera się zasadniczo na treści rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach z 3 czerwca 2015 r. (DzU 2015 poz. 761) – zobowiązane są również do przestrzegania przepisów kodeksu postępowania administracyjnego w zakresie, w jakim mowa o terminach załatwienia spraw. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 14 czerwca 1960 roku – Kodeks postępowania administracyjnego (tj. DzU 00.98.1071 z późn. zm.) – art. 35 §1 – 3, art. 36 §1 oraz 37 §1; ustawa z 30 sierpnia 2002 roku – Prawo o postępowaniu przed sądami administracyjnymi (DzU nr 153 poz. 1270 z późn. zm.) – art. 3 §2 pkt 8), art. 50 §1 i art. 149 §1 pkt 3).

Orzecznictwo: Wyrok WSA w Warszawie z 16 lutego 2017 roku, sygn. akt II SAB/Wa 594/16 – wyrok prawomocny.

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD

F-15 ma bardzo
mocny radar,
doskonałe osiągi
w powietrzu i rozwija
dużą prędkość.



LAWRENCE CRESPO / USAF

KRZYSZTOF KUSKA

BURZA W SZKLANCE WODY

**Czy Amerykanie zdecydują się na wycofanie
ze służby myśliwców F-15?**



Pod koniec marca pojawiła się informacja o możliwości wycofania ze służby samolotów F-15 w wersji C i D. W czasie posiedzenia House Armed Services Committee, poświęconego sytuacji sił powietrznych USA, przewodniczący komisji Joe Wilson zapytał generałów wprost o wcześniej nieujawniony plan dotyczący zastąpienia tych maszyn zmodernizowanymi F-16, co miało przynieść znaczne oszczędności w budżecie sił powietrznych. Ta wiadomość natychmiast obiegła świat i wywołała małą burzę.

SKUTECZNY DUET

W obowiązującej do tej pory koncepcji lotnictwa USA dostrzegalny był podział określany jako „hi-lo mix”, wprowadzony jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Sprowadzał się on do posiadania dwóch rodzajów samolotów bojowych, które miały się nawzajem uzupełniać. Chodziło o uproszczenie dotychczasowego parku maszynowego, więc zaprzestano kupowania wielu różnych maszyn o wąskich możliwościach, dostosowanych do konkretnych zadań.

Stany Zjednoczone miały zatem ograniczyć się do dwóch typów samolotów. Te o większych możliwościach miały służyć do zdobycia przewagi powietrznej. Do takiej roli zaprojektowany został F-15 – stąd bardzo mocny radar, duża prędkość i doskonałe osiągi w powietrzu. Oczywiście produkcja zaawansowanej maszyny niosła za sobą ogromne koszty, dlatego też ograniczono liczbę samolotów tego typu.

Myśliwce te miały „oczyszczać” niebo, torując tym samym drogę dla komponentu „lo”, którego filarem zostały samoloty F-16. Również bardzo dobre, ale tańsze i mniejsze. Przede wszystkim miały one służyć do rażenia celów naziemnych, co nie znaczy, że nie nadawały się do walki powietrznej. Charakteryzowały się one doskonałymi właściwościami manewrowymi, a z biegiem lat systematycznie rozbudowywano

ich potencjał. Poszerzano m.in. wachlarz przenoszonego uzbrojenia, co zwiększało spectrum możliwych do przeprowadzenia misji. F-16 zatem przestał być maszyną, która ma wejść w przestrzeń powietrzną już przygotowaną przez F-15, i stał się samolotem wielozadaniowym mogącym działać w pełnym zakresie.

Z biegiem lat F-15 zaczęły się starzeć i rozpoczęto prace nad maszyną nowej generacji, którą ostatecznie został F-22. To on miał teraz przejąć rolę samolotu przewagi powietrznej. Na początku wszystko szło zgodnie z planem, ale rozpad Związku Radzieckiego i brak przeciwnika odpowiedniego kalibru doprowadził do drastycznych cięć w programie zakupów F-22. Ostatecznie wyprodukowano tylko 187 maszyn operacyjnych, z których dziś oznaczenia bojowe nosi jedynie 125 egzemplarzy, a reszta jest w rezerwie i służy do szkolenia. Szkoda jednak całkowicie wycofać te samoloty, ponieważ zostały zmodernizowane i mają jeszcze spory potencjał rozwojowy.

Na następcę F-16 wybrano natomiast F-35. Tutaj nie mogło być już mowy o ograniczaniu produkcji, bo Joint Strike Fighter ma być wyprodukowany w liczbie ponad 2 tys. egzemplarzy, przy czym dla samych sił powietrznych przewidziano niemal 1,8 tys. sztuk. Problemem są jednak pewne opóźnienia w realizacji tego programu.

ZA KRÓTKA KÓŁDRA

Wiele lat intensywnych misji bojowych spowodowało duże zużycie samolotów. Brak równorzędnego przeciwnika pociągnął natomiast ograniczenia finansowe w wydatkach na sprzęt. Jeśli dołożymy do tego wspomniane opóźnienia w realizacji programu F-35, rysują nam się poważne problemy w amerykańskim lotnictwie. Najprostszym rozwiązaniem przynoszącym oszczędności jest unifikacja sprzętu. Taką ideą kierowano się na przykład przy decyzji o wykorzystaniu F-35 w siłach powietrznych, marynarce wojennej i korpusie piechoty morskiej.



ERIN TROWER / USAF

WIELE LAT INTENSYWNYCH MISJI BOJOWYCH SPOWODOWAŁO DUŻE ZUŻYCIE F-15

Jeśli zrezygnowałoby się z F-15, można by się skupić na samolotach F-16, które i tak będą musiały przynajmniej w części przejść modernizację, by wypełnić lukę powstałą w wyniku opóźnień w programie F-35. Lockheed Martin ma dla tych myśliwców szeroki program modernizacyjny, który jest już wdrażany np. na Tajwanie. Pozwala on znacząco zwiększyć możliwości tych samolotów i częściowo dostosować je do takich zadań, jakie dotychczas wykonywały F-15. Osią modernizacji jest montaż nowoczesnej stacji radiolokacyjnej AESA oraz wymiana kluczowych systemów, więc po jej przeprowadzeniu mamy do czynienia z niemal nowym samolotem.

Czy jednak Stany Zjednoczone mogą sobie pozwolić na wycofanie maszyn F-15? Krytycy tego rozwiązania podkreślają, że istnieje ryzyko powtórzenia błędu z przeszłości, kiedy przedwcześnie zamknięto linię F-22, czego efekty obserwujemy do dziś. F-15 nadal mogą zwalczać wszystkie samoloty czwartej generacji, a te w najnowszej konfiguracji przenoszą po 16 pocisków AIM-120 AMRAAM. Co więcej, jeśli potraktujemy F-15 jako ich „nosiciela”, to będzie można ich skutecznie używać w połączonych misjach razem z F-22. W czasie jednych z ćwiczeń taka mieszana formacja zakończyła zadanie z wynikiem 41:1.

Podobna koncepcja użycia jest również rozważana w przypadku F-35. Zarówno Raptor, jak i JSF mają bowiem stosunkowo mało miejsca w komorach uzbrojenia. Przypuszcza się zatem, że F-35 mógłby działać jako powietrzne centrum dowodzenia dla formacji aparatów bezzałogowych. Jednocześnie wykorzystywałby je jako pewnego rodzaju magazyny uzbrojenia – przesyłałby koordynaty celów dla bezzałogowców operujących z tyłu, z dala od zagrożeń obrony przeciwlotniczej, którą F-35 może spenetrować.

Tyle że flota samolotów F-15 wymagałaby modernizacji, na co zwracają uwagę zwolennicy ich wycofania. Twierdzą, że skoro i tak trzeba będzie odnowić część F-16, to większa inwestycja w tej dziedzinie pozwoli obniżyć koszty modernizacji samolotów, a następnie – z racji ograniczenia liczby typów – zredukować koszty utrzymania do czasu wejścia do linii następców. Bez przeprowadzania kosztownych remontów F-15 będą natomiast mogły pozostać w służbie niemal do końca przyszłej dekady. To wystarczająco dużo czasu na odpowiednie zbilansowanie posiadanych zasobów i pokoleniową wymianę samolotów.

ŁŁADKIE PRZEJŚCIE

Jeszcze nie zapadła ostateczna decyzja w kwestii wycofania F-15. Pamiętajmy jednak, że podobne podchody odbywają się od wielu lat w sprawie samolotu A-10 Thunderbolt II. Na razie udaje się skutecznie zablokować te próby na poziomie Kongresu. Z maszynami F-15 może być podobnie.

Stany Zjednoczone są natomiast w bardzo trudnym momencie przebrożenia na nowy typ samolotów – F-35. Nie ulega wątpliwości, że mimo opóźnień zrewolucjonizuje on współczesne lotnictwo bojowe. A to nie koniec zmian. W lotnictwie pojawiają się na przykład systemy laserowe, następnie samoloty tzw. szóstej generacji. Mogą to już być systemy bezzałogowe lub przynajmniej umożliwiające operowanie w trybie załogowym i bezzałogowym.

Gładkie przejście do tego etapu jest teraz priorytetem w kręgach decyzyjnych, które muszą opracować odpowiedni plan uwzględniający fakt, że taki proces trwa latami. W związku z tym można spodziewać się jeszcze wielu podobnych informacji, które będą jednymi z wielu analizowanych opcji. ■

Dr KRZYSZTOF KUSKA jest ekspertem zajmującym się lotnictwem wojskowym.



TADEUSZ WRÓBEL

Kłopotliwy ogier

Wojskowi i producent szukają sposobu na obniżenie kosztów programu ciężkiego śmigłowca transportowego.

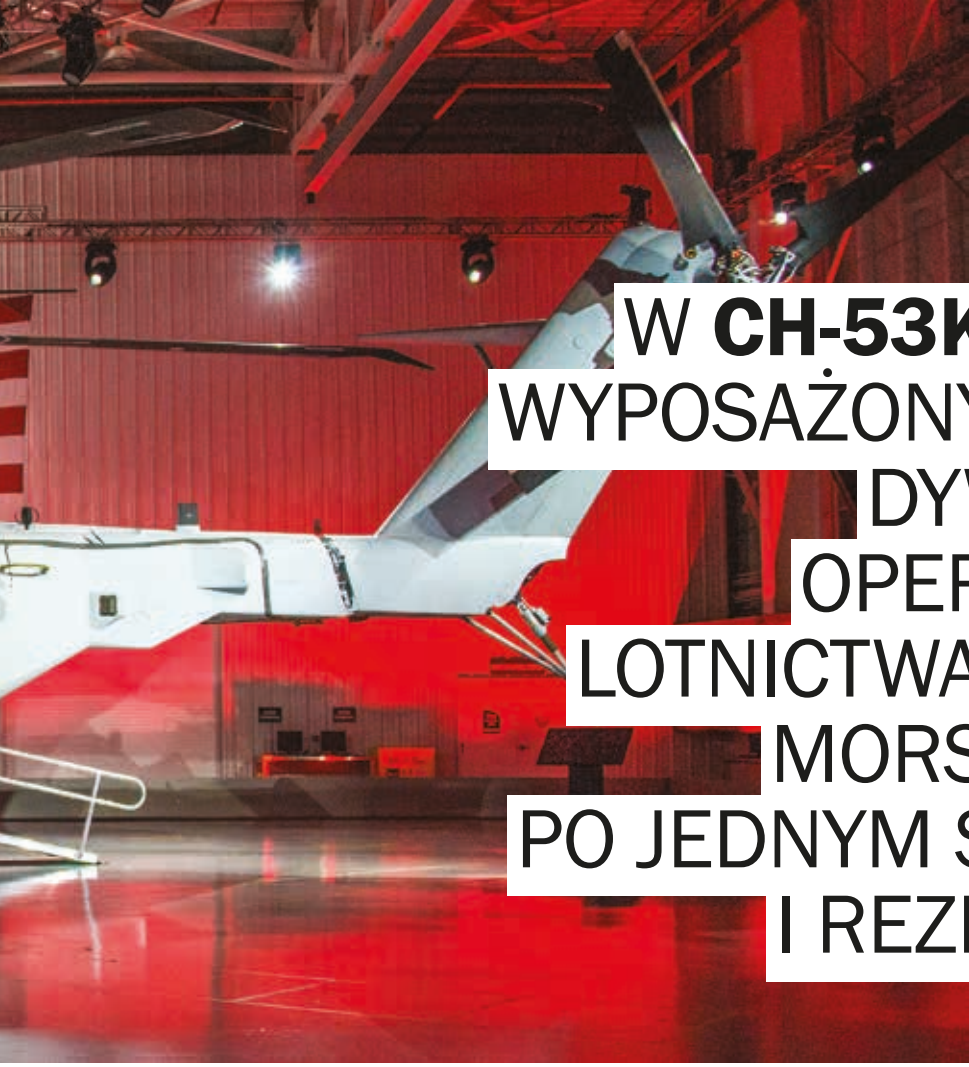
Amerykańska piechota morska powiększa flotę śmigłowców. Po zakupach nowych maszyn szturmowych i wielozadaniowych przyszedł czas na transportowe – do 2029 roku zamierza kupić 200 ciężkich maszyn. Marines zdecydowali się na kolejną wersję CH-53 firmy Sikorsky Aircraft Corporation (SAC), wchodzącej w skład koncernu Lockheed Martin.

ZASKAKUJĄCA CENA

Według ostatnich wyliczeń, całkowite koszty wprowadzenia 200 sztuk tych maszyn wyniosą 27,7 mld dolarów, chociaż wcześniej mówiono o 26,1 mld. Jak podano w serwisie internetowym Defense News, na dorocznej konferencji organizowanej przez Navy League płk Hank Vanderborght, szef programu CH-53K, ujawnił, że wycena prac badawczo-rozwojowych wzrosła z 6,9 mld dolarów do 7,3 mld, a koszty zamówienia 200 śmigłowców wyniosą nie 19,2 mld dolarów, jak szacowano, lecz 20,4 mld dolarów. W tej kwocie są uwzględnione pieniądze na produkcję maszyn, wyposażenie dodat-

kowe i części zapasowe. W związku z tym całkowita cena jednostkowa CH-53K King Stallion wyniesie 138,5 mln dolarów. Vanderborght podał dwie przyczyny wyższej ceny – wzrost kosztów pracy oraz przeniesienie finalnego miejsca montażu ciężkich śmigłowców z West Palm Beach na Florydzie do Connecticut.

Pułkownik wskazał też, że piechota morska wspólnie z SAC szuka sposobów na ograniczenie wydatków związanych z tym programem o 1,5 mld dolarów. Pojawiło się 160 różnych propozycji i około połowy już zaakceptowano. Jedną z nich była rezygnacja z pośrednictwa SAC przy zakupie silników. Vanderborght stwierdził, że bezpośrednie zamówienie u producenta, czyli firmy General Electric, obniży ich koszt jednostkowy nawet o 14%. Nie wykluczył, że w podobny sposób zostanie kupiona m.in. awionika. Oszczędności ma przynieść również zastąpienie hydraulicznej wyciągarki za 325 tys. dolarów elektroniczną za 800 dolarów. Kolejnym sposobem na zmniejszenie kosztów jest powierzenie dużej części prac podwykonawcom. Wśród nich są takie firmy, jak



W CH-53K ZOSTANIE WYPOSAŻONYCH OSIEM DYWIZJONÓW OPERACYJNYCH LOTNICTWA PIECHOTY MORSKIEJ ORAZ PO JEDNYM SZKOLNYM I REZERWOWYM

Spirit AeroSystems (dostarcza kokpit, kabinę, belkę ogonową), Exelis (pylon wirnika ogonowego i sponsony), GKN Aerospace (przednia, przejściowa sekcja kadłuba) czy Aurora Flight Sciences (pylon głównego wirnika). Oszczędności też może przynieść sprzedaż CH-53K za granicę. Zainteresowani nabyciem 41 maszyn są już Niemcy, którzy od lat siedemdziesiątych XX wieku używają wcześniejszej wersji tych śmigłowców firmy Sikorsky.

ROSNAĆE KOSZTY

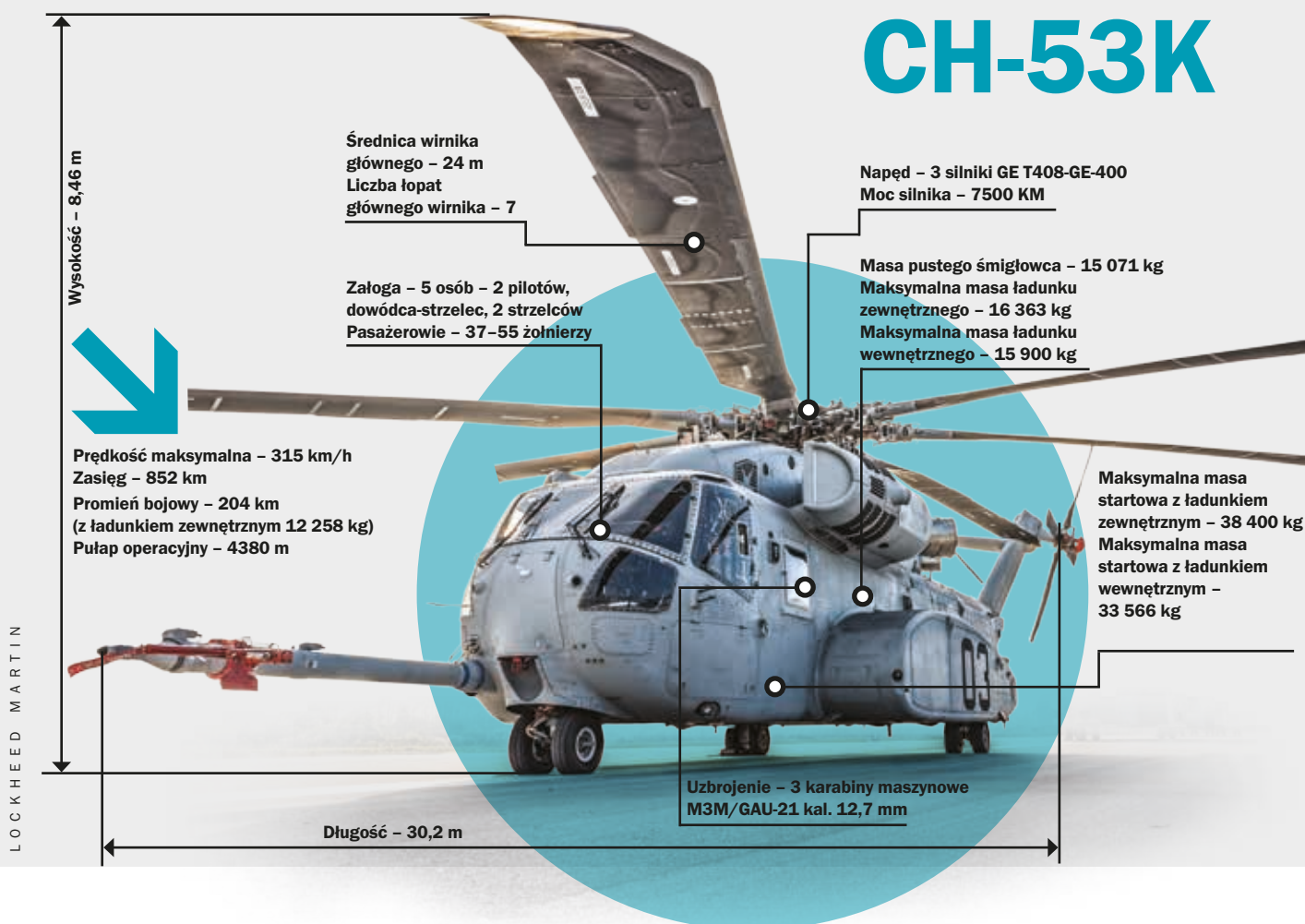
Gdy w 2005 roku uruchamiano program ciężkiego śmigłowca transportowego, planowano zamówić 156 egzemplarzy. Wówczas całkowite koszty oszacowano na około 17,5 mld dolarów. Z czasem ta kwota się zwiększała i oddalały się terminy dostaw nowych maszyn. Początkowo przewidywano, że testy w locie śmigłowca rozpoczną się już w 2011 roku, ale szybko okazało się to nierealne. Pierwszy egzemplarz ukończono i przekazano do prób naziemnych 4 grudnia 2012 roku, a przedserijny śmigłowiec YCH-53K zaprezentowano w maju 2014 roku. Nic zatem dziwnego, że kilka razy przekładano debiut CH-53K w powietrzu. Ostatecznie prototyp CH-53K King Stallion pierwszy lot wykonał 27 października 2015 roku w ośrodku testowym SAC w West Palm Beach na

Florydzie. Wojskowi i producenci muszą szukać sposobów na obniżenie kosztów programu King Stallion ze względu na wyrażaną przez polityków krytykę. 10 marca 2017 roku na posiedzeniu podkomitetu taktycznego lotnictwa i wojsk lądowych komisji sił zbrojnych Izby Reprezentantów kongresmenka Niki Tsongas stwierdziła, że cena za CH-53K jest wyższa niż za samolot wielozadaniowy piątej generacji F-35A Lightning II, a jej uwaga dotyczyła kwoty przed ostatnimi, najnowszymi szacunkami.

Przy czym, jak zauważają niektórzy malkontenci, King Stallion nie jest nową konstrukcją, lecz wersją maszyny służącej amerykańskim marines od ponad pół wieku. Biorąc pod uwagę zastosowane nowe technologie i materiały, CH-53K ma jednak niewiele wspólnego z wcześniejszymi wersjami śmigłowca oprócz podobnego oznaczenia. Maszynę wyposażono m.in. w system cyfrowego sterowania lotem fly-by-wire i awionikę glass cockpit z wielofunkcyjnymi wyświetlaczami. Cyfrowo sterowane silniki zasilają wirnik o siedmiu kompozytowych łopatach oraz elastomerowych łożyskach. W konstrukcji kadłuba w celu obniżenia wagi wykorzystano tytan i włókno węglowe. Przewidziano też możliwość wyposażenia śmigłowca w dodatkowe zbiorniki oraz tankowania w powietrzu.



CH-53K



WIĘKSZE MOŻLIWOŚCI

4 kwietnia 2017 roku komisja zakupów obronnych (Defense Acquisition Board) Departamentu Obrony, mimo wątpliwości odnośnie do kosztów, zaakceptowała przejście do następnej fazy programu CH-53K, dlatego może zostać rozpoczęta wstępna niskoskalowa produkcja ciężkich śmigłowców dla marines – chodzi o 24 maszyny King Stallion. Dostawy pierwszych sześciu rozpoczną się na początku 2018 roku. Według obecnego harmonogramu, CH-53K powinien osiągnąć wstępną gotowość operacyjną pod koniec 2019 roku (pierwotnie miały to być lata 2014–2015), a największa partia zostanie dostarczona w latach budżetowych 2023–2027.

W amerykańskiej piechocie morskiej CH-53K zastąpi starszą wersję, Super Stallion. Nowy śmigłowiec będzie mógł zabrać ładunki o większej masie niż poprzednik, CH-53E. Chociaż kadłuby obu maszyn są podobne, King Stallion ma szerszą o ponad 30 cm kabinę transportową z rolkami, co pozwala przewozić dwie standardowe palety

lotnicze 463L o wymiarach 224x274 cm (maksymalna masa z ładunkiem wynosi 4536 kg). W jego wnętrzu zmieści się też samochód HMMWV. Innym walorem CH-53K są o wiele większe możliwości transportu ładunków podwieszonych (trzy jednocześnie) i możliwość przetrzutu zewnętrznego ładunku o masie 12 247 kg na odległość 204 km, w czasie lotu na wysokości 914,4 m przy temperaturze 33°C. Masa maksymalna śmigłowca przekraczająca 16 t pozwala transportować w podwieszeniu pojazd opancerzony LAV. Rozmiary samego CH-53K umożliwiają jego przewóz należącymi do amerykańskich sił powietrznych samolotami C-5 Galaxy i C-17 Globemaster III. Maszyna została też przystosowana do operowania z pokładów różnych klas jednostek pływających, w tym okrętów desantowych i lotniskowców.

Silniki o znacznie większej mocy (o 57%) niż w CH-53E będą mniej paliwożerne (o 20%). Nowoczesna konstrukcja ma obniżyć koszty przyszłej eksploatacji oraz ją uprościć. ■



Polska zbrojeniówka potrafi eksportować

Kościerska spółka Jakusz pokazuje, że eksport może być mocną stroną polskiego przemysłu zbrojeniowego. Firma świetnie radzi sobie na zagranicznych rynkach, a w swojej specjalizacji – przeciwwybuchowych pojemnikach – jest jednym z kilku producentów na świecie (na zdjęciu jedna tego typu konstrukcja w wojskach NATO).

Mieszcząca się w samym sercu Kaszub, w Kościerzynie, rodzinna spółka Jakusz, wywodząca nazwę od nazwiska założycieli, jest doskonale znana saperom z polskich formacji mundurowych i służb bezpieczeństwa. Z produkowanych przez firmę Jakusz pojemników przeciwwybuchowych Topola-S i Topola-P korzystają wszystkie wojskowe patrole rozminowania. W garnizonach i na poligonach w całym kraju można spotkać opracowane przez jej inżynierów kontenery do przechowywania niebezpiecznych przedmiotów zawierających materiał wybuchowy, w których są trzymane amunicja oraz niewypały i niewybuchy. A praktycznie każde lotnisko w Polsce jest wyposażone w pojemniki gazoszczelne i przeciwwybuchowe Ada, Agata, Vera, Paula i Eva.

Jak podkreśla prezes firmy Bogdan Jakusz, kościerskie przedsiębiorstwo, które dwa lata temu powołało do życia spółkę córkę – Jakusz SpaceTech, jest dowodem na to, że polskie firmy zajmujące się produkcją i usługami specjalnymi (podwójnego zastosowania) mogą odnosić sukcesy eksportowe.

Jakusz jest bardzo blisko podpisania kolejnego, po instalacji w Azerbejdżanie, wartego miliony euro kontraktu



na budowę zakładu utylizacji amunicji, tym razem z państwem z Afryki Północnej. Poza tym firma, jako jeden z czterech na świecie producentów gazoszczelnych pojemników przeciwwybuchowych, regularnie dostarcza je odbiorcom na całym świecie. Policje estońska, saudyjska i egipska armia to kontrahenci tylko z kilku ostatnich miesięcy.

Co jest receptą Jakusza na zagraniczny sukces? „Staramy się być jak najbliższym klientowi. Bez względu

na to, czy jest to odbiorca dysponujący miliardowym budżetem, np. armia jakiegoś kraju, czy też małe lotnisko gdzieś na końcu świata, traktujemy ich tak samo poważnie, starając się zadbać o potrzeby naszych odbiorców najlepiej, jak potrafimy”, zaznacza Bogdan Jakusz, który zachęca do tego, by polskie firmy łączyły siły w walce o zagraniczne rynki.

„Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, aby polskie podmioty, które nie konkurują ze sobą ofertowo, działały razem w danym rejonie świata. My współpracujemy z Polską Grupą Zbrojeniową i jest to partnerstwo dla obu stron korzystne. W niektórych państwach my mamy lepsze rozeznanie rynku, a w innych to pomoc i wiedza PGZ są dla nas wartościowe”, wyjaśnia Bogdan Jakusz, dodając, że w działalności na zagranicznych rynkach kluczowe jest wsparcie ze strony państwa. „Zawsze bardzo cenimy sobie wsparcie polskich placówek dyplomatycznych na świecie. Szczególnie w krajach arabskich czy azjatyckich sam fakt, że firma ma dobry kontakt z własną ambasadą, ma duże znaczenie dla potencjalnych odbiorców z instytucji rządowych”, podkreśla prezes. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Gromowładni

Polski przemysł obronny produkuje uzbrojenie przeciwlotnicze bardzo krótkiego zasięgu. W przyszłości zamierza poszerzyć swą ofertę o nowe systemy.

Uzbrojenie przeciwlotnicze rozpoczęto produkować w naszym kraju już w okresie międzywojennym. Najbardziej znanym wyrobem z tamtych czasów są licencyjne armaty kalibru 40 mm szwedzkiej firmy Bofors. Wytwarzano je zarówno dla polskiego wojska, jak i na eksport. Po zakończeniu II wojny światowej wznowiono produkcję dział przeciwlotniczych i z czasem oferta rodzimych firm w tej dziedzinie poszerzyła się o zestawy raketowe.

OD STRZAŁY DO PIORUNA

W latach siedemdziesiątych XX wieku w Zakładach Mechanicznych Mesko w Skarżysku-Kamiennej uruchomiono licencyjną produkcję przenośnych przeciwlotniczych zestawów raketowych Strzała-2M. Pierwsze egzemplarze tego sprzętu sprowadzono dla polskiego wojska w 1972 roku bezpośrednio ze Związku Sowieckiego. Ostatecznie nowa broń trafiła do żołnierzy wszystkich rodzajów sił zbrojnych. W połowie lat osiemdziesiątych firma Mesko kupiła od ZSRS licencję na produkcję nowocześniejszych zestawów – Igła-1, ale nigdy jej nie wykończyła. Na podstawie uzyskanej dokumentacji i własnych doświadczeń podjęto prace nad polskim systemem. Tak powstał zestaw Grom, a jego prototyp zaprezentowano w 1993 roku na Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach. Pierwsze egzemplarze gromów, wyprodukowane z użyciem podzespołów z importu, trafiły do wybranych jednostek Wojska Polskiego w 1995 roku. Pełną polonizację zestawu zakończono kilka lat później. Gromy kupiły też siły zbrojne Gruzji, Litwy i Indonezji. W pierwszym z tych państw użyto ich bojowo w czasie obrony przed rosyjską agresją w sierpniu 2008 roku.

Po tym konflikcie w Polsce podjęto prace nad modernizacją zestawu. Kolejna wersja, czyli piorun, będzie miała większy zasięg wykrywania i rażenia, a podwójny celownik termalny umożliwi zwalczanie bardzo małych celów, takich jak bezzałogowce uderzeniowe. Modernizacja pocisku objęła głowicę samonaprowadzającą, silnik marszowy, blok sterów rakiety oraz naziemny układ zasilania.

Inspektorat Uzbrojenia MON 20 grudnia 2016 roku podpisał ze spółką Mesko SA, należącą do Polskiej Grupy Zbrojeniowej (PGZ), umowę na pioruny, w której wyniku w latach 2017–2022 Wojsko Polskie ma otrzymać 420 mechanizmów startowych i 1,3 tys. rakiet. Wartość tego kontraktu wynosi ponad 900 mln zł.

Na bazie rakiety Grom inna spółka PGZ, PIT-Radwar SA, opracowała samobieżny przeciwlotniczy zestaw raketowy (SPZR), dla którego platformą jest czteroosłowy pojazd opancerzony Żubr. Na wozie bazowym zamontowano poczwórną wyrzutnię rakiet, zintegrowaną wysuwaną hydraulicznie głowicę śledząco-celowniczą, systemy nawigacji inercyjnej (zintegrowany z GPS-em), łączności radiowej i przewodowej, zasilania oraz komputer kierowania ogniem, a także urządzenie identyfikacji „swój-obcy” (identification friend or foe – IFF). PIT-Radwar 16 grudnia 2015 roku podpisał z Inspektora-tem Uzbrojenia MON umowę na dostawę 77 SPZR Poprad. Wartość kontraktu wyniosła 1,083 mld zł.

Rakiety Grom wykorzystano również w modernizacji posiadanych przez polskie wojsko, a kupionych jeszcze od Związku Sowieckiego, samobieżnych zestawów artyleryjskich ZSU-23-4 Szyłka, których uzbrojeniem jest poczwórną armata kalibru 23 mm. W efekcie modernizacji dokonanej w należących do PGZ Zakładach Mechanicznych Tarnów SA powstał przeciwlotniczy samobieżny zestaw

KOMENTARZ



BŁAŻEJ WOJNICZ

Nad programem „Wisła” będzie pracował partner zagraniczny w kooperacji z polskim przemysłem obronnym. Realizacja zobowiązań offsetowych powinna zapewnić transfer do polskiego przemysłu takich technologii, które przyczynią się do zwiększenia bezpieczeństwa Polski, a także wzrostu możliwości przemysłowych Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Z kolei dalszy rozwój transferowanych technologii pozwoli na ich zastosowanie w innych programach modernizacyjnych. Należy jednak podkreślić, że system średniego zasięgu Wisła ma na celu osiągnięcie zdolności w zwalczaniu zagrożeń taktycznymi rakietami balistycznymi, dlatego musi zostać uzupełniony o zdolności obronne zapewnione przez system krótkiego zasięgu Narew. Ten projekt jest teraz w fazie analityczno-koncepcyjnej. Konsorcjum PGZ-Narew podpisało listy intencyjne z partnerami zagranicznymi, którzy są zainteresowani przekazaniem nam technologii i wspólnym rozwojem pocisku raketowego krótkiego zasięgu. Chcemy, żeby transfer odbył się w drodze licencji otwartej. ■

BŁAŻEJ WOJNICZ jest prezesem Zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej SA.

artylerijsko-rakietowy ZSU-23-4MP Biała. Zrezygnowano w nim z radaru i aktywnych środków obserwacji optycznej na rzecz pasywnej optoelektronicznej głowicy obserwacyjno-celowniczej, co utrudnia wykrycie zestawu na polu walki. Celami białej mogą być nie tylko samoloty, śmigłowce, bezzałogowce czy rakiety skrzydlate, lecz także żołnierze desantu powietrznego i obiekty naziemne, w tym lekko opancerzone. Przystosowanie armat do amunicji podkalibrowej poprawiło ich skuteczność. Mogą one razić cele odległe od 2 tys. do 2,5 tys. m (w zależności od rodzaju amunicji). Ich maksymalny zasięg pionowy wynosi od 1,5 tys. do 2 tys. m. Montaż czterech wyrzutni z rakietami Grom zwiększył zasięg rażenia celów do 5,5 tys. m. W przeszłości pojawiły się informacje, że 42 zestawy Szyłka (z 72 należących do wojsk lądowych) mają zostać zmodernizowane do wersji ZSU-23-4MP Biała.

POMYSŁOWE KONFIGURACJE

Firma z Tarnowa ma wieloletnie doświadczenie w opracowywaniu przeciwlotniczych zestawów rakietowo-artylerijskich na bazie produkowanej tam ciągniętej armaty ZU-23-2. Jednym z nich jest PZRA ZUR-23-2SP Jodek z uzbrojeniem składającym się z podwójnej armaty kalibru 23 mm oraz dwóch wyrzutni rakiet Grom. Działa on w układzie półautomatycznym, czyli namierza cele, które niszczy po potwierdzeniu przez operatora. Zestaw może być obsługiwany zdalnie lub w trybie manualnym. Na bazie ZUR-23-2SP stworzono też przeciwlotniczy system rakietowo-artylerijski Pilica, w skład którego weszły mobilna stacja radiolokacyjna Soła i mobilne sta-

nowisko dowodzenia. Inspektorat Uzbrojenia MON 24 listopada 2016 roku podpisał z konsorcjum składającym się z PGZ SA, ZM Tarnów SA, PIT-Radwar SA i PCO SA umowę o wartości 746 mln zł na dostawę w latach 2019–2022 sześciu baterii systemu Pilica. Każda z nich będzie miała sześć stanowisk ZUR-23-2SP.

W ofercie polskiej zbrojeniówki jest jeszcze opracowany przez PIT-Radwar zdalnie sterowany system przeciwlotniczy Hydra, skonstruowany na bazie armaty kalibru 35 mm. W dwie armaty tego kalibru miał zostać uzbrojony również samobieżny przeciwlotniczy zestaw artylerijski Loara na podwoziu gąsienicowym. Z tego programu jednak zrezygnowano.

Kilka lat temu na MSPO w Kielcach zaprezentowano mobilny zestaw przeciwlotniczy Kusza, który powstał w Centrum Rozwojowo-Wdrożeniowym Telesystem-Mesko Sp. z o.o. we współpracy z Bumarem Amunicją oraz Instytutem Optoelektroniki Wojskowej Akademii Technicznej. Jego sercem jest lekka wyrzutnia dla dwóch pocisków Grom, która może być montowana na różnych pojazdach.

Polski przemysł obronny ma w ofercie różne systemy uzbrojenia przeciwlotniczego bardzo krótkiego zasięgu, pozwalające zwalczać cele w najniższej warstwie wielowarstwowego systemu obrony powietrznej. W przyszłości chciałby ją poszerzyć, a szansą na to może być współpraca z partnerami zagranicznymi i pozyskanie technologii przy okazji realizacji sztandarowych programów modernizacji technicznej WP dotyczących systemów rakietowych obrony przeciwlotniczej krótkiego i średniego zasięgu. ■

GROMY SĄ PRZEZNACZONE DO ZWALCZANIA TAKICH CELÓW, JAK SAMOLOTY ODRZUTOWE I Z SILNIKIEM TŁOKOWYM



MD HELICOPTERS

STANY ZJEDNOCZONE

Wymiana śmigłowców

Firma Defense Security Cooperation Agency poinformowała Kongres USA o możliwości sprzedaży Kenii lekkich śmigłowców. W grę

wchodzi 12 maszyn MD 530F oraz dostawa 24 zasobników HMP 400 z karabinem maszynowym kalibru 12,7 mm i tyle samo wyrzutni rakie-

towych kalibru 70 mm oraz amunicja do nich. W siłach zbrojnych Kenii nowe śmigłowce mają zastąpić maszyny MD 500. TWR ■



FRANCJA

Przebrojenie po francusku

Ponad 100 tys. nowych karabinków

Na początku maja pierwsza partia 400 karabinków szturmowych Heckler & Koch HK 416F kalibru 5,56 mm trafiła do francuskiego resortu obrony. Kontrakt o wartości 168 mln euro z firmami Heckler & Koch GmbH i Heckler & Koch SAS France obejmuje dostawę m.in. ponad 100 tys. karabinków. Nowa broń ma zastąpić w tamtejszej armii karabinki FAMAS, które wprowadzono do uzbrojenia pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku. WR ■

AUSTRALIA

Mocniejsza flota

Do floty Royal Australian Navy dołączył na początku maja „Cape Fourcroy”, a wkrótce dołączy do niej kolejny okręt patrolowy – „Cape Inscription”. Obie jednostki zbudowano w należącej do grupy Austal stoczni Henderson w zachodniej Australii. Mają one stanowić wsparcie dla łodzi patrolowych typu Armidale, które są remontowane. Zmniejszona liczba dostępnych jednostek zmusiła w ostatnich latach tamtejszą marynarkę do wydzierżawienia od straży granicznej dwóch łodzi Cape.

Patrolowiec Austal ma 58,1 m długości i 10,6 m szerokości. Napęd złożony z dwóch silników głównych, każdy o mocy 2525 KM, pozwala im osiągnąć maksymalną prędkość 26 w. Obsadzona przez 22-osobową załogę łódź patrolowa typu Cape może przebywać w morzu na patrolu do 28 dni. Paliwa w zbiornikach wystarcza natomiast na przejście 4 tys. Mm przy prędkości 12 w. Jedynym uzbrojeniem łodzi są karabiny maszynowe kalibru 12,7 mm. WR ■



ROYAL AUSTRALIAN NAVY

ŁOTWA

Haubice z przeszłością

Ministerstwo obrony Łotwy przekazało, że kupiło od Austrii 47 używanych samobieżnych haubic 109A50E kalibru 155 mm wraz z centrum kierowania ogniem i wyposażeniem szkoleniowym.

[47 HAUBIC
109A50E]

BUNDESWEHR



Rozpoczęcie dostaw zaplanowano na jesień tego roku. Cena jednostkowa dział będzie się wahać, zależnie od konfiguracji, od 60 tys. do 140 tys. euro. Łotwa będzie już trzecim użytkownikiem „109” – Austria w latach dziewięćdziesiątych XX wieku odkupiła od Wielkiej Brytanii 112 sztuk. Do czasu zastąpienia nowszym systemem AS90 haubice M109A2/A3 służyły w jednostkach artylerii Brytyjskiej

Armii Renu rozmieszczonej w Niemczech. Austriakom przekazano je w 1994 roku w koszarach Mansergh Barracks w Gütersloh, gdzie stacjonował 26 Pułk Artylerii. W Austrii haubice zmodernizowano do standardu 109A50E. Unowocześniono m.in. systemy ładowania i kierowania ogniem oraz zamontowano nowe lufy. Dzięki temu wzrosły szybkostrzelność i donośność austriackich haubic. W

SŁOWACJA

Wybrany Bell

Departament Stanu pozytywnie zaopiniował wniosek Słowacji o sprzedaż w ramach programu Foreign Military Sales dziewięciu lekkich wielozadaniowych śmigłowców **Bell 429**. Taką informację podała Defense Security Cooperation Agency. Całkowitą wartość transakcji oszacowano na 150 mln dolarów. Wybór tej maszyny dla sił zbrojnych Słowacji nie jest przypadkowy – wcześniej dwa egzemplarze kupiono już dla tamtejszej policji.

Dwusilnikowy Bell 429 oblatany został w 2007 roku. Maksymalna masa startowa śmigłowca z ładunkiem wewnętrznym wynosi 3175 kg. W wersji pasażerskiej w kabinie jest miejsce dla ośmiu osób, w tym pilota. Maksymalna prędkość przelotowa maszyny wynosi 278 km/h, a zasięg – 761 km (nieco lepsze osiągi ma wersja Bell 429WLG). TW



GENERAL DYNAMICS

BUŁGARIA

Pokaz piranii

Na poligonie Tylbeto koło Kazanłaka firma General Dynamics European Land Systems zaprezentowała bułgarskim żołnierzom wojskowy kołowy bojowy wóz piechoty na platformie **Piranha IV**. Na pojeździe zamontowano zdalnie ste-

rowaną wieżę Samson Mk II, uzbrojoną w armatę kalibru 30 mm, wyrzutnię przeciwpancernych pocisków kierowanych oraz karabin maszynowy kalibru 7,62 mm. Pokaz wozu Piranha IV związany był z programem batalionowych grup

bojowych bułgarskich wojsk lądowych. Kilka miesięcy temu wiceminister obrony Atanas Zaprianow zapowiedział, że w nowe pojazdy pancerne zostaną wyposażone trzy z sześciu planowanych jednostek. WRT



WYŻSZA SZKOŁA
LOGISTYKI

SYLWIA KONECKA

SYSTEM GS1 W LOGISTYCE WOJSKOWEJ

Od fabryki do okopu

Wprowadzanie narzędzi e-gospodarki, takich jak automatyczna identyfikacja i gromadzenie danych (Automatic Data Capture – ADC) oraz elektroniczna wymiana danych (Electronic Data Interchange – EDI) w ramach systemu GS1, jest jednym z elementów współpracy w dziedzinie logistyki wojskowej i cywilnej.

System GS1 umożliwia wykorzystywanie standardowych numerów – dekodowanych na podstawie kodów kreskowych (paskowych) typu UCC (Uniform Code Council) i EAN (European Article Numbering) oraz coraz częściej kodów radiowych RFID (Radio Frequency Identification), służących do identyfikacji dóbr, usług, zasobów i lokalizacji różnych obiektów, głównie biznesowych na ca-

w postaci kodów kreskowych (Krzysztof Ficoń, „Globalny system automatycznej identyfikacji GS1”, „Przegląd Logistyczny”, wrzesień 2010).

NATO, armie USA, Australii, Brazylii, Niemiec oraz Polski używają systemu GS1. Podstawową korzyścią z zastosowania ADC i EDI jest posiadanie informacji o wymaganej szczegółowości danych, bezbłędnych i aktualnych, pozwalających na podejmowanie trafnych decyzji. ADC ma zastosowanie w śledzeniu zasobów (Asset Tracking System) obejmującym cały łańcuch dostaw (łańcuch wsparcia), poczynając od zakładu produkcyjnego, przez fazę magazynowania i dystrybucji zasobów do jednostki wojskowej, kompletowania zestawów zaopatrzeniowych i transportu do miejsca przeznaczenia, aż do użycia przez odbiorcę końcowego, a wszystko to z wykorzystaniem różnych środków transportu oraz rozmaitych opakowań.

Do 2018 roku wszystkie zasoby wojskowe jako zapasy mają być oznaczone kodami kreskowymi GS1. Współpraca GS1 Polska z wojskiem dotyczy głównie weryfikacji poprawności merytorycznej szczegółowych wymogów gestorów i poszczególnych zamawiających oraz poprawności merytoryczno-technicznej oznaczeń kodowych, tworzonych przez dostawców zgodnie z międzynarodowymi procedurami w tej dziedzinie. Stosowanie standardów GS1, z uwagi na wieloletnie doświadczenie i bogate know-how, powinno pomóc w szybkiej adaptacji obu technologii (ADC i EDI) w łańcuchach dostaw do wojska. Dzięki wykorzystaniu standardów cywilnych i zaadaptowaniu ich do wymogów wojskowych można szybko włączyć systemy IT dostawców w zintegrowany łańcuch dostaw wojskowych. To podstawa efektywnej realizacji postulatu śledzenia produktów „od fabryki do okopu” (Anna Kosmacz-Chodorowska, „System GS1 w Siłach Zbrojnych RP”, „Logistyka” 5/2015).

STUDIA MBA I PODYPLOMOWE W WYŻSZEJ SZKOLE LOGISTYKI W POZNANIU

- MBA in Logistics & Supply Chain Management
- Menedżer logistyki
- Transport i spedycja (z certyfikatem kompetencji zawodowych dla przewoźnika drogowego)
- Menedżer bezpieczeństwa i higieny pracy
- Logistyka
- Zintegrowane zarządzanie środowiskowe w przedsiębiorstwie
- Ekologiczna systemowa gospodarka odpadami komunalnymi

Dowiedz się więcej na wsl.com.pl

łym świecie. Dzięki standaryzacji pozwala on przezwyciężyć ograniczenia stosujących go przedsiębiorstw czy organizacji oraz znacznie podnieść efektywność handlu i poprawić możliwość reakcji na potrzeby klientów. Ten system nie tylko zapewnia unikatowe numery identyfikacyjne, lecz także pozwala na oznaczanie informacji dodatkowych, takich jak daty przydatności, numery seryjne oraz numery serii produkcyjnej, które można przedstawić

Dr SYLWIA KONECKA jest adiunktem, koordynatorem administracyjnym Katedry Podstaw Logistyki Wyższej Szkoły Logistyki. Naukowo zajmuje się zarządzaniem ryzykiem w łańcuchach dostaw.

WSL.COM.PL

NAJLEPSZA DROGA DO KARIERY W LOGISTYCE

PIERWSZA W POLSCE UCZELNIA LOGISTYCZNA
STUDIA PODYPLOMOWE

SPECJALNOŚCI DOSTOSOWANE DO POTRZEB RYNKU
CERTYFIKATY POTWIERDZAJĄCE KWALIFIKACJE ZAWODOWE
ZAJĘCIA PROWADZONE PRZEZ PRAKTYKÓW BIZNESU
DOŚWIADCZONA KADRA NAUKOWA Z DZIEDZINY LOGISTYKI



WYŻSZA SZKOŁA
LOGISTYKI



KRZYSZTOF WILEWSKI

RÓZGI BOGA

Podpisany w 1967 roku traktat o przestrzeni kosmicznej obowiązuje do dziś. Nie zablokował jednak militaryzacji kosmosu, chociaż 104 państwa zobowiązały się do przestrzegania jego postanowień. Bronią kosmiczną mogą być bowiem zwykłe pręty wolframowe.

Media co jakiś czas informują o asteroidach mogących zderzyć się z Ziemią. Jakie jednak zagrożenie dla naszej planety może niesieć nadlatujący z kosmosu obiekt o średnicy 300 m? Otóż okazuje się, że katastrofalne! Jeżeli taki przedmiot uderzy w powierzchnię Ziemi z prędkością wynoszącą około 28 km/s, zostanie wyzwolona energia o sile 2,5 tys. Mt (dla porównania bomba zrzucona na Hiroszimę miała moc 0,012–0,013 Mt).

PODOBÓJ KOSMOSU

Naukowcy od dawna wiedzą o niszczycielskiej sile, z jaką nawet niewielkie przedmioty mogą uderzyć w Ziemię. Nic więc dziwnego, że jak tylko w połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku realne stało się umieszczenie na orbicie okołozemskiej sztucznych satelitów, niektórzy wojskowi zaczęli się zastanawiać, czy można byłoby sprowadzić je na Ziemię niczym kosmiczne bomby. Oczywiście na początku nie traktowano poważnie takich pomysłów. Wyniesienie na orbitę satelity było bowiem nie tylko „kosmicznie” drogie, lecz także niełatwe do wykonania.

Doskonałym przykładem takich rozważań jest wyścig supermocarstw o to, które jako pierwsze umieści sztucznego satelitę na orbicie Ziemi. Stany Zjednoczone, mimo ogromnej przewagi gospodarczej nad Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich, przegrały tę rywalizację. Kiedy 29 lipca 1955 roku prezydent Dwight Eisenhower ogłosił, że USA wystrzelą satelitę naukowego Vanguard w ramach Międzynarodowego Roku Geofizycznego (rozpoczynającego się jesienią 1957 roku i kończącego się w 1958 roku), Rosjanie przyspieszyli swoje prace w tej dziedzinie. W efekcie to oni 4 października 1957 roku wysłali z powodzeniem na orbitę Ziemi Sputnika 1, który osiągnął wysokość około 900 km i przebywał tam kilka miesięcy. Nie zdążyły jeszcze opaść emocje po tym spektakularnym wyczynie, a już 3 listopada 1957 roku ZSRR wysłał w kosmos Sputnika 2 z Łajką na pokładzie.

Amerykanie ponieśli początkowo klęskę, bo 6 grudnia 1957 roku rakieta mająca wynieść na orbitę satelitę Vanguard – na oczach całego świata, bo transmitowano to wydarzenie w telewizji – uniosła się metr w górę i eksplodowała. 26 stycznia 1958 roku podobny los, choć już nie w świetle jupiterów, spotkał Vanguarda 2. Pierwszym amerykańskim sztucznym satelitą Ziemi został zatem w 1958 roku Alpha, którego dopiero po szczęśliwym umieszczeniu na orbicie nazwano Explorerem 1. Wystrzelono go 1 lutego 1958 roku. Inżynierowie nie mieli wtedy jeszcze pojęcia, na jaką wysokość się wzniesie. Gdy okazało się, że osiągnął aż 2,5 tys. km, dzięki ➔

DZIĘKI PRAWOM FIZYKI KAŻDY WIĘKSZY PRZEDMIOT, KTÓRY Z ODPOWIEDNIĄ PRĘDKOŚCIĄ DOLECI DO POWIERZCHNI ZIEMI, STANIE SIĘ **NISZCZCIELSKĄ BRONIĄ**



czemu spędził w kosmosie ponad dekadę, ogłoszono sukces całego amerykańskiego programu kosmicznego.

Pod koniec lat sześćdziesiątych wrócono do pomysłu potraktowania satelity jak bomby, ale w 1967 roku trzy państwa – Stany Zjednoczone, Wielka Brytania oraz ZSRR – podpisały „Układ o zasadach działalności państw w zakresie badań i użytkowania przestrzeni kosmicznej łącznie z Księżycem i innymi ciałami niebieskimi”, nazywany w skrócie traktatem o przestrzeni kosmicznej. Zobowiązywał on sygnatariuszy do wykorzystywania ciał niebieskich wyłącznie w celach pokojowych oraz zabraniał umieszczania w kosmosie broni masowego rażenia, czyli np. ładunków nuklearnych. Żadne państwo, które podpisało się pod układem, nie może zatem zbudować np. okołozemskiego pocisku atomowego. A co z bombą klasyczną? Takiej można było użyć, tylko po co? TNT nie przetrwa wysokiej temperatury tarcia w naszej atmosferze, a dzięki prawom fizyki każdy większy przedmiot, który z odpowiednią prędkością doleci do powierzchni Ziemi, stanie się niszczycielską bronią. Przygotowując taką bombę, trzeba się jednak zmierzyć z dwoma wyzwaniami – materiałem, z którego można ją wykonać, oraz nadaniem jej odpowiedniej prędkości początkowej, zanim zacznie na nią działać siła ziemskiej grawitacji.

GWIEZDNE WOJNY

Odpowiedzi na oba wyzwania pojawiły się wraz z rozwojem technologii kosmicznych na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku, dzięki uruchomionemu w 1983 roku przez prezydenta Ronalda Reagana programowi „Inicjatywa obrony strategicznej” (Strategic Defense Initiative – SDI), potocz-

nie nazywanemu gwiazdnymi wojnami. Badania nad nowymi materiałami doprowadziły do wynalezienia stopu wolframu, z którego można wykonać kosmiczny pocisk. Jednocześnie prace nad coraz bardziej zaawansowanymi satelitami pozwoliły zdobyć wiedzę umożliwiającą zbudowanie takiego, który mógłby wystrzelić ten pocisk z orbity w kierunku Ziemi.

Oczywiście są to tylko przypuszczenia, bo amerykańska armia nie przyznaje się do posiadania broni, którą cywilni eksperci nazywają projektem Thor lub różgami Panna. Skąd zatem przypuszczenie, że ona w ogóle istnieje? Amerykańskie siły powietrzne w 2003 roku opublikowały raport „U.S. Air Force Transformation Flight Plan”, w którym w części poświęconej orężowi przyszłości opisano działanie kosmicznego pocisku wykonanego z wolframu. Specjaliści od razu zauważyli, że jak na nieistniejącą jeszcze broń, wojsko ma bardzo dokładną wiedzę o jej wymiarach, osiągnięciach i skutkach działania. W raporcie napisano, że zrzuty (a raczej wystrzelony) z orbity okołozemskiej wolframowy rdzeń o długości 6,10 m oraz średnicy 33 cm osiągnąłby prędkość 32 tys. m/s, a siła jego uderzenia mogłaby równać się wybuchowi 11 t dynamitu – mniej więcej tyle wynosi siła najmocniejszej konwencjonalnej bomby lotniczej, nazywanej przez Amerykanów matką wszystkich bomb.

Choć wojskowi eksperci spierają się, czy Stany Zjednoczone faktycznie mają już broń umożliwiającą wystrzelenie pocisku z orbity w kierunku Ziemi, to zgadzają się w jednym – trzymanie w tajemnicy takiego oręża nie powinno dziwić, i to nie ze względu na jego niszczycielską siłę, lecz ryzyko uruchomienia kolejnego kosmicznego wyścigu zbrojeń, na który dziś nawet USA nie mają pieniędzy. ■

RAFAŁ
CIASTOŃ

Boski wiatr



Ten dzień przeszedł do historii II wojny światowej na Pacyfiku. 25 października 1944 roku do boju ruszyli piloci specjalnej jednostki uderzeniowej Boski Wiatr, czyli osławieni kamikaze.

Dzień wcześniej rozpoczęła się bitwa o Leyte. Jeszcze zanim się do niej doszło, Japończycy określili ją mianem tej, od której wyniku zależy los Imperium. Jednocześnie było to największe starcie morskie II wojny światowej. Ten składający się z czterech aktów dramat japońskiej floty skupił niemal wszystkie dostępne siły marynarki, a piloci samobójcy mieli stać się jednym z atutów przesądzających o zwycięstwie. W rzeczywistości ich użycie nie wpłynęło znacząco na losy starcia. Pierwszymi ofiarami kamikaze stały się lotniskowce eskortowe zespołu Taffy-1 – USS „Santee” oraz USS „Suwannee”. Z sześciu maszyn tylko dwie trafiły w cele, ale nie doprowadziły do zatopienia jednostek. Mniej szczęścia mieli marynarze lotniskowca USS „St. Lo” z Taffy-3.

Specjalny Korpus Uderzeniowy stworzył wiceadm. Takijirō Ōnishi, współpracownik adm. Iso-roku Yamamoto. Kiedy 19 października 1944 roku objął dowodzenie 1 Flotą Powietrzną na Filipinach, uznał, że jedynym sposobem na zniwelowanie przewagi amerykańskiej jest użycie w walce pilotów samobójców. Japończycy przestali już wierzyć w siłę swojego lotnictwa – o ile w czerwcowej bitwie na Morzu Filipińskim decydującą rolę odgrywały lotniskowce, o tyle pod Leyte miały one służyć już tylko jako wabik, bo główne nadzieje na zwycięstwo pokładano w pancernikach. Ostatecznie klęskę ponieśli i jedno, i drugie.

Samobójcze ataki na Pacyfiku są kojarzone głównie z samolotami. I rzeczywiście najczęściej do takich zadań wykorzystywano myśliwce Mitsubishi A6M i bombowce nurkujące Aichi D3A. Japońscy konstruktorzy opracowali jednak cały wachlarz samobójczej broni, w tym latające bomby typu Okha, torpedy Kaiten i motorówki Shinyō.

Piloci kamikaze zatopili ogółem 83 okręty, w tym trzy lotniskowce eskortowe i 13 niszczycieli, uszkodzili zaś 350 jednostek – 17 lotniskowców, 15 pancerników, tyle samo krążowników i 87 niszczycieli. Okazali się także najbardziej skuteczni z wszystkich operatorów samobójczych broni. Ich użycie nie mogło już jednak wpłynąć na losy kampanii. Ostatecznie, po atomowych ciosach, Japonia skapitulowała i piloci samobójcy nie musieli poświęcać życia w jej obronie. ■



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ BEZPIECZEŃSTWO



Amerykański atak na bazę rządowych sił syryjskich był przejawem polityki obozu Trumpa obliczonej na osiągnięcie określonych celów nawet z użyciem siły.

Na zdjęciu jeden z pocisków Tomahawk wystrzelonych w kierunku bazy lotnictwa syryjskiego Al-Shajrat z pokładu niszczyciela USS „Ross”.

TOMASZ OTŁOWSKI

BLISKOWSCHODNI TANIEC TRUMPA

**Polityka administracji Donalda Trumpa
wobec Bliskiego Wschodu jest
nieprzewidywalna, tak jak w gruncie
rzeczy nieprzewidywalny jest obecny
prezydent USA.**

ROBERT S. PRICE / US NAVY



Wydarzenia z 7 kwietnia 2017 roku zaskoczyły międzynarodowych komentatorów i ekspertów. Tego dnia o świcie kilkadziesiąt rakiet samosterujących typu Tomahawk – odpalonych z pokładów okrętów US Navy operujących we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego – niemal całkowicie zniósło z powierzchni ziemi bazę Syryjskich Arabskich Sił Powietrznych (Syrian Arab Air Force

– SyAAF) w Shayrat w prowincji Homs. Prawie nikt nie spodziewał się, że Ameryka pod rządami Donalda Trumpa tak bardzo i tak szybko odejdzie od dotychczasowej polityki wobec Bliskiego Wschodu, a konfliktu w Syrii w szczególności. A już z pewnością mało kto oczekiwał, że administracja Trumpa z dnia na dzień porzuci aksjomat nieangażowania się jednoznacznie przeciwko którejkolwiek ze stron w tej krwawej wojnie. Zwłaszcza że głównym hasłem politycznym obecnego prezydenta podczas jego kampanii był przecież slogan „America first!” (Najpierw Ameryka!).

Czy jednak nie należało się takiego obrotu wydarzeń spodziewać? Wszak w czasie kampanii przedwyborczej w USA powszechne było przekonanie, oparte szczególnie na wcześniejszych wypowiedziach samego Trumpa, że pod jego rządami politykę USA wobec Bliskiego Wschodu czekają zmiany, w wielu aspektach wręcz rewolucyjne. I rzeczywiście, zachodzą one już niemalże od pierwszych dni rządów nowego prezydenta. W większości przypadków są dla opinii publicznej i mediów niezauważalne, co nie oznacza jednak, że mało istotne. Co więcej, w pełni potwierdzają stawiane przed kilkoma miesiącami tezy o możliwym powrocie polityki międzynarodowej Stanów Zjednoczonych

(przynajmniej w jej niektórych aspektach) na tory wyznaczone przez Partię Republikańską. Chodzi tu przede wszystkim o oparcie się na twardym geopolitycznym realizmie, a więc tym samym o odwrót od naiwnego i całkowicie nieskutecznego idealizmu, prezentowanego w stosunkach międzynarodowych przez poprzednią administrację. Pierwsze kilka miesięcy rządów Trumpa dostarczyło aż nadto przykładów na potwierdzenie powyższej tezy, szczególnie w odniesieniu do szeroko ujmowanego Bliskiego Wschodu.

W kontekście syryjskim oznacza to zarzucenie dotychczasowej bierności na rzecz przeciwstawiania się (nawet siłowego) zarówno samemu Al-Asadowi, jak i jego najważniejszym sojusznikom: Iranowi oraz Rosji. Amerykański atak na bazę rządowych sił syryjskich (niezależnie od przyczyn tej decyzji) był właśnie przejawem takiej realistycznej polityki obozu Trumpa – obliczonej na osiągnięcie określonych celów nawet z użyciem siły. Warto zresztą pamiętać, że choć bezpośrednim celem dla 59 amerykańskich rakiet była baza SyAAF, podparcie reżimu w Damaszku podczas trwającej już siódmy rok wojny, to faktycznych adresatów politycznego i propagandowego przekazu było znacznie więcej. Symptomatyczne są zresztą reakcje na ten atak, płynące z różnych stron Bliskiego Wschodu: od pełnego zrozumienia i poparcia takich stolic, jak Rijad i Amman, przez wymowne (choć akceptujące) milczenie Tel Awiwu-Jafy czy Kairu oraz zaskoczenie Ankary, aż po niczym niemaskowaną wściekłość Teheranu. Stany Zjednoczone pokazały tym samym wszystkim regionalnym graczom (a także ich zewnętrznym patronom, szczególnie Rosji), że wracają do aktywnego udziału w grze o Bliski Wschód.

Otwarte militarne zaangażowanie USA w syryjski konflikt przeciwko stronie reżimowej to jednak również efekt szerszej strategii politycznej i znacznie głębszych uwarunkowań ide-



Prezydent Donald Trump witany przez załogę na pokładzie lotniskowca USS „Gerald R. Ford”, Newport, 2 marca 2017 roku

SHEALAH CRAIGHEAD/THE WHITE HOUSE

OTWARTE MILITARNE ZAANGAŻOWANIE USA W SYRYJSKI KONFLIKT TO ELEMENT SZERSZEJ STRATEGII EKIPY TRUMPA

owych ekipy Trumpa. Tak jak się spodziewano, m.in. na podstawie wypowiedzi samego prezydenta, ale też dotychczasowych doświadczeń z okresów rządów republikanów – w polityce Waszyngtonu wobec Bliskiego Wschodu zaczyna obowiązywać kilka stałych reguł. Do najważniejszych należą: silne i jednoznaczne wsparcie dla Izraela i jego interesów w regionie; nieufność wobec Islamskiej Republiki Iranu i jej geopolitycznej klienteli w regionie; oraz zdecydowane zwalczanie islamskiego ekstremizmu i terroryzmu z użyciem wszelkich środków i metod.

KONIEC SAMOTNOŚCI DAWIDA

Osiem lat rządów Baracka Obamy zepsuło tradycyjnie bliskie i strategicznie ważne dla obu stron relacje między USA a Izraelem. Sprawy stały się już na tyle poważne, że w Izraelu coraz częściej zaczęto mówić wówczas o strategicznym (a nawet geopolitycznym) osamotnieniu państwa żydowskiego, o „samotności Dawida”.

Obecnie stosunki między Izraelem i USA zdają się stopniowo wracać na dawne, dobrze znane tory, pełna normali-

zacja z pewnością wymaga jednak czasu. Rząd w Tel Awiwie-Jafie może mieć już jednak pewność, że ze strony Waszyngtonu nie czekają go kolejne strategiczne niespodzianki na miarę układu z Iranem czy dążenia do „resetu z islamem”. Wiele wskazuje też na to, że Izraelczycy dostali niedawno od Amerykanów zielone światło na intensyfikację osadnictwa na Zachodnim Brzegu, zaostreżenie kursu wobec rządzącego Strefą Gazy palestyńskiego Hamasu oraz zwiększoną aktywność militarną na obszarze Syrii. Ta ostatnia wymierzona jest głównie w siły i środki libańskiego, proirańskiego Hezbollahu – organizacji będącej od ponad 30 lat główną (a do niedawna niemal jedyną) ekspozyturą Teheranu w regionie Lewantu i największym militarnym zagrożeniem dla Izraela tuż u jego granic.

W grę wchodzi też ponowne amerykańskie wsparcie dla Izraela w kwestii palestyńskiej, w której administracja Obamy wywierała na Izraelczyków presję, aby szybko przyjęli rozwiązania polityczne, wysoce niekorzystne z perspektywy państwa żydowskiego i jego geopolitycznych interesów. Rząd Trumpa zdaje się odrzucać sposób →

postrzegania kwestii palestyńskiej, przyjęty przez poprzednią administrację, której bliżej było w tym aspekcie do liberalnych i lewicowych nurtów zachodnioeuropejskich niż do tradycyjnej amerykańskiej myśli geopolitycznej.

NOWY STARY PRZECIWNİK

Dla amerykańskich republikanów islamski rewolucyjny Iran nigdy nie był partnerem godnym zaufania i szczerzej współpracy. I nic dziwnego, Irańczycy przez minione cztery dekady (a więc od czasów rewolucji Chomeiniego) w pełni zasłużyli sobie na miano największych regionalnych wrogów USA. Sami zresztą bardzo chcieli, i wciąż chcą być, w ten sposób postrzegani. Dzisiaj administracja nowego prezydenta kontynuuje więc tradycyjną republikańską linię strategiczną i ideologiczną wobec Teheranu, dostosowując ją do realiów geopolitycznych. Przede wszystkim chodzi tu oczywiście o mocno kontestowany przez Trumpa i jego otoczenie podczas kampanii wyborczej układ, zawarty przez światowe mocarstwa w 2015 roku z Teheranem, w sprawie irańskiego programu nuklearnego, stanowiący podstawę do zniesienia sankcji przeciwko temu państwu. Jak można się było spodziewać, nowa administracja nie jest w stanie samodzielnie obalić zawartego już porozumienia. Może jednak podtrzymywać jednostronne sankcje przeciwko Iranowi. Prezydent Trump rozszerzył nawet w lutym ich zakres po tym, jak Irańczycy przeprowadzili próbę swojej rakiety balistycznej. W tej sytuacji amerykańskie firmy, zainteresowane wejściem na otwierający się irański rynek, mają praktycznie związane ręce. Najbardziej odczuł to koncern Boeing, którego ubiegłoroczna umowa z Iranem na dostarczenie 80 samolotów pasażerskich stoi pod dużym znakiem zapytania.

Ale porozumienie nuklearne z Iranem i jego implementacja to nie wszystko. Równie ważne są irańskie interesy strategiczne i oddziaływanie Teheranu w szeroko ujętym regionie bliskowschodnim. Wzrost znaczenia Iranu na całym Bliskim Wschodzie jest zauważalny od kilku lat (m.in. w związku z wydarzeniami w Syrii, Iraku i Jemenie oraz ze zwalczaniem IS), a Biały Dom chce odwrócenia tej tendencji. Dowodem może być właśnie bezpośrednie włączenie się Waszyngtonu w wojnę syryjską przeciwko reżimowi w Damaszku i jego irańskiemu sojusznikowi. A także coraz wyraźniej artykułowane poparcie dla Arabii Saudyjskiej w jej próbie ustabilizowania sytuacji w Jemenie i ograniczenia wpływów (proirańskiego szyickiego ruchu Hutich). Być może będziemy tu świadkami renesansu sojuszu między Ameryką a Królestwem Saudów w jego najlepszym wydaniu z lat dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy to Arabia była najważniejszym (obok Izraela) regionalnym partnerem i sprzymierzeńcem USA na Bliskim Wschodzie. Niedawna wizyta Donalda Trumpa w Arabii

USS „Ross”, jeden z dwóch (obok USS „Porter”) niszczycieli rakietowych, które ze wschodniego rejonu Morza Śródziemnego zaatakowały bazę Al-Shajrat.

RYAN STEYNHOUR / US NAVY



Saudyjskiej dobitnie pokazała, że gospodarz Białego Domu chce aktywnie dążyć do wzmocnienia stosunków politycznych, ekonomicznych, a także w dziedzinie współpracy militarnej z Rijadem i jego państwami partnerskimi z rejonu Zatoki Perskiej.

Do katalogu amerykańskich działań antyirańskich w regionie można z pewnością zaliczyć niedawną zgodę Waszyngtonu na sprzedaż Bahrajnowi (najbliższemu sojusznikowi Rijadu) 19 zaawansowanych technologicznie myśliwców wielozadaniowych F-16. Decyzja w tej sprawie (kontrakt wart niemal 3 mld dolarów) przez kilka ostatnich lat była blokowana przez poprzednią administrację USA, ze względu na zastrzeżenia co do przestrzegania praw człowieka w Bahrajnie. Radykalizm ekipy Trumpa i jego realistyczna polityka wobec Iranu nie zdołały jednak zniechęcić większości Irańczyków do idei otwarcia ich kraju na świat, czemu dali wyraz, wybierając ponownie na drugą kadencję urzędującego prezydenta islamskiej republiki. Paradoksalnie, może to być dla Waszyngtonu niedobra wiadomość, Hassan Rowhani jest bowiem pragmatykiem, a w wielu kwestiach realista – zupełnie jak jego amerykański odpowiednik – co może sprawiać, że wzajemne relacje będą wymagać większej finezji dyplomatycznej.

Równocześnie istotnemu wzmocnieniu ulega amerykańskie wsparcie dla lokalnych sprzymierzeńców USA w regionie bliskowschodnim, szczególnie tych bezpośrednio zaangażowanych w walkę z „wrogiem nr 1”,



DONALD TRUMP ZAPOWIADA BEZPARDONOWĄ WALKĘ Z DŻIHADYSTAMI. WYMAGA ONA JEDNAK NOWYCH SOJUSZNIKÓW

czyli Państwem Islamskim (IS) i jego kalifatem, ale także innymi ugrupowaniami radykalnego islamu. Zdecydowana, bezpardonowa walka z dżihadystami – kolejny ze stałych filarów amerykańskiej polityki wobec Bliskiego Wschodu pod rządami Donalda Trumpa – wymaga nie tylko nowych (nierzadko radykalnych i nowatorskich) środków, lecz także nowych sprzymierzeńców. Przede wszystkim chodzi tu o syryjskich i irackich Kurdów. Już za prezydentury Trumpa do mediów wyciekły zdjęcia amerykańskich pojazdów opancerzonych Stryker, przemieszczających się zakurzonymi drogami północnej Syrii, czy armatohaubic z korpusu marines ostrzeliwujących pozycje IS niedaleko samozwańczej stolicy kalifatu Ar-Rakki. I choć bezpośrednia amerykańska obecność militarna na tej scenie syryjskiego teatru działań, wymierzona w Państwo Islamskie, została zaaprobowana jeszcze przez poprzedniego włodarza Białego Domu, to jej wzmocnienie i wykorzystanie w szerszym za-

kresie zawdzięczać należy już obecnemu prezydentowi USA. W tym kontekście absolutnie nie powinno dziwić, że w połowie kwietnia administracja amerykańska przyjęła ambitny plan dobrożenia irackich sił kurdyjskich (Peszmergi) na łączną kwotę około 295 mln dolarów. Pakiet zawiera m.in. dostarczenie Kurdom 4,5 tys. karabinków M16, 200 ciężkich karabinów maszynowych różnych typów, 100 pojazdów typu Humvee (w różnych konfiguracjach), 36 armatohaubic M119A2 kalibru 105 mm oraz różnego rodzaju sprzęt i wyposażenie wojskowe: od butów i hełmów po polowe generatory prądu i przenośne stacje pomiaru skażeń radiologicznych.

Ale wojna z islamizmem w regionie Lewantu to także podejmowanie przez ekipę Trumpa śmiałych kroków, pozornie sprzecznych z działaniami Waszyngtonu na innych kierunkach polityki zagranicznej kraju. Do takich zaliczyć należy podjęcie wczesną wiosną 2017 roku współpracy (fakt, że trwającej krótko) na szczęblu →

OBCENA ADMINISTRACJA USA, INACZEJ NIŻ POPRZED- NICY, NIE CZYNI Z DEMOKRATYZACJI PAŃSTW ARABSKICH POLITYCZNEGO I IDEOLOGICZNEGO FETYSZA

operacyjnym z Rosją w północnej Syrii. Wówczas przez kilkanaście dni żołnierze obu państw pilnowali – w odrębnych strefach odpowiedzialności – porządku w mieście Manbidż podczas przekazywania kontroli nad nim syryjskiej stronie rządowej. Fakt ten, wraz z zacieśnianiem przez Waszyngton więzi z Kurdami, został uznany przez Turcję za zdradę. Kraj ten przechodzi właśnie okres burzliwych przemian społeczno-politycznych i ideologicznych, jednoznacznie oddalających go od Zachodu i więzi ze wspólnotą transatlantycką. Turcja A.D. 2017, formalnie wciąż członek NATO, sojusznik USA i kandydat do Unii Europejskiej, w istocie jest już jednak duchem daleko poza wspólnotą Zachodu rozumianego jako związek państw optujących za wolnością, demokracją, prawami człowieka i obywatela, swobodami gospodarczymi i społecznymi. A obecny flirt Ankary z Moskwą – mocno zaskakujący, bo całkowicie sprzeczny z historycznymi doświadczeniami i tradycją państwa tureckiego – tylko podsycza obawy, że działania prezydenta Recepty Tayyipa Erdoğan’a coraz bardziej oddalają Turcję od Europy i USA.

Ankara w ciągu ostatnich kilku miesięcy wielokrotnie nadużywała zaufania Amerykanów, a otwarte oskarżenia z lipca ubiegłego roku o wspieranie puczystów, przechyliły czarę goryczy. Według wielu źródeł, Stany Zjednoczone zakończyły już proces wycofywania z tureckiej bazy lotniczej w Incirlik składowanych tam od kilku dekad arsenałów taktycznej broni jądrowej. Znacząco ograniczyły też wykorzystywanie tej instalacji na potrzeby swojej aktywności w regionie bliskowschodnim. I tutaj także pojawia się kontekst syryjski: Amerykanie nie mogą wybaczyć Turkom, że ci bez konsultacji podjęli w Syrii latem 2016 roku operację militarną („Tarcza Eufratu”), faktycznie wymierzoną nie tyle w kalifat, ile w syryjskich Kurdów z Rodzawy, będących sprzymierzeńcami Waszyngtonu w walce z IS. A kiedy jesienią 2016 roku w okolicach północnosyryjskiego miasta Manbidż wspierane przez Turków oddziały Wolnej Armii Syryjskiej (Free Syrian Army – FSA) starły się z jednostkami zdominowanymi przez Kurdów Syryjskich Sił Demokratycznych (Syrian Democratic Forces – SDF), w których szeregach znajdowali się doradcy z CIA i amerykańskich sił specjalnych – w Waszyngtonie rozległ się alarm. Gdy w styczniu 2017 roku Donald Trump przejął rządy w Białym Domu, jego decyzje były jednoznaczne: zwiększyć zaangażowanie w północnej Syrii (wspomniane wcześniej strykery i haubice, dodatkowi żołnierze na teatrze działań), a także ograniczyć współpracę z Turkami. An-

kara zrozumiała tę lekcję dopiero wówczas, gdy jej siły interwencyjne poniosły serię upokarzających porażek pod Al-Bab – największą twierdzą kalifatu w północnej Syrii. Jej zdobycie Turcy okupili w styczniu i lutym ciężkimi stratami. Pomimo oficjalnych próśb o wsparcie w walce z IS, pomocy Turkom nie udzieliłi wtedy ani Amerykanie, ani też no-

wi sojusznicy – Rosjanie. Miarą upokorzenia Ankary stała się decyzja Waszyngtonu z 8 maja o dozbrojeniu i wsparciu syryjskich Kurdów, a także wizyta Erdoğan’a w Waszyngtonie, zakończona całkowitym fiaskiem.

DEMOKRACJA? NIE ZA CENĘ INTERESÓW

Ekipa Donalda Trumpa nie traci również sił na bezowocne w istocie popieranie na Bliskim Wschodzie różnego rodzaju ruchów „prodemokratycznych”, nierzadko mających na celu wyłącznie zmianę rządów w poszczególnych krajach. Obecna administracja USA, inaczej niż jej poprzednicy, nie czyni też z idei demokratyzacji państw arabskich politycznego czy ideologicznego fetysza, który blokował przez lata działania i politykę Ameryki wobec tego regionu. Trump nie widzi nic niewłaściwego w podejmowaniu z honorami egipskiego prezydenta Abd al-Fattaha as-Sisiego, który w drodze puczu obalił demokratycznie wyłoniony rząd Bractwa Muzułmańskiego. Co więcej, Egipt – od lat beneficjent znaczącej pomocy militarnej USA – może dzisiaj liczyć na kolejne transze amerykańskiego wsparcia, stając się (obok Jordanii) jednym z ważniejszych arabskich sojuszników Waszyngtonu w regionie. A wszystko to w chwili, gdy wysoki komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw praw człowieka, Jordańczyk Zeid Ra’ad al-Hussein ostro krytykuje Kair na forum ONZ za działania jawnie sprzeczne z prawnomiędzynarodowymi standardami ochrony praw człowieka i obywatela. Wątpliwości co do przestrzegania praw człowieka nie przeszkodziły też Białemu Domowi we wspomnianej sprzedaży samolotów bojowych do Bahrajnu.

Polityka administracji Donalda Trumpa wobec Bliskiego Wschodu jest na razie nieprzewidywalna. Tak jak w gruncie rzeczy nieprzewidywalny (i – miejmy nadzieję – niesterowalny) jest obecny prezydent USA. Z tego, co w kontekście bliskowschodnim miało miejsce podczas pierwszych stu dni jego prezydentury, wynika jasno, że największy wpływ na decyzje odnoszące się do tej części świata mają zarówno tradycja polityczna i doświadczenie republikanów, jak i emocje prezydenta (oraz jego doradców, w tym członków najbliższej rodziny). Trzeba mieć nadzieję, że ta mieszanka nie okaże się wybuchowa. ■

Lotniskowiec
„Liaoning” –
jeden z okrętów typu
001A w chińskiej
flocie wojennej.

TADEUSZ WRÓBEL

Panowanie na oceanach

CHINA MILITARY / MO XIAOLIANG

Chińska marynarka osiąga coraz większe zdolności do działania na odległych akwenach i planuje stworzyć bazy morskie w różnych częściach świata.

Budowa lotniskowców wpisuje się w plany wielkiej ekspansji morskiej Chin o charakterze militarnym. Kolejnym elementem tych zamierzeń jest stworzenie sieci baz morskich. Niektóre z nich będą stanowić końcowe punkty lądowych szlaków transportowych z Państwa Środka, które omijają sporny region Morza Południowochińskiego. Takie posunięcie ograniczy możliwość wywierania presji politycznej na Pekin, takiej jak groźba zablokowania połączeń tego akwenu z innymi morzami.

JEDEN PO DRUGIM

Pod względem liczby lotniskowców chińska marynarka wojenna wkrótce będzie ustępować tylko US Navy. 26 kwietnia 2017 roku w stoczni China Shipbuilding Industry Corp. w Dalian odbyła się ceremonia spuszczenia na wodę pierwszej jednostki tej klasy w całości zaprojektowanej i zbudowanej w kraju. Nie ma pewno-

ści co do nazwy lotniskowca, choć pojawiły się doniesienia, że brzmi ona „Shandong”.

Okręt zaklasyfikowany jako typ 001A zbudowany w ekspresowym tempie, jeśli wziąć pod uwagę czas powstawania jednostek tej klasy na Zachodzie. Prace nad nim rozpoczęły się w listopadzie 2013 roku, ale dopiero w grudniu 2015 roku rzecznik chińskiego resortu obrony potwierdził, że lotniskowiec powstanie.

Na razie niewiele wiadomo na temat jednostki typu 001A. Ma 70 tys. t wyporności, a konwencjonalny napęd oparty jest na turbinach parowych i zapewnia prędkość 31 w. Chińska konstrukcja ma 315 m długości, a w części dziobowej pokładu startowego jest tzw. skocznia (ski jump). Podniesiony pokład wspomaga start samolotu za pomocą własnych silników. W przyszłości ma z niego operować 48 maszyn.

Prawdopodobnie nowy lotniskowiec wejdzie do służby około 2020 roku. Na razie jedynym okrętem tej klasy →

w chińskiej flocie wojennej pozostaje „Liaoning”. Chińczycy zbudowali go na bazie oduku-pionego od Ukrainy kadłuba nieukończonego za czasów Związku Sowieckiego lotniskowca „Wariag”. Jednostka jest wykorzystywana do szkolenia personelu i zdobywania doświadczeń w eksploatacji okrętów tej klasy. W konstrukcji typu 001 widać inspiracje sowieckim projektem, czego przykładem jest ski jump.

Widoczną różnicą między nim a „Liaoninem” jest mniejsza wypa (nadbudówka), co zwiększyło powierzchnię pokładu startowego. Prawdopodobnie w typie 001A jest również większy hangar.



CHIŃCZYCY PLANUJĄ BUDOWĘ SZEŚCIU LOTNISKOWCÓW I PRAWDOPODOBNIE CHCĄ MIEĆ JEDNOST- KI O NAPĘDZIE ATOMOWYM

NA SZEROKIE WODY

Jeśli chodzi o lotniskowce, Chińczycy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Już pojawiły się informacje, że trwają prace nad trzecim okrętem (typ 002), który zostanie wyposażony nie w skocznię, lecz w katapulty wspomagające start samolotów (podobnie jak amerykańskie jednostki). Ogółem Chińczycy planują budowę sześciu lotniskowców i prawdopodobnie chcą mieć jednostki o napędzie atomowym.

Jednocześnie powstaje nowa wersja myśliwca pokładowego Shenyang J-15 (zmodyfikowany rosyjski Su-33). J-15B będzie wyposażony w radar z aktywnym skanowaniem elektronicznym, dzięki któremu – jak podają chińskie media – maszyna uzyska możliwości wykrywania celów i kontroli pola walki zbliżone do amerykańskich samolotów bojowych F-35.

To nie koniec inspiracji amerykańskimi pomysłami. W przyszłości chińskie lotniskowce mają stanowić jądro grup bojowych okrętów, które będą zdolne do działań na wodach odległych od wybrzeży Państwa Środka. Te plany są realne, bo równoległe z lotniskowcami powstają coraz nowocześniejsze niszczyciele i fregaty rakietowe oraz jednostki pomocnicze. Jeśli Chińczycy zrealizują swój pomysł, zrobią kolejny krok do osiągnięcia pozycji mocarstwa globalnego. Najpierw jednak chcą wzmocnić obecność swych sił morskich w kilku miejscach, które mają żywotne znaczenie dla bezpieczeństwa militarnego oraz gospodarki Pekinu.

Zdolność działań grup bojowych chińskiej floty ma zwiększyć sieć baz morskich. Jednym z pierwszych eta-

pów jej tworzenia była umowa z Dżibuti.

Budowę tamtejszych „obiektów wsparcia” potwierdził w lutym 2016 roku rzecznik chińskiego resortu obrony płk Wu Qian. Wobec instalacji w Dżibuti przedstawiciele Pekinu unikają używania określenia „baza morska” i podkreślają, że chodzi o zabezpieczenie operacji przeciwko somalijskim piratom. Pojawiły się już jednak sygnały, że w zachodniej części Oceanu Indyjskiego zauważono chińskie okręty podwodne o napędzie atomowym, czyli jednostki mało przydatne w działaniach antypirackich. Lokalizacja bazy w Dżibuti ma natomiast strategiczne znaczenie, gdyż znajduje się koło cieśniny Bab al-Mandab, stanowiącej połączenie Morza Czerwonego z Morzem Arabskim, będącym częścią Oceanu Indyjskiego.

Chińczycy chcą mieć bazy morskie w różnych punktach tego akwenu – na wybrzeżach Azji i Afryki oraz na wyspach – a nawet na atlantyckich wybrzeżach Czarnego Łądu. Przed kilku laty pojawiła się informacja o rozmowach w tej sprawie z władzami Namibii. To zainteresowanie Afryką nie jest przypadkowe. Od lat Chińczycy wzmacniają swe wpływy w tym regionie i traktują ten kontynent jako źródło surowców potrzebnych do dalszego rozwoju gospodarczego oraz jako rynek zbytu dla swoich towarów.

Możliwe, że za kilkanaście lat Chiny będą miały nawet 18 baz morskich. Taką liczbę podał 19 listopada 2014 roku dziennik „Namib Times”, powołując się na niezidentyfikowane chińskie media, i podał lokalizację niektórych z nich – takich jak Gwadar w Pakistanie, Sittwe w Mjanmie czy Chittagong w Bangladeszu, Hambantota na Sri Lance – ze względu na chińską aktywność w tych miejscach. Prawdopodobnie bazy powstaną na wschodnich wybrzeżach Afryki – w Mombasie w Kenii i Dar es Salaam w Tanzanii, a na zachodnich – w Walvis Bay w Namibii, Luandzie w Angoli i Lagos w Nigerii. „Namib Times” podał też dość zaskakujące lokalizacje, takie jak Port Moresby w Papui Nowej Gwinei czy Sihanoukville w Kambodży. Pojawienie się Chińczyków w takich miejscach, jak Koh Lanta w Tajlandii, na Malediwach i Seszelach, zostanie natomiast odebrane przez Indie jako zagrożenie. Hindusi już twierdzą, że czują się osaczani z powodu chińskiej obecności w sąsiednich państwach. ■

Dlaczego rok po szczycie w Warszawie NATO zorganizowało kolejny szczyt?

Z formalnego punktu widzenia to nie był szczyt. Dyplomaci państw członkowskich starali się unikać tego określenia, mówili o spotkaniu przywódców NATO. Nie było długo przygotowywanej agendy ani komunikatu końcowego, który jest przyjmowany na zakończenie szczytu. Wszystko po to, by nie dewaluować znaczenia szczytów NATO. Ale z politycznego punktu widzenia było to bardzo ważne spotkanie z udziałem nowego prezydenta USA, który po raz pierwszy od czasu wyborów odwiedził Europę, a wcześniej bardzo ostro krytykował Organizację Traktatu Północnoatlantyckiego. Chodziło o to, aby kilka miesięcy po przejęciu władzy przez nową amerykańską administrację potwierdzić sojusz USA z Europą.

Prezydent Trump domagał się, aby sojusznicy zwiększyli wydatki na obronność. Jakie decyzje zostały podjęte w tej sprawie?

Stany Zjednoczone wydają 3,6% PKB na obronność, a państwa europejskie i Kanada średnio 1,5%. Zalecane przez NATO 2% przeznaczają na ten cel, oprócz USA, tylko cztery kraje: Estonia, Grecja, Polska i Wielka Brytania. Państwa członkowskie zobowiązały się na szczycie w Walii w 2014 roku dążyć do osiągnięcia poziomu 2% PKB w ciągu dekady. Teraz sojusznicy uzgodnili, że poszczególne kraje przedstawiają plan działań w tym kierunku i co roku będą z nich rozliczane. Zwiększy to polityczną presję na wypełnienie zobowiązań.

Sojusz formalnie przyłączy się do koalicji walczącej z tzw. Państwem Islamskim. To dobra decyzja?

W globalną koalicję jest zaangażowanych ponad 60 państw. Poparli ją też wszyscy członkowie NATO, ale do tej pory tylko nieliczni wspierali w istotnym stopniu misje bojowe czy szkoleniowe. USA odpowiadały za prawie 70% nalotów przeciwko IS w Iraku i 95% w Syrii. Takie działania podejmują też Wielka Brytania, Francja, Belgia i Turcja, a wcześniej podejmowała je także Dania. Polska, Niemcy i Kanada wspierają tę aktywność, prowadząc rozpoznawanie czy zapewniając zdolności do tankowania w powietrzu. Sojusz nie był formalnie uczestnikiem



NA SZCZYCIE

Z Wojciechem Lorenzem

o transatlantyckich więziach i zwiększonych wydatkach na obronę rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

koalicji, ale używał samolotów ostrzegania i kontroli AWACS. Szkolił też irackie siły, m.in. z wykrywania improwizowanych urządzeń wybuchowych, planowania operacji, pomocy medycznej. Pomagał również w utrzymaniu irackich czołgów i transporterów opancerzonych. Wcześniej takie działania prowadzono poza terytorium Iraku, ale na początku roku rozszerzono je na ten kraj.

Teraz NATO zdecydowało, że formalnie się przyłączy do koalicji, ale nie będzie podejmować operacji bojowych. Zwiększy liczbę lotów AWACS. Utworzy komórkę zbierania, analizy i dystrybucji danych wywiadowczych dotyczących zagrożenia terrorystycznego, m.in. na temat tzw. zagranicznych bojowników. Ustanowi też koordynatora, który będzie nadzorował aktywność sojuszu w walce z terroryzmem.

Formalne zaangażowanie NATO ma plusy i minusy. Po stronie plu-

sów jest to, że dzięki temu wzrasta znaczenie sojuszu jako narzędzia wspierającego interesy krajów, które w terroryzmie widzą główne zagrożenie. Jeśli NATO nie będzie podejmować decyzji zgodnych z oczekiwaniami wszystkich państw członkowskich, to nie będą one zainteresowane utrzymywaniem tej organizacji i przelewaniem krwi w obronie jej członków, gdyby zaszła taka potrzeba.

Po stronie minusów jest to, że koalicja będzie coraz bardziej zachodnia. Do udziału w niej może zniechęcać niektóre państwa arabskie nie najlepszy wizerunek NATO w tamtym regionie. Formalne uczestnictwo sojuszu w tej misji może także prowadzić do zwiększającego się zaangażowania i stać się strategicznym obciążeniem.

Czy my powinniśmy wzmocnić swoje zaangażowanie w tym regionie?

Polska utrzymuje w Iraku do 60 żołnierzy wojsk specjalnych szkolących irackie siły. PKW Kuwejt to cztery samoloty F-16 prowadzące operacje rozpoznawcze nad terytorium Iraku i niezbędny personel, który liczy do 150 żołnierzy. Uważam, że państwo o takim położeniu geopolitycznym jak Polska nie powinno mieć obaw, aby angażować się w działania o charakterze bojowym poza własnym terytorium. ■

WOJCIECH LORENZ jest analitykiem PISM.



JESZCZE BARDZIEJ GORĄCY KARTOFEL

*Z Waldemarem
J. Dziakiem*

**o brutalności
północnokoreańskiego reżimu
i nieprzewidywalności
jego przywódcy
rozmawia Tadeusz Wróbel.**

Przed czterema laty w wywiadzie dla „Polski Zbrojnej” porównał Pan analizowanie rzeczywistości Korei Północnej do badania góry lodowej.

I ta ocena pozostaje aktualna, co potwierdzają choćby wydarzenia ostatnich miesięcy. Teraz przedstawiciele służb wywiadowczych wielu państw zastanawiają się, co naprawdę siedzi w głowie przywódcy Korei Północnej.

Spektakularnym posunięciem Kim Dzong Una było zabójstwo członka najbliższej rodziny.

Zamordowanie przyrodniego brata, Kim Dzong Nama, pokazało, że lider z Pjongjangu jest bezwzględny i nie boi się ryzyka. Zabójstwo to było wszak posunięciem antychińskim. Od lat Pekin otaczał Kim Dzong Nama opieką.

Kim Dzong Un obawiał się natomiast, że Chińczycy mogą wykorzystać jego brata, by stworzyć alternatywny ośrodek władzy, skupiony wokół pierworodnego syna Kim Dzong Ila. Po tym wydarzeniu nikt nie jest w stanie przewidzieć, jaki może być następny ruch Kim Dzong Una, tym bardziej że mamy do czynienia nie tylko z systemem totalitarnym, lecz także z najbardziej hermetycznym państwem świata. Dlatego tak chętnie porównuję sondowanie rzeczywistości północnokoreańskiej do badania góry lodowej; świat ma dostęp może do zaledwie ośmiu procent informacji, na dodatek na pewno w części spreparowanych, reszta tonie w morzu milczenia.

Takie wróżenie z fusów jest jednak bardzo groźne, bo w interpretacji intencji drugiej strony łatwo o pomyłkę...

Niestety społeczność międzynarodowa jest niemal całkowicie pozbawiona informacji o koreańskim reżimie. Krążą nawet plotki, że dyplomaci akredytowani w Pjongjangu, którzy powinni być najlepiej zorientowani w sytuacji, zawierają między sobą zakłady o to, czy Korea Północna przeprowadzi kolejny test rakietowy lub atomowy. Co więcej, założyciel północnokoreańskiej dynastii, Kim Ir Sen, którego za życia nazywano gorącym kartoflem, w porównaniu z wnukiem jawi się jako polityk wyjątkowo stateczny i przewidywalny.

Jakie są przyczyny takich nieprzewidywalnych, a często brutalnych działań Kim Dzong Una? Może to przejaw obaw o pozycję polityczną?

Z pewnością tak, ale zdawać by się mogło, że w ciągu kilku lat rządów Kim Dzong Un zdołał wyeliminować już wszystkie osoby stanowiące zagrożenie, czyli 40 najwyższych przedstawicieli partii armii i państwa. Teraz bezwzględnie usuwa najbliższych członków rodziny: wuja, czterogwiazdkowego generała Dzang Song Teka, i ciotkę Kim Kiong Hui, która jako jedyna kobieta w Korei Północnej też była czterogwiazdkowym generałem. Te czystki zresztą doskonale widać, jak obejrzymy zdjęcia z pogrzebu Kim Dzong Ila – z osób idących w kondukcje przy karawanie z trumną żyje już tylko Kim Dzong Un. Od czasu gdy przejął władzę, stracono lub zesłano do obozów 60–70 osób z grona sprawującego władzę.

Skąd ta brutalność?

Kim Dzong Un doskonale wie, że w Korei Północnej kluczem do zdobycia i utrzymania władzy są szybkość i brutalność działania. To nic nowego w historii. Dzięki takim metodom Józef Stalin przejął władzę w Związku Sowieckim – w wyścigu po schedę po Leninie pokonał ludzi lepiej wykształconych i bardziej inteligentnych od siebie.

Niektórzy politycy i eksperci są rozczarowani, bo liczyli, że nowy przywódca, który zdobywał wykształcenie na Zachodzie, zacznie reformować kraj...

Z jednej strony, to nie pierwszy dyktator, który jest absolwentem szacownych zachodnich uczelni. Był nim chociażby Pol Pot. Z drugiej, Kim Dzong Un wprowadził w kraju pewne zmiany. Jedną z nich było... poszerzenie katalogu dozwolonych fryzur. Ponadto kobiety znowu mogą też nosić torebki, co było zakazane od 1965 roku, oraz minisukienki. Pojawiły się też bary, a na ulice wychwały kobiety na rowerach. To posunięcia, które dobrze się sprzedają w mediach zagranicznych, ale nie naruszają kośćca reżimu. Poza tym ograniczają się tylko do Pjongjangu, bo na prowincji sytuacja prawie się nie zmieniła.

Czy północnokoreańskie społeczeństwo ma charakter klasowy?

Tak, a poziom lojalności wobec reżimu decyduje o przynależności do konkretnej grupy. Około 28–30% Koreańczyków należy do klasy lojalnej, około 30% do chwiejnej, a reszta do wrogiej. Aby jeszcze bardziej skomplikować system, te trzy grupy podzielono na 51 podklas. Od pozycji zajmowanej w tej hierarchii zależą status obywatela, jego miejsce pracy i zamieszkania, a czasem i los. Szanse na awans są nikłe – wystarczy popełnić niewielki błąd, by spaść w hierarchii społecznej. W Korei Północnej nikt nie opowiada dowcipów o wielkim wodzu, bo może się to skończyć śmiercią lub zesłaniem do obozu. W północnokoreańskim kodeksie karnym jest aż 36 paragrafów, na których podstawie można zostać skazanym na karę śmierci.

Kto służy w północnokoreańskiej armii?

Przedstawiciele klasy lojalnej zajmują w niej stanowiska dowódcze, a zwykli żołnierze pochodzą z tych niższych grup. Ci najbardziej zaufani spośród obywateli tworzą kadry służb bezpieczeństwa i aparatu partyjnego oraz trafiają do dyplomacji.

Czy taki podział nie wpływa jednak negatywnie na wartość armii?

Należy pamiętać o totalnej indoktrynacji tamtejszego społeczeństwa, która w wypadku osób izolowanych w koszarach czy służących w wojsku przez 10–12 lat jest bardzo skuteczna. Pranie mózgów powoduje, że większość żołnierzy jest gotowa zginąć dla wodza.

Wspomniał Pan, że Korea Północna jest najbardziej tajemniczym krajem świata. Dlaczego tak jest? W przeszłości dzięki szpiegom udawało się zdobywać sporą wiedzę o komunistycznych reżimach.



WIZYTÓWKA



WALDEMAR JAN DZIAĆ

Profesor zwyczajny doktor habilitowany nauk humanistycznych, dziennikarz, pisarz. Od lat jest pracownikiem naukowym Instytutu Studiów Politycznych PAN. Po wydaniu książki poświęconej Kim Dzong Ilowi został objęty dożywotnim zakazem wjazdu do KRLD.

W Korei Północnej nikt nie podejmuje się szpiegowania. Gdyby taki człowiek wpadł, to trafiłby do katowni służb bezpieczeństwa, a wobec jego rodziny i krewnych do trzech pokoleń zastosowano by ostre represje. Dlatego osoby należące do obozu władzy, głównie dyplomaci, uciekają za granicę, gdy stwierdzą, że nie zgadzają się z reżimem. Wallenrodyzm nie wchodzi w grę.

Od lat elementem eskalującym napięcie w regionie Azji Wschodniej jest północnokoreański program atomowy. Czy widzi Pan możliwość rozwiązania tego problemu?

Już od 20 lat mówię, że jedynym państwem, które może rozwiązać ten problem, są Chiny. Pekin ma skuteczne narzędzia nacisku na reżim w Pjongjangu, przede wszystkim ekonomiczno-finansowe, takie jak wstrzymanie dostaw ropy naftowej, ale też polityczne i dyplomatyczne, bo Chiny są dla Korei Północnej oknem na świat, chociażby ze względu na połączenia lotnicze z Pjongjangiem.

Dlaczego uważa Pan, że Pekin ma największy wpływ na reżim KRLD?

Chińczycy wpadli w pewnego rodzaju pułapkę geostrategiczną. Choć beczelne zachowanie Kim Dzong Una ich irytuje, to uważają, że upadek Korei Północnej byłby dla nich niekorzystny. Politycy w Pekinie dobrze pamiętają, co stało się po zjednoczeniu Wietnamu. Szybko doszło do konfrontacji z niedawnym sojusznikiem, bo uznano, że stał się zbyt silny. Przy czym od czasów starożytnych Chiny zabiegają o to, by kraje ościenne były słabe, podatne na ich naciski. Tymczasem zjednoczona Korea urosłaby w siłę i Chińczycy mieliby za sąsiada 80-milionowe państwo, dysponujące bronią atomową.

Seul dysponujący bronią atomową?

Nikt już nie zrezygnuje dobrowolnie z takiej broni, bo wszyscy mają w pamięci los państw, które dobrowolnie się jej pozbyły lub z niej zrezygnowały. Dlatego jestem przekonany, że po zjednoczeniu władze w Seulu zachowałyby broń atomową, nawet wbrew Waszyngtonowi.

Dla Zachodu zagrożeniem mogłoby być przejęcie północnokoreańskich technologii atomowych przez wrogie państwa czy ugrupowania.

Zagrożenie jest poważne, bo Pjongjang od dawna utrzymuje dobre relacje z takimi organizacjami, jak Hamas czy

Hezbollah. Korea Północna rozwija program atomowy od kilkudziesięciu lat, więc wykształciła tysiące specjalistów w tej dziedzinie. Po upadku reżimu mogliby oni pracować na rzecz innych państw, tak jak rosyjscy eksperci po rozpadzie Związku Sowieckiego. Jednym z kierunków ich emigracji była właśnie Korea Północna.

Czy po ochłodzeniu relacji z Pekinem Korea Północna nie zwróciła się ku Moskwie?

■ Podobno Koreańczycy sondowali taką możliwość, ale spotkali się

z jednoznaczną odmową prezydenta Władimira Putina. Rosja jest dość pasywnym graczem na Półwyspie Koreańskim i nigdy nie zaryzykuje dobrych relacji z Chinami w zamian za iluzoryczną poprawę kontaktów z Pjongjangiem. Koreańczycy z Północy okazali Rosji wielką niewdzięczność. Chociaż Moskwa anulowała im idący w miliardy dług, zaciągnięty jeszcze za czasów ZSRS, udzielała pomocy żywnościowej i humanitarnej, Kim Dzong Un nie raczył pojawić się w Moskwie na wielkiej defiladzie z okazji 70. rocznicy zakończenia II wojny światowej, mimo że Putinowi bardzo na tym zależało.

Część ekspertów, pomimo pojawiających się informacji o zbrojeniach, nie traktuje Korei Północnej poważnie. Wpływ na to miało stawianie wielokrotnie ultimatum, po którym nic się nie wydarzyło.

Owo bagatelizowanie niebezpieczeństwa wynika z braku wiedzy, chociażby na temat mentalności ludzi reżimu, których posunięcia, pozornie bezsensowne, mają jednak jakiś ukryty sens. Z punktu widzenia rządzących w Pjongjangu stałe utrzymywanie napięcia jest korzystne, ponieważ sprzyja uspieniu czujności przeciwników. Ich bierność zachęci reżim do jeszcze większych prowokacji. Przed kilku laty Korea Południowa nie zareagowała po zatopieniu korwety przez Północ, więc ta wkrótce ostrzelała jej nadgraniczne wyspy. Chińczycy bardzo niepokoją się tym, że Korea Północna nie zdaje sobie sprawy, do jakiego wzrostu napięcia w regionie doprowadziła swymi posunięciami i że może przekroczyć cienką czerwoną linię.

Wojna wywołana przez KRLD zakończyłaby się upadkiem reżimu...

To wiedzą ludzie myślący logicznie, a ja mam obawy, czy w tym gronie jest północnokoreański wódz, który rozumie tylko język siły.

Donald Trump niedawno wyraził gotowość spotkania z Kim Dzong Unem.

Tę niefortunną deklarację kładę na karb politycznego niedoświadczenia nowego amerykańskiego prezydenta. Takie spotkanie dla północnokoreańskiego dyktatora byłoby niezasłużoną nobilitacją.

Jaki sens mają ponawiane co jakiś czas apele o negocjacje w sprawie dobrowolnej rezygnacji Korei Północnej z broni atomowej?

Takie negocjacje nie przyniosą większych efektów, a służą KRLD. Dają jej czas potrzebny na doskonalenie broni atomowej. Według reżimu, pójście na kompromis byłoby upokarzającą porażką. Poza tym pamiętajmy, jak skończyli dyktatorzy, którzy nie mieli broni atomowej. Jedynym efektywnym posunięciem mogącym przerwać atomowe zbrojenia Pjongjangu jest rozwiązanie siłowe. Na podjęcie działań militarnych społeczność międzynarodowa ma coraz mniej czasu. Byłem bardzo krytyczny wobec bierności administracji prezydenta Baracka Obamy w tej sprawie, bo przez osiem lat, m.in. dzięki amerykańskiej strategii dyplomatycznej cierpliwości, najbardziej groźne północnokoreańskie programy militarne bardzo się rozwinęły.

Czy wystarczająca byłaby operacja sił konwencjonalnych?

Wydaje mi się, że niestety byłyby potrzebne miniaturowe ładunki atomowe, gdyż znacząca część infrastruktury militarnej KRLD jest schowana głęboko pod ziemią. Budowa kolejnych tuneli to od 60 lat jedno z podstawowych zajęć jednostek armii północnokoreańskiej. Kiedyś znalazłem informację, że ziemia skrywa 65% tamtejszych fabryk zbrojeniowych.

Dzisiejsza sytuacja międzynarodowa chyba jednak nie sprzyja operacji wojskowej?

To prawda. Najlepsza okazja była w 1994 roku, za rządów Billa Clintona, gdy pojawił się plan prewencyjnych uderzeń punktowych na obiekty związane z północnokoreańskim programem atomowym. Wówczas Chiny nie były jeszcze tak silnie militarnie i gospodarczo jak dziś. A do tego po masakrze studentów w 1989 roku na placu Tian'anmen w Pekinie były izolowane politycznie na arenie międzynarodowej. Rosja lizała wtedy rany po rozpadzie Związku Sowieckiego, a w Korei Północnej rozpoczął się wielki głód. Akcji militarnej sprzeciwiła się jednak Korea Południowa, bo władze obawiały się odwetowego uderzenia na Seul. Obecnie sytuacja się powtarza i nowo wybrany prezydent Korei Południowej, mimo porażki lansowanej przez jego poprzedników „słonecznej polityki”, czyli zbliżenia z Pjongjaniem, deklaruje chęć dialogu, a nawet wspomina o podróży do KRLD, czyli do kraju, który ma jedno marzenie: zniszczyć Południe. Nie chce pamiętać, że reżim Północy zawsze zyskiwał ekonomicznie, finansowo i politycznie, Południe zaś zawsze na tym traciło. Kimowie ciągle dostają czas potrzebny na rozwój ich strategicznych projektów zbrojeniowych.

Donald Trump wspominał o operacji militarnej przeciwko Korei Północnej, ale czy się naprawdę na nią odważy?

Cokolwiek sądzimy o nowym prezydencie USA, trzeba powiedzieć, że już w Syrii czy Afganistanie pokazał, iż jest zdolny do działania. Z Koreą Północną sprawa jest jednak trudniejsza i bardziej złożona, bo tam krzyżują się sprzeczne interesy różnych mocarstw. Bierność wobec poczynań reżimu w Pjongjangu okaże się jednak katastrofalna w skutkach. Od kilku lat powtarzam, że czasami lepiej jest wywołać mały konflikt, niż czekać na wielki. Na akcję przeciwko Korei Północnej zostało coraz mniej czasu, bo za trzy lata Kim będzie miał zminiaturyzowane głowice i rakiety dalekiego zasięgu, mogące zagrozić terytorium USA. W praktyce akademickiej stosuję termin „błąd historycznego zaniechania”. Dotyczy on sytuacji, gdy czegoś nie robi się w odpowiednim czasie; potem jest już za późno... ■

Cokolwiek sądzimy o nowym prezydencie USA, trzeba powiedzieć, że już w Syrii czy Afganistanie pokazał, iż jest zdolny do działania



Pukguksong



Pokung-ho II

KRZYSZTOF KAUCZ

GRA POZORÓW

Koreańczycy trzymają w tajemnicy informacje o swoich systemach uzbrojenia. Wiele jednak można wyczytać ze zdjęć sprzętu prezentowanego na defiladzie.

Corocznie z okazji święta ustanowionego na pamiątkę urodzin Kim Ir Sena jest organizowana w Korei Północnej wielka defilada. W tym roku wypadła ona w okresie najwyższego od 60 lat napięcia na linii USA – Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna i ten kryzys był głównym determinantem kształtu tegorocznej uroczystości, którą zdominował pokaz pocisków balistycznych. Wiele wskazuje na to, że scenariusz defilady opracowano przynajmniej kilka tygodni wcześniej, ale pod wpływem bieżących wydarzeń został zmodyfikowany tuż przed 15 kwietnia. Stąd nietypowy skład sprzętu i jednocześnie brak zdawałoby się obowiązkowych wzorów uzbrojenia. Koreańczycy najwyraźniej postanowili w tym roku zaprezentować te rodzaje broni, które odegrałyby największą rolę w razie ewentualnej konfrontacji z Amerykanami i ich sojusznikami.

ZMIANA KAMUFLAŻU

Pewnym zaskoczeniem była pieszka część parady. Zaprezentowano znacznie mniej mundurów galowych, więcej zaś strojów maskujących – głównie w niepokazywanym

dotychczas letnim i zimowym kamuflażu (także u generałów na trybunie honorowej). W połączeniu z kevlarowymi hełmami sprawiło to, że tamtejsza piechota przestała przypominać tę z czasów wojny koreańskiej. Imponująco, oczywiście jak na warunki północnokoreańskie, wyglądał natomiast oddział komandosów ubranych w gogle noktowizyjne i kamizelki kuloodporne w pikselowym kamuflażu (wyraźnie chińskiej proveniencji) oraz uzbrojonych w znane z wyposażenia ochrony Kim Dzong Una karabinki AK ze ślimakowymi magazynkami.

Nic nowego nie pokazano w tym roku, jeśli chodzi o broń osobistą. Żołnierze zostali uzbrojeni w karabiny i karabinki AK różnych wersji, m.in. AKM, AK-74, RPK-74 i inne, z granatami nasadkowymi i podwieszanymi granatnikami GP-25, a także granatniki RPG-7 z tandemowymi głowicami. Jedyną niespodzianką był tajemniczy dwulufowy karabin, będący najprawdopodobniej przebudowaną północnokoreańską wersją AK-74 (typ 88?), na którym zamontowano granatnik w układzie bezkolbowym. Lufy umieszczono jedna pod drugą (tę od AK niżej), a zamek granatnika tuż pod mocowaniem celownika. Jego jedyna widoczna część, czyli uchwyt, sugeruje, że jest to broń powtarzalna. Została ona też wyposażona w ciekawy celownik, który sprawia wrażenie elektrycznego i dziennonocnego. Przyjęte rozwiązania przypominają bardziej południowokoreański karabin Daewoo K-11 niż chiński ZH-05. Korea Północna stała się trzecim państwem azjatyckim produkującym i wykorzystującym broń typu OICW (Objective Individual Combat Weapon).

MOCNE UDERZENIE

Zmechanizowaną część defilady otworzyły czołgi. W pierwszej grupie pojazdów można było zobaczyć songun-ho z ręczną wyrzutnią pocisków przeciwlotniczych HT-16PGJ Hwaseong-Chong (północnokoreańska ulepszona igła-1) przy władze dowódcy. Zwracał uwagę brak środkowego wozu w trzeciej trójce (w obłokach dymu wycofał się z kolumny, zanim ta wjechała na plac przed trybuną



Pocisk dla okrętów podwodnych KN-11



Zestawy 9K35 z pociskiem HT-16PGJ

honorową). Jako kolejne paradowały pokpung-ho II (chonna 216) w mocno zmodyfikowanej wersji, którą pierwszy raz zaprezentowano na początku 2017 roku w publikacji z ćwiczeń. Znaczącemu liftingowi poddano wieżę pojazdu – antenę i przyrządy meteorologiczne przesunięto z jej lewej strony na prawą, a w miejscu wjazdu dowódcy wycięto otwór o znacznie większym obrysie i osadzono tam sterowaną z wnętrza pojazdu platformę bojową, na niej zaś zamontowano podwójną wyrzutnię pocisków Bulsae-3 (zmodyfikowany 9K111 Fagot) osłoniętą pancernym daszkiem, zdwojony granatnik automatyczny z zasobnikami na amunicję oraz taśmę amunicyjną. W platformie przewidziano też wjazd dowódcy. Pojazd zyskał nowe systemy kierowania ogniem oraz pojemnik dalmierza laserowego, zapewne służącego również do podświetlania celów dla przeciwpancernych pocisków kierowanych, zamontowany nad jarzmem gładkolufowej armaty 2A20/U 5TS Molot kalibru 115 mm. Na władze ładowniczej pojawił się osłonięty lekkim pancernem kanciasty kształt – wizjer lub peryskop (trudno to określić, bo we wszystkich wozach na defiladzie wjazd był otwarty). Bardzo ciekawy element nowego wyposażenia wieży stanowi zamontowana na półce przyspawanej do jej prawej strony zdwojona wyrzutnia pocisków przeciwlotniczych HT-16PGJ. Sam wysięgnik, na którym umieszczono wyrzutnię, sprawia wrażenie przemysłowego i dopracowanego. Nad pojemnikami z raketami zamontowano małą skrzynkę, prawdopodobnie z kamerą. Wszystkim steruje się z wnętrza pojazdu.

Za czołgami jechały dobrze znane z poprzednich defilad kołowe transportery opancerzone M-2012 w układach 6x6 i 8x8 wzorowane na radzieckich BTR-80. Pancerną kolumnę zamknęły działa samobieżne – M1992 kalibru 130 mm oraz 170-milimetrowe M1989 Koksan 2 (oznaczenia literowo-numeryczne są umowne, przyjęte od roku, w którym pierwszy raz zaprezentowano dany typ uzbrojenia).

Obronę przeciwlotniczą wojsk lądowych w tym roku reprezentowały na defiladzie tylko zestawy 9K35, uzbrojone dodatkowo w przeciwlotnicze karabiny maszynowe. Za-

miast kontenerów z pociskami 9M37 zamontowano w nich dwa otwierane od dołu pojemniki, każdy zawierający kasety z czterema pociskami HT-16PGJ.

Jeśli chodzi o artylerię, to na defiladzie można było zobaczyć znane z wcześniejszych pokazów północnokoreańskie wersje wyrzutni RM-70 kalibru 122 mm z opancerzoną kabiną. Za tymi zestawami pojechały 240-milimetrowe systemy M1985/M1991 na wojskowych wersjach chińskich ciężarówek Sinotruk HOWO, a następnie przyjęte do służby w 2013 roku KN-09, których pociski kalibru 300 mm podobno mają zasięg 180–200 km. Pierwszy raz od dość dawna Koreańczycy zaprezentowali na defiladzie również pociski przeciwlotnicze dalekiego zasięgu S-200. Tuż za nimi jechały systemy KN-06 (północnokoreańska wersja S-300). Sporym zaskoczeniem było natomiast pokazanie wyrzutni nieznanego wcześniej systemu ziemia–woda, zbudowanych na wydłużonym podwoziu czołgu T-62. Każda z nich ma cztery kontenery z pociskami przeciwokrętowymi – najprawdopodobniej Ch-35 Uran o zasięgu około 130 km.

STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ

Defiladę zamykały pociski balistyczne dla okrętów podwodnych typu Bukkeukseong-1 (KN-11). Kolumnę lądowych pocisków balistycznych prowadziło zaś sześć niepokazywanych wcześniej wyrzutni na gąsienicowych podwoziach analogicznych do tych, które zastosowano w prezentowanym wcześniej kompleksie obrony brzegowej. Pocisk to najprawdopodobniej napędzana paliwem ciekłym (na zdjęciach w wysokiej rozdzielczości można dostrzec wlewy paliwa i utleniacza) wersja SCUD-a z dodatkową czwórką lotek, które mają korygować lot głowicy w jego końcowej fazie.

Kolejną nowość stanowiły gąsienicowe wyrzutnie pocisków balistycznych na paliwo stałe Pukguksong-2 (KN-15) o zasięgu 1,2–3 tys. km, czyli lądowa wersja KN-11. Pierwszy raz odpalono je w lutym 2017 roku i było to o tyle ważne wydarzenie, że odpalenie pocisków na paliwo →



KOREAŃCZYCY OBAWIAJĄ SIĘ INTER- WENCJI AMERYKA- NÓW, A MOŻE NAWET CHIŃCZYKÓW

W nowych mundurach żołnierze Kim Dzong Una przestali przypominać armię z lat pięćdziesiątych.

stałe wymaga znacznie prostszych procedur przedstartowych oraz udziału mniejszej liczby pojazdów wsparcia, więc można to zrobić skrycie i w znacznie krótszym czasie niż w wypadku pocisków napędzanych paliwem ciekłym.

Następnie przed trybuną honorową przejechały dobrze znane pociski Musudan (Hwasong-10) o zasięgu od 2,5 do 4 tys. km, a za nimi interesujące zestawy – wyrzutnie takie jak w wypadku musudanów, czyli MAZ-547A, ale z kołami okrytymi dodatkowymi osłonami; pociski są jednak znacznie dłuższe i przypominają KN-08/KN-14 (Hwasong-13), które prezentowano już na wcześniejszych defiladach, choć na innym nośniku. W ubiegłym roku opublikowano fotografię przedstawiającą przygotowania do odpalenia z tej wyrzutni pocisku Musudan, a nie KN-08/KN-14. Największe zainteresowanie wzbudziło pojawienie się dwóch zestawów przewożących kontenery, zapewne przeznaczone dla międzykontynentalnych pocisków balistycznych. Nie ma jednak przesłanek, by stwierdzić, że Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna opracowała taki, który osiągnął gotowość operacyjną. Jeżeli jednak zaprezentowane kontenery nie są atrapami, to w najbliższym czasie powinniśmy się spodziewać testów broni, dla której je przygotowano.

POKAZ SIŁY

Wydaje się, że pierwszy raz w historii Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej kwietniowa defilada została przeprowadzona z myślą o zrobieniu wrażenia bardziej na obserwatorach zagranicznych niż własnych obywatelach. Zazwyczaj bowiem dbano głównie o różnorodność prezentowanego uzbrojenia i pokazywano dziesiątki pojazdów pancernych i artylerii, żeby zbudować na potrzeby Koreańczyków mit potężnej armii, gotowej do rozprawienia się z każdym przeciwnikiem. Unikano przy tym prezentacji nowocześniejszego sprzętu.

Tym razem stało się inaczej. Wydarzenia ostatnich tygodni sugerowały, że US Navy może odegrać dużą rolę w ewentualnej amerykańskiej interwencji na Półwyspie

Koreańskim, dlatego na defiladzie zaprezentowano m.in. pociski Uran, mogące stanowić zagrożenie dla floty potencjalnego agresora. Różnorodność pocisków balistycznych ma natomiast uświadomić, jaki potencjał odwetowy ma Korea Północna. Wprowadzenie do uzbrojenia tych na paliwo stałe oznacza krótszy czas potrzebny do ich odpalenia, a tym samym ogranicza możliwości zniszczenia wyrzutni na ziemi. Zaprezentowane kontenery dla międzykontynentalnych pocisków balistycznych miały dodatkowo wzmocnić obawę przed atakiem odwetowym na terytorium agresora.

Koreańczycy pokazali także, że zdają sobie sprawę ze swoich braków w kwestii uzbrojenia. Dlatego zaprezentowali czołgi z nowym wyposażeniem. Pokpung-ho jest na przykład przygotowany do działania w sytuacji, gdy przewaga przeciwnika w powietrzu zmusi czołgi do walki bez wsparcia innych komponentów wojsk lądowych. Dlatego na defiladę wybrano wersję z większymi możliwościami zwalczania piechoty przeciwnika oraz wyposażeniem służącym do walki ze śmigłowcami i uzbrojonymi bezzałogowcami. Wszystko wskazuje na to, że Koreańczycy obawiają się interwencji Stanów Zjednoczonych, a może nawet Chin. Takim pokazem sprzętu chcieli wywołać przekonanie, że jakkolwiek atak będzie drogo kosztował agresora. Zaprezentowali większość swojego względnie nowoczesnego uzbrojenia, dlatego można się pokusić o ocenę, że armia Kim Dzong Una potrzebuje jeszcze wielu lat, żeby móc się mierzyć z wojskami potencjalnych przeciwników. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można zatem przyjąć, że w najbliższym czasie Półwyspowi Koreańskiemu nie grozi wojna, pod warunkiem że Chińczykom lub Amerykanom nie puszcza nerwy. ■

KRZYSZTOF KAUCZ jest prawnikiem, głównym specjalistą w Urzędzie Miejskim Wrocławia.

Współpracuje z Ośrodkiem Bezpieczeństwa Międzynarodowego w fundacji Instytut Północny, gdzie zajmuje się siłami zbrojnymi państw arabskich i Azji Południowo-Wschodniej oraz Iranu.

Na obrzeżach Irbilu, stolicy Autonomicznego Regionu Irackiego Kurdystanu, w wiosce Bnasława znajduje się obóz treningowy peszmergów, w którym 100 europejskich specjalistów wojskowych szkoli 500 kurdyjskich żołnierzy. Trenerzy pochodzą z sześciu państw NATO: Niemiec, Wielkiej Brytanii, Włoch, Holandii, Węgier, Słowenii oraz z Finlandii, a do niedawna również Norwegii.

„Gdy zaczęła się wojna z Daesh [Państwem Islamskim], zobaczyliśmy, jak wielkie mamy potrzeby, jeśli chodzi o wyposażenie i wyszkolenie peszmergów. Dlatego początkowo z trudem się broniliśmy i dopiero dzięki wsparciu międzynarodowej koalicji byliśmy w stanie odeprzeć wroga i przejść do kontrofensywy. Dziś odzyskaliśmy już 98% naszego terytorium, ale koalicja obiecała nam dalsze wsparcie w dziedzinie szkoleń, doradztwa, edukacji wojskowej, reorganizacji i, mam nadzieję, wyposażenia”, mówi gen. Hażar Ismail z ministerstwa do spraw peszmergów Autonomicznego Regionu Irackiego Kurdystanu.

Jednym z kluczowych elementów tej pomocy jest szkolenie żołnierzy. W tym celu na przełomie 2015 i 2016 roku kurdyjskie dowództwo wojskowe we współpracy z ośmioma państwami zachodnimi stworzyło Kurdistan Training Coordination Center (KTCC). Dzięki tej inicjatywie powstał pierwszy obóz w Bnasławie, a dziś istnieją jeszcze dwa kolejne – w Sulejmani oraz wiosce Atrusz niedaleko Duhok. „Dotychczas przeszkolono w nich 20 kurdyjskich batalionów, czyli prawie 12 tys.

peszmergów. Początkowo kursy trwały około pięciu tygodni, ale teraz część z nich wydłużono do ośmiu. Niektóre kraje NATO prowadzą też krótkie szkolenia poza KTCC na drugiej linii frontu”, wyjaśnia gen. Ismail.

ROZBRAJANIE MINY

W Bnasławie jeden z niemieckich oficerów oprowadza mnie po centrum treningowym. Nie mogą robić zdjęć instruktorom ani podawać ich personaliów, ale mogą przyglądać się treningom. „Prowadzimy tu cztery rodzaje szkoleń: medyczne, strzeleckie, C-IED [Counter Improvised Explosive Devices] oraz

EOD [Explosive Ordnance Disposal]”, opowiada Niemiec. C-IED to lokalizowanie i neutralizacja IED (Improvised Explosive Device), czyli min domowej roboty, które zbierają ogromne żniwo śmierci w wojnie z Państwem Islamskim.

„Szkolenie C-IED trwa trzy-cztery tygodnie, składa się z części teoretycznej i demonstracyjnej oraz egzaminu praktycznego. W pierwszej części wyjaśniamy sposób działania IED oraz przybliżamy metody ich wykrywania. W drugiej opracowujemy scenariusze, które następnie realizujemy w praktyce. Chodzi przede wszystkim o to, by zwracać uwagę na nietypowe rzeczy. Dlaczego na przykład w danym pomieszczeniu jest teczka, której dzień wcześniej nie było”, tłumaczy włoski oficer, który właśnie skończył trening polegający na opracowywaniu scenariusza działania.

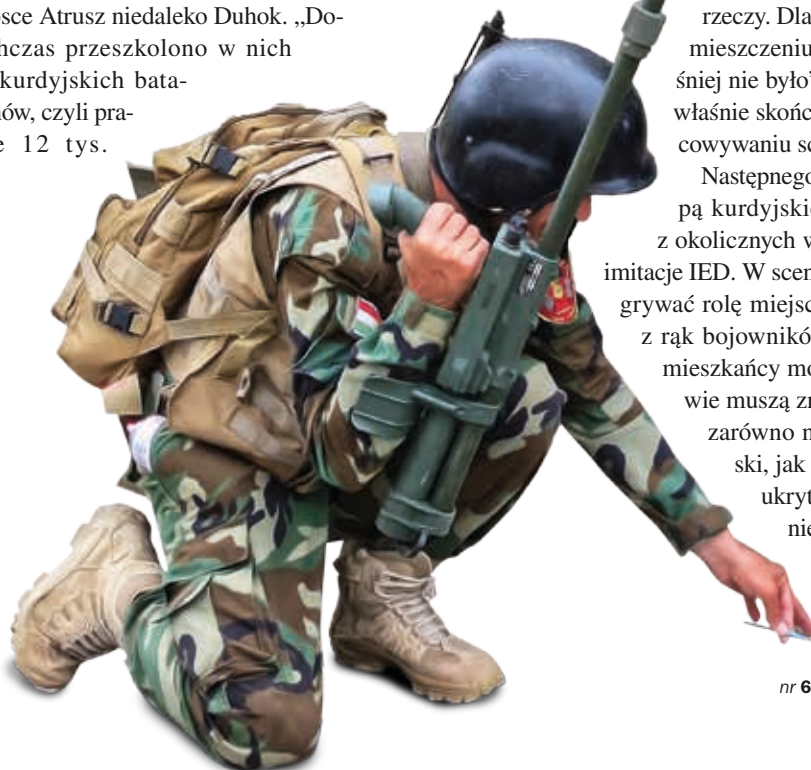
Następnego dnia instruktorzy razem z grupą kurdyjskich żołnierzy pojadą do jednej z okolicznych wiosek, w której zostaną ukryte imitacje IED. W scenariuszu ćwiczeń będzie ona odgrywać rolę miejscowości niedawno wyzwolonej z rąk bojowników Państwa Islamskiego. Żeby mieszkańcy mogli do niej wrócić, peszmergowie muszą znaleźć wszystkie ukryte ładunki zarówno na drodze prowadzącej do wioski, jak i w domach. „Bomba może być ukryta na przykład w drzwiach, więc nie można ich po prostu otworzyć, lecz trzeba użyć sznura lub za →

WITOLD REPETOWICZ

PATRZĄ ŚMIERCI W OCZY

Kurdyjska Peszmerga zmienia się dzięki wsparciu państw zachodnich.

WITOLD REPETOWICZ



„pomocą lusterka sprawdzić, co jest po drugiej stronie”, dodaje Włoch. W szkoleniu uwzględniono również kwestie podejmowania decyzji, co zrobić po znalezieniu IED. „Są trzy możliwości – można ominąć ładunek, oznaczyć miejsce i zostawić bombę do późniejszego rozbrojenia albo zneutralizować na miejscu lub przenieść w inne miejsce w celu neutralizacji”, wyjaśnia włoski oficer. Podobnie wygląda szkolenie EOD, ale obejmuje również neutralizację innych rodzajów bomb. Ponadto o ile w Counter Improvised Explosive Devices chodzi przede wszystkim o wykrycie bomby, to w Explosive Ordnance Disposal – także o jej neutralizację. Od niedawna w Bn-slawie prowadzone są też szkolenia podoficerów, którzy w przyszłości zostaną trenerami.

STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ

W czasie ćwiczeń strzelniczych Kurdowie używają głównie kałasznikowów, a nie takiej broni, jaka jest w wyposażeniu żołnierzy państw należących do NATO. Gen. Ismail uważa jednak, że wkrótce to się zmieni dzięki europejskiemu i amerykańskiemu wsparciu. „W ramach programu Foreign Military Financing rząd USA w latach 2016–2017 udzielił Irakowi 2,7 mld dolarów pożyczki na amerykański sprzęt wojskowy. Zawarto wówczas umowę, że za 200 mln dolarów zostaną w pełni wyposażone, zgodnie z amerykańskimi standardami, dwie brygady piechoty i dwa regimenty artylerii. Ponadto przewidziano zakup sprzętu komunikacyjnego. Wciąż bowiem większość naszych sił porozumiewa się za pomocą telefonów komórkowych”, tłumaczy generał i dodaje, że wszystkie formalności dotyczące tego programu zostały już dopełnione. „Teraz czekamy na dostawy. Spodziewamy się, że w przyszłym roku Irak dokona zakupów kredytowanych z programu FMF w wysokości 2,7 mld dolarów, więc ponownie dostaniemy sprzęt o wartości co najmniej 200 mln dolarów”.

Dotychczas Peszmerga używała przestarzałej broni sowieckiej, przejętej ze składów irackich po I i II wojnie w Zatoce Perskiej (znaczna część tego sprzętu pamiętała jeszcze czasy wojny iracko-irańskiej w latach osiemdziesiątych), ale zamierza przejść na zachodnią. Na razie jednak zdarza się, że w jednym batalionie żołnierze mają dwa rodzaje broni. „Rozwiązanie tego problemu nastąpi wraz z reorganizacją Peszmergi, której najważniejszym etapem jest unifikacja oddziałów 70 i 80”, mówi generał Hażar.

Trudności z ujednoliceniem oddziałów związane są z historią Peszmergi, która wykształciła się z dwóch grup partyzanckich. Jedna była związana z działającą w rejonie Irbilu i Dohok Partią Demokratyczną Kurdystanu (PDK) pod przywództwem rodziny Barzanich, druga zaś



z walczącą bardziej na południu, w rejonie Sulejmani i Kirkuku, Patriotyczną Unią Kurdystanu (PUK) Dżalalą Talabaniem. W latach dziewięćdziesiątych obie grupy powołały konkurencyjne ministerstwa do spraw peszmergów, a ich połączenie nastąpiło formalnie w 2005 roku. Wtedy oddziały związane z PUK oznaczono liczbą 70, a te związane z PDK – 80. Praktyczna unifikacja zaczęła się natomiast w 2010 roku i do 2014 procesowi temu poddano 12 brygad. Wojna z Państwem Islamskim oraz problemy budżetowe spowodowały jednak, że wstrzymano jego realizację. „Planujemy część tych oddziałów przenieść do rezerwy, a najlepsze zunifikować. Rezerwa dysponowałaby bronią sowiecką, a nowa Peszmerga wyłącznie zachodnią”, mówił generał.

KOMPLEKSOWA REORGANIZACJA

Wsparcie europejsko-amerykańskie nie ogranicza się jednak do szkoleń i wyposażenia. W 2015 roku na podstawie decyzji Kurdystanu oraz USA, Wielkiej Brytanii i Niemiec powstała grupa, której zadaniem jest kompleksowa reorganizacja Peszmergi. „Nasz plan ma 35 punk-



OD CZERWCA 2014 ROKU PESZMERGO- WIE W WALKACH Z PAŃSTWEM ISLAMSKIM PRZEJĘ- LI KONTROLĘ NAD WIĘKSZOŚCIĄ SPOR- NYCH TERENÓW

tów i obejmuje wszystkie aspekty, m.in. unifikację, program szkoleń oraz budżet. Po zatwierdzeniu przez prezydenta departament reformy naszego ministerstwa zacznie go wprowadzać w życie pod nadzorem grupy”, wyjaśnia gen. Ismail.

Zgodnie z tym planem Kurdystan ma przyjąć regionalną strategię bezpieczeństwa oraz rozwinąć system obrony powietrznej. „Chcemy również stworzyć własne siły powietrzne. Peszmerga dysponuje tylko wojskami lądowymi, choć nasze ministerstwo spraw wewnętrznych ma 14 helikopterów. Zgodnie z iracką konstytucją mamy prawo do posiadania lotnictwa. Problemem są natomiast kwestie finansowe. Liczymy jednak na to, że wkrótce dostaniemy

maszyny transportowe, a może również szturmowe. Mamy bowiem wykształconych w armii irackiej lotników, którzy po upadku Saddama Husajna przeszli do Peszmergi”, dodaje generał.

Planowany jest również rozwój szkolnictwa wojskowego. Do 2003 roku Peszmerga dysponowała dwiema szkołami oficerskimi: w Zacho i Sulejmani. Zostały one jednak przekazane irackiemu ministerstwu obrony, a ministerstwo do spraw peszmergów ma prawo wysyłać na tę uczelnię swoich studentów. Kurs trwa ponad rok i uczestniczy w nim około 200 kadetów, którzy po ukończeniu nauki otrzymują stopień podporucznika. Inną szkołą przygotowującą oficerów od stopnia kapitana do dowodzenia batalionem, brygadą lub dywizją jest Joint Staff College. „Absolwenci tej uczelni mają być przyszłością naszej armii. W jednym kursie trwającym dwa lata bierze udział około 25–40 oficerów. Zrealizowaliśmy już osiem takich kursów”, mówi generał Hażar. Planuje się też utworzenie uczelni podoficerskiej oraz przeznaczonej do prowadzenia specjalnych kursów treningowych, takich jak: wywiad, CIED, inżynieria wojskowa, medycyna, logistyka, artyleria czy strzelanie snajperskie. Peszmerga planuje również zwiększenie liczby kursów MDMP (Military Decision Making Proces) przeznaczonych dla oficerów. „W przeszłości nasi oficerowie niestety nie kończyli szkół wojskowych, więc teraz muszą nadrobić te braki”, podsumowuje generał Hażar.

W Peszmerdze służy 160 tys. osób, w tym są dwa bataliony kobiece. Panie pełnią jednak głównie funkcje administracyjne, choć szkolone są również w ramach KTCC. W ubiegłym roku stopień podporucznika otrzymało 201 pań, które ukończyły w szkole oficerskiej w Zacho pierwszy kurs wyłącznie dla kobiet.

MUNDUROWY WACHLARZ

Poza Peszmergą funkcjonują jeszcze dwie specjalne formacje wojskowe – Zerawani (50 tys. żołnierzy) oraz Bargri Fria Kautyn (niespełna 20 tys.), które podlegają resortowi spraw wewnętrznych. Pełnią one funkcje policyjne i zajmują się ochroną placówek dyplomatycznych oraz urzędów. Zostały zaangażowane również w walki na froncie z Państwem Islamskim. Obie formacje powstały pod koniec lat dziewięćdziesiątych, a ich odrębność wynika z tego, że Zerawani powstało w ramach Peszmergi związanej z PDK, a Bargri Fria Kautyn tej wywodzącej się z PUK.

Kurdowie wciąż służą również w armii irackiej, choć – jak mówi gen. Hażar – jest ich tam coraz mniej. W 2004 roku stanowili 25% żołnierzy, a dziś zaledwie 2%. Kurdem jest na przykład Fadil Dżalil Barwari, dowódca osławionej Złotej Dywizji, czyli doborowych oddziałów irackich odgrywających kluczową rolę w bitwie o Mosul. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

**Bundeswehra po dość drastycznych redukcjach
z ostatnich lat odbudowuje swoje zdolności.**

BUNDESWEHR

Armia niemiecka liczyła po zjednoczeniu Niemiec w 1990 roku 585 tys. żołnierzy. Od tego czasu jej szeregi systematycznie się zmniejszały, by latem 2016 roku osiągnąć najniższy poziom w powojennej historii RFN – 166,5 tys. Redukcja niemieckich sił zbrojnych po części była także skutkiem wprowadzanej od 2010 roku reformy, polegającej na przekształceniu armii ochotniczej w zawodową. Zniesienie obowiązku służby wojskowej tłumaczono poprawieniem się stanu bezpieczeństwa w Europie. Reforma nie tylko ograniczyła liczebność armii (wśród 185 tys. żołnierzy było 170 tys. zawodowych (kontraktowych), 12,5 tys. pełniących służbę ochotniczą oraz 2,5 tys. rezerwistów), lecz także oznaczała redukcję uzbrojenia. Zmniejszono m.in. liczbę myśliwców Eurofighter, BWP Puma, czołgów Leopard 2, haubic PzH 2000, śmigłowców Tiger i NH-90, zestawów przeciwlotniczych średniego zasięgu oraz artyleryjskich wyrzutni rakietowych MLRS/MARS II, a samobieżne przeciwlotnicze zestawy Gepard zostały po prostu wycofane. Takie zmiany nie mogły nie wpłynąć na obniżenie zdolności bojowej niemieckiej armii.

POMYSŁY NA ODBUDOWĘ

We wrześniu 2014 roku w Norwegii odbyły się ćwiczenia sił szybkiego reagowania NATO (NATO Response Force – NRF). Zorganizowano je w związku z kryzysem na Ukrainie. Okazało się, że jednostki niemieckie wchodzące w skład NRF były dalekie od gotowości bojowej. Telewizja ARD, powołując się na raport ministerstwa obrony, podała, że w wyposażeniu Bundeswehry brakowało ponad 3/4 wymaganych noktowizorów, 59% pistoletów P8 i 69% przenośnych karabinów maszynowych MG3. Żaden z wystawionych pojazdów bojowych GTK Boxer nie był wypo-

sażony w karabin maszynowy M3M, stanowiący jego główne uzbrojenie. Niemieccy żołnierze umieścili na nich atrapy w postaci kijów od szczotek.

„Armia jest przeciążona wykonywanymi zadaniami, a stopień gotowości wielu jednostek jest niski”, przyznała w kwietniu 2017 roku minister obrony Ursula von der Leyen w wywiadzie dla „Süddeutsche Zeitung”. Na liście problemów, z którymi musi się zmierzyć Bundeswehra, znajdują się m.in. przestarzałe uzbrojenie i wyposażenie, struktury nieprzystające do obecnych zagrożeń, a także trudności z pozyskaniem ochotników do służby.

Ursula von der Leyen stwierdziła, że liczebność niemieckich sił zbrojnych powinna być dostosowana do aktualnej sytuacji, potrzeb i zadań. „Niemcy są za duże, żeby mogły sobie pozwolić na niezajmowanie stanowiska wobec tego czy innego konfliktu”, powiedziała. Resort planuje, że do 2024 roku liczba żołnierzy zawodowych i kontraktowych wzrośnie z około 168 tys. do prawie 200 tys. Na drodze do osiągnięcia takiego poziomu stoi jednak wiele przeszkód. Do najważniejszych należą zmiany demograficzne, duża konkurencja na rynku pracy, pacyfistyczne nastawienie znaczącej części społeczeństwa.

W dzienniku „Frankfurter Allgemeine Zeitung” podano, że nowe założenia koncepcyjne rozwoju Bundeswehry obejmują odbudowę zdolności do działań w konflikcie konwencjonalnym. Rozbudowane mają zostać jednostki, w których podczas ostatniej reformy niemieckiej armii dokonano najgłębszych cięć. Dotyczy to artylerii (w każdej z brygad wojsk lądowych ma powstać batalion artylerii) oraz obrony przeciwlotniczej krótkiego i bardzo krótkiego zasięgu.

Już w 2016 roku szefowa resortu obrony zapowiedziała zwrot w priorytetach wyposażenia armii. Wojsko otrzyma



ZWIĘKSZENIE LICZEBNOŚCI BUNDESWEHRY I WIĘKSZE WYDATKI NA JEJ DOZBROJE- NIĘ MOGĄ SIĘ STAĆ JEDNYM Z GŁÓW- NYCH TEMATÓW KAMPANII PRZED WYBORAMI PARLA- MENTARNYMI WE WRZEŚNIU 2017 ROKU

sprzęt, który jest mu potrzebny. Poprzedni model tzw. dynamicznego zarządzania dyspozycyjnością przewidywał wyposażenie w 70%. Oznacza to więcej czołgów Leopard 2 oraz transporterów Fuchs i Boxer, dodatkowe bojowe wozy piechoty, więcej haubic samobieżnych PzH 2000 oraz lekkich pojazdów opancerzonych Fennek. Marynarka wojenna ma dostać w najbliższych latach pięć nowych korwet. Tygodnik „Welt am Sonntag” cytował członków komisji budżetowej Bundestagu Johanna Kahrsa (SPD) i Eckharda Rehberga (CDU), którzy zgodnie twierdzili, że wydatek ten jest konieczny ze względu na nowe zadania Deutsche Marine w strefie Morza Bałtyckiego oraz na Morzu Śródziemnym.

„Wyzwania, przed którymi stoi obecnie Bundeswehra, są tak poważne jak rzadko w jej historii”, oświadczyła von der Leyen. Lista zadań do wykonania jest długa: walka z terroryzmem i Państwem Islamskim, stabilizowanie sytuacji w Mali, wsparcie w Afganistanie, przeciwdziałanie przemytowi ludzi w rejonie Morza Śródziemnego i Morza Egejskiego, wzmocnienie wschodniej flanki NATO, reakcja na nowe zagrożenia, które pojawiają się w cyberprzestrzeni.

Aby niemieckie siły zbrojne mogły sprostać tym wyzwaniom, szefowa resortu obrony zaapelowała o zainwestowanie 130 mld euro na uzbrojenie Bundeswehry do 2030 roku, co jest równoznaczne ze zwiększeniem wydatków na ten cel (w 2016 roku na zakup sprzętu wydano 4,7 mld euro).

SPÓR O DWA PROCENT

Niemcy przez ostatnie lata wydawały na obronność około 1,1–1,2% PKB, czyli 32–34 mld euro rocznie. W 2016 roku rząd RFN podjął decyzję o wzroście wydatków woj-

skowych do 2020 roku. Budżet obronny na 2017 rok zwiększono o 8% (2,8 mld euro) – do 37 mld euro. W 2020 roku wydatki wyniosą 39,2 mld euro. Mimo nominalnego wzrostu nie przekroczą one 1,2–1,3% PKB.

Niemal połowę pieniędzy na obronność pochłania utrzymanie armii. Z dorocznego raportu (przedstawionego w marcu 2017 roku) sekretarza generalnego NATO wynika, że Niemcy przeznaczają na nowe wyposażenie (i badania naukowe) tylko 12,2% budżetu obronnego. Oznacza to, że nie spełniają wymogów NATO, bowiem te nakłady powinny wynosić 20%.

Od lat Stany Zjednoczone żądają od Niemiec większego zaangażowania w zapewnienie bezpieczeństwa w strefie euroatlantyckiej. W lutym 2017 roku podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa kanclerz Angela Merkel zapowiedziała, że zgodnie z decyzjami NATO Niemcy zwiększą do połowy przyszłej dekady wydatki na obronność z obecnych 1,2% do 2% PKB. Socjaldemokratyczny minister spraw zagranicznych Niemiec Sigmar Gabriel uważa, że to nierealistyczna obietnica. Jego zdaniem →

AŻ 57% NIEMCÓW SPRZECIWIA SIĘ WYSTĄPIENIU W OBRONIE POLSKI LUB PAŃSTW BAŁTYCKICH W RAZIE ZAATAKOWANIA ICH PRZEZ ROSJĘ

NATO musi uwzględnić inne wydatki ponoszone przez Niemcy, w tym koszt utrzymania i integracji uchodźców oraz pomoc dla państw rozwijających się, w którą Niemcy angażują się znacznie bardziej niż inne kraje NATO. Szef dyplomacji twierdzi, że na szczycie NATO w 2014 roku w Walii ustalono, iż kraje sojuszu będą się starały zbliżyć w wydatkach na obronność do osiągnięcia poziomu 2% PKB, a nie, że mają tyle wydawać.

Zwiększenie liczebności armii i wyższe wydatki na jej dozbrojenie mogą się stać jednym z głównych tematów kampanii przed wyborami parlamentarnymi we wrześniu 2017 roku. SPD jest partią przywiązaną do polityki odprężenia z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, nieufną wobec amerykańskich projektów zbrojeniowych, domaga się włączenia Rosji w system bezpieczeństwa zbiorowego. CDU z kolei silniej akcentuje partnerstwo transatlantyczne. Partie opozycyjne, Die Linke i Zieloni, sprzeciwiają się wyższym wydatkom na wojsko.

Justyna Gotkowska w analizie opublikowanej przez Ośrodek Studiów Wschodnich podkreśla, że Niemcy muszą zareagować na presję Waszyngtonu i systematycznie będą kierować większe pieniądze na wojsko, choć nie osiągną wymaganych 2% PKB. Równocześnie Berlin będzie się starał doprowadzić do sytuacji, w której koszty pomocy humanitarnej i rozwojowej zostaną uznane za część nakładów na obronność, tłumacząc, że środki te stabilizują sytuację w krajach wokół Europy.

SKOMPLIKOWANE PRZETARGI

Gdyby Niemcy przeznaczyły na obronność 2% swojego PKB, armia dysponowałaby rocznie 70 mld euro. Dziś ma o połowę mniej i duże problemy z wydaniem tej kwoty. Wśród niemieckich polityków, szczególnie SPD i Zielonych, nie brak opinii, że ważniejsze od wydawania coraz większych sum jest rozsądne zagospodarowanie już posiadanych środków. Na problemy te zwracał uwagę „Der Spiegel”, pisząc o skomplikowanych i przewlekłych procedurach przetargowych oraz brakach kadrowych w służbach odpowiedzialnych za zakupy. Każdy wydatek dla armii przekraczający 25 mln euro musi uzyskać aprobatę komitetu budżetowego Bundestagu. „Der Spiegel” twierdzi, że

próg powinien być kilkukrotnie wyższy, ponieważ nie był zmieniany od 1981 roku.

W systemie zakupów uzbrojenia powstaje wąskie gardło. Fakt, że Bundestag musi zatwierdzać nawet drobne kontrakty, komplikuje zakupy dla armii. Nowoczesnych samolotów i śmigłowców nie zamawia się z katalogu, dlatego niemiecka prasa powątpiewa, że uda się szybko podjąć decyzję o zakupie nowych okrętów bojowych MKS 180, dronów bojowych czy taktycznego systemu obrony przeciwlotniczej.

Niemiecka prasa zastanawia się także, czy po wyborach rozpoczęte przez rząd koalicji chadecko-socjaldemokratycznej zmiany w wojsku będą kontynuowane. Jeśli wielka koalicja przetrwa, SPD poprze modernizację armii. Jednak gdyby doszło do porozumienia politycznego z Die Linke czy Zielonymi oraz do głosu doszłoby lewe skrzydło SPD, proces modernizacji mógłby zostać zahamowany. Taki scenariusz wydaje się mało prawdopodobny, bowiem wyniki ostatnich wyborów w krajach związkowych wskazują, że chadecja zachowuje silną pozycję.

OBRONA FLANKI

Zgodnie z postanowieniami warszawskiego szczytu NATO Niemcy angażują się we wzmocnienie wschodniej flanki NATO – objęły dowództwo batalionu rozmieszczonego na Litwie. Pod koniec stycznia 2017 roku do tego kraju przybyli niemieccy żołnierze tworzący Batalionową Grupę Bojową. W latach 2017–2018 w jej skład wejdzie około 1,2 tys. wojskowych z Niemiec, Francji, Holandii, Belgii, Norwegii, Chorwacji i Luksemburga, przy czym Niemcy wniosą jako państwo ramowe największy wkład osobowy (400–600 żołnierzy).

Tymczasem z ankiety przeprowadzonej przez Fundację Bertelsmanna przed szczytem NATO w Warszawie wynika, że 57% Niemców sprzeciwia się wystąpieniu w obronie Polski lub państw bałtyckich w razie zaatakowania ich przez Rosję. Tylko 1/3 mieszkańców RFN jest zdania, że Niemcy powinny wywiązać się ze swych obowiązków członka NATO i UE, i bronić zaatakowanego sojusznika. Polityczne zobowiązania niemieckiego rządu nie po raz pierwszy rozmiągają się ze społecznymi oczekiwaniami. ■



III Forum Bezpieczeństwa Morskiego Państwa

**25 stycznia 2018
Warszawa**

**szczegółowe informacje:
www.fbm.ztw.pl**



W prasie serbskiej i chorwackiej regularnie ukazują się analizy poświęcone możliwościom wojskowym obu krajów. Pretekstem do tego są wypowiedzi polityków, nowe zakupy uzbrojenia albo też publikacje różnych instytucji podsumowujące potencjał wojskowy poszczególnych państw. Niektóre artykuły mają wręcz sensacyjny charakter. Gdy Serbia za-

warła z Rosją umowę na dostawę używanych MiG-29, chorwaccy dziennikarze ostrzegali: „Serbia się zbroi!”, a w anonsach pojawiały się szokujące informacje: „Serbowie będą mieli cztery razy więcej samolotów i pięć razy więcej czołgów niż armia chorwacka!”. Kiedy Chorwaci mieli dostać od Amerykanów nowy sprzęt, w prasie serbskiej można było przeczytać: „Chorwacja się zbroi!” albo „Chorwacja

ROBERT SENDEK

Kręta droga do nowoczesności

Chorwaci unowocześniają swoją armię. Niedawno dostali od Amerykanów śmigłowce rozpoznawcze i planują zakup nowych samolotów wielozadaniowych. Serbia także rozbudowuje swój park maszynowy. Czyżbyśmy byli świadkami regionalnego wyścigu zbrojeń?



Samolot MiG-21



Śmigłowiec Bell OH-58D Kiowa Warrior



Samochody terenowe klasy MRAP



dostanie od USA nowe śmigłowce – Serbia zostaje w tyle?”. Spirala hysterii została w pewnym momencie nakręcona do tego stopnia, że prasa zaczęła pisać wręcz o regionalnym wyścigu zbrojeń.

Znaczącą rolę w podgrzewaniu nastrojów odgrywają także konfrontacyjne wypowiedzi polityków. W grudniu 2016 roku chorwacka prezydent Kolinda Grabar-Kitarović stwierdziła, że jej kraj nie prowadzi wyścigu zbrojeń. Tyle że zaraz dodała, iż w najbliższym czasie kupi nowe zachodnie samoloty bojowe oraz śmigłowce Black Hawk. Brzmi to jak kpina, bo Grabar-Kitarović zabrała głos tuż po ogłoszeniu przez Serbów, że dostaną z Rosji MiG-29.

SAMOLOTY Z KŁOCKÓW LEGO

Rzeczywiście można odnieść wrażenie, że zarówno Serbowie, jak i Chorwaci zaczęli ostatnio wykazywać większe zainteresowanie potrzebami swoich armii. Niewykluczone, że wynika to z geopolityki i zmieniającego się w ostatnim czasie w Europie klimatu politycznego. Powody dozbierania mogą być jednak o wiele bardziej prozaiczne – w obu krajach wojsko jest niedoinwestowane, dysponuje przestarzałym sprzętem, który wreszcie należy zacząć wymieniać na nowy.

W takiej sytuacji konieczne wydaje się podejmowanie inicjatyw, które pozwoliłyby rodzimym siłom zbrojnym przynajmniej na wykonywanie obowiązków na przyzwoitym poziomie. Tak się złożyło, że w obu krajach należało się uporać z narastającymi problemami ze sprzętem. Serbowie pod koniec 2016 roku dostali od Rosji deklarację, że otrzymają sześć maszyn MiG-29, a od Białorusi – osiem. Również w armii chorwackiej pilnego rozwiązania wymaga sprawa samolotów myśliwskich. W marcu 2017 roku dziennik „Jutarnji List” informował, że choć oficjalnie chorwackie siły powietrzne mają na stanie 12 egzemplarzy MiG-21, to latają zaledwie cztery z nich, trzy dwumiejscowe MiG-21UM oraz jeden jednomiejscowy MiG-21 bis. O dramatycznej sytuacji w siłach powietrznych prezydent Kolinda Grabar-Kitarović informował podobno sam szef sztabu generalnego armii chorwackiej, gen. Mirko Šundov.

W tle całej historii z chorwackimi MiG-ami kryje się wielki skandal. Otóż w 2013 roku Chorwaci zdecydowali się na zakup pięciu MiG-21 na Ukrainie oraz zlecieli ukraińskiej firmie remont siedmiu maszyn. Kontrakt obejmował także adaptację awioniki do standardu odpowiadającego wymaganiom natowskim. Kupione samoloty dotarły do Chorwacji w 2014 roku, a po remoncie dostarczano je w partiach (ostatnie w lipcu 2015 roku). Niemal natych-

miast zaczęły się problemy – w „wyremontowanych” maszynach była ogromna liczba usterek, zdarzały się poważniejsze awarie i incydenty, np. samolotom w powietrzu gasły silniki. Ostatni taki przypadek zdarzył się w połowie marca 2017 roku. Na szczęście dotychczas obojętne było bez tragedii, ale większość myśliwców uziemiono i teraz trwa śledztwo w tej sprawie.

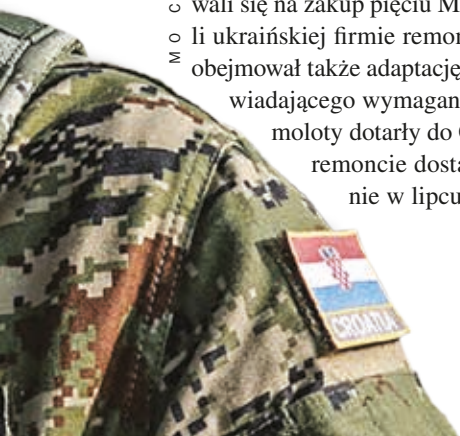
W trakcie postępowania ujawniono, że samoloty kupione na Ukrainie poskładano z części rozmaitych maszyn (np. kadłuby cztery spośród pięciu dostarczonych myśliwców odkupiono od Bułgarów, skrzydła pochodziły z samolotów algierskich, a zbiorniki na paliwo z rosyjskich), że ich dokumentacja nie zgadza się ze stanem faktycznym, że są przebijane numery seryjne. W miejscowej prasie kpiono, że Chorwacja dostała „samoloty z klocków LEGO”. W dodatku za każdy trzeba było zapłacić 1,16 mln euro, a dziennikarze znaleźli w internecie oferty sprzedaży tego typu maszyn za... 150 tys. dolarów. Najprawdopodobniej w zbliżonym stanie.

Zaczęło się szukanie winnych. Wytoczono proces o korupcję osobom, które uczestniczyły w procedurze przetargowej i brały udział w podejmowaniu decyzji o kontrakcie. Z kolei Ukraińcy na swą obronę mają to, że remont przeprowadzano w czasie, gdy wybuchła wojna na wschodzie kraju, co miało wpływ na trudności w zdobyciu materiałów i odpowiednich części. Całą sprawę nazwano największą aferą w dziejach chorwackich sił zbrojnych.

LATANIE Z PRZESZKODAMI

O nowych samolotach myśliwskich politycy chorwaccy mówią już od dłuższego czasu. Problemem są jednak pieniądze, dlatego dotychczasowi szefowie chorwackiego ministerstwa obrony odsuwali od siebie decyzję o zakupie. Być może będzie tak również i w tym wypadku. Niewykluczone jednak, że po informacjach o rosyjskich MiG-ach dla Serbów cała sprawa nabierze rozpędu. Prezydent Grabar-Kitarović w jednym z wywiadów wspomniała, że kwestia ewentualnego nabycia samolotu wielozadaniowego zostanie rozstrzygnięta pod koniec 2017 roku.

Pierwsze oferty zresztą już się pojawiły. Wśród samolotów, które są brane pod uwagę, wymienia się szwedzkie gripeny, południowokoreańskie myśliwsko-szturmowe TA-50, francuskie rafale oraz pozyskane od Izraelczyków F-16. Pod koniec 2016 roku opublikowano raport sformowanego w chorwackim resorcie obrony zespołu doradczego, który rekomendował wybór gripena albo TA-50, ale pozostałe oferty nie są bez szans, skoro jeszcze w marcu 2017 roku przedstawiciele sił powietrznych z ministrem Damirem Krističevićem pojechali do Izraela, gdzie m.in. odwiedzili bazę lotniczą. ➔





NADSPODZIEWANIE DOBRZE ROZWIJA SIĘ WSPÓŁPRACA CHORWATÓW Z AMERYKANAMI, KTÓRZY W OSTATNICH LATACH DOSTARCZYLI NAD ADRIATYK NIEMAŁO SPRZĘTU

Chorwatom udało się już zrealizować część planów modernizacyjnych. Na początku grudnia 2016 roku Amerykanie dostarczyli nad Adriatyk drugą, ostatnią partię śmigłowców Bell OH-58D Kiowa Warrior. Do 93 Bazy Lotniczej w Zemunik pod Zadarem trafiło wówczas 11 maszyn. Do tej transakcji doszło w wyniku podpisanej w lutym 2016 roku międzyrządowej umowy. Amerykanie zobowiązali się do przekazania Chorwatom również trzech symulatorów lotu, części zamiennych, dokumentacji technicznej oraz materiałów szkoleniowych.

Śmigłowce pochodziły z magazynów armii amerykańskiej. W związku z cięciami budżetowymi Amerykanie od 2014 roku przeprowadzają restrukturyzację lotnictwa, czego efektem jest m.in. decyzja o zastąpieniu rozpoznawczych OH-58D dronami. Wycofane maszyny przeznaczone do sprzedaży lub przekazania sojusznikom. Chorwaci od samego początku byli nimi zainteresowani. Efektem serii rozmów i konsultacji z Amerykanami było podpisanie dwóch umów. Jedna dotyczyła dostawy 16 śmigłowców, a druga, z kwietnia 2016 roku, obejmowała szkolenie pilotów oraz personelu naziemnego. Cały program był współfinansowany przez stronę amerykańską oraz rząd chorwacki.

W 93 Bazie śmigłowce z USA zostały włączone do eskadry, która ze względu na symbol na odznace rozpoznawczej jest nazywana sowami. Maszyny mają być używane do prowadzenia zadań rozpoznawczych oraz wsparcia ogniowego sił lądowych. Personel techniczny zakończył już część szkoleń, które były o tyle łatwiejsze, że technicy mają doświadczenie w pracy przy chorwackich maszynach Bell 206 (kiowa warrior jest wersją rozwojową tego śmigłowca). Wyszukanie pierwszej ósemki chorwackich pilotów prawdopodobnie potrwa do końca roku, a całkowitą gotowość operacyjną jednostka osiągnie w lipcu 2018 roku. Na tym jednak plany powiększenia floty śmigłowców się nie kończą. Chorwaci zamierzają bowiem kupić lekkie maszyny transportowe Black Hawk.

Niemal w tym samym czasie nowe śmigłowce zamówili Serbowie. Pod koniec grudnia 2016 roku zawarli umowę na dostarczenie dziewięciu maszyn Airbus A145H wraz z niezbędnym wyposażeniem i dokumentacją techniczną. Sześć sztuk trafi do wojska, a trzy – do policji.

MRAP-Y W ŚNIEGU

Zmiany w chorwackich siłach zbrojnych dotyczą jednak nie tylko lotnictwa. W kwietniu 2017 roku w Zagrzebiu zaprezentowano dwie pierwsze pozyskane od Niemców samobieżne haubice PZH 2000. Pozostałe, a ma być ich w sumie 16, zostaną przekazane do końca 2017 roku. Kontrakt na dostawę tego sprzętu podpisano pod koniec 2014 roku, a kilkanaście miesięcy później dwie haubice zaprezentowano na uroczystej paradzie wojskowej, zorganizowanej 4 sierpnia z okazji chorwackiego dnia zwycięstwa. By-

ła to jedynie pokazówka, ponieważ nie trafiły one potem do jednostek, lecz do zakładów remontowych. Dopiero teraz wracają do armii chorwackiej już jako pełnowartościowy sprzęt.

Nadspodziewanie dobrze rozwija się współpraca Chorwatów z Amerykanami, którzy w ostatnich latach dostarczyli nad Adriatyk nie mało sprzętu. Obecnie trwają rozmowy z nimi w sprawie dostawy naziemnych systemów raketowych M270 MRLS. Nowy sprzęt to nowe możliwości. Bywa jednak i tak, że nie zawsze jest on wykorzystywany w najlepszy możliwy sposób. Oto przykład: w 2014 roku władze amerykańskie przekazały Chorwacji 221 samochodów terenowych klasy MRAP, w tym 162 wozy patrolowe M-ATV, 29 ambulansów HAGA oraz 30 pojazdów MaxxPro. Politycy chętnie robili sobie zdjęcia na ich tle i mówili o nowej jakości w rodzimej armii. Zimą 2017 roku dziennikarze zauważyli, że znacząca część maszyn, które przyjmowano z pompą, od miesięcy stoi na parkingu zakładu remontowego w Jankomirze na przedmieściach Zagrzebia. Publikowano wówczas fotografie przysypanych śniegiem pojazdów. Niektóre były przykryte, ale część nie miała żadnych zabezpieczeń. Ponad dwa lata te wozy czekają, aż ministerstwo obrony znajdzie pieniądze na ich pomalowanie, wyposażenie i uzbrojenie. Przyparty do muru minister Krističević stwierdził, że przynajmniej 1/3 dostarczonego przez Amerykanów sprzętu była niesprawna, choć niektórzy komentatorzy twierdzą, że w ten sposób próbuje on przykryć niemoc ministerstwa.

Chorwaci starają się rozwijać także własny przemysł zbrojeniowy. Swoistym znakiem czasów było to, że podczas tegorocznych targów zbrojeniowych, które odbywały się w kwietniu w Splicie, niemal połowę spośród około 130 wystawców stanowiły firmy i przedsiębiorstwa chorwackie. ■

TOMASZ
OTŁOWSKI

Poluzowanie gorsetu



Irańczycy 19 maja 2017 roku po raz kolejny w minionych kilkunastu miesiącach poszli do urn i po raz kolejny było to wydarzenie z uwagą obserwowane na całym świecie. Stało się już niemal normą, że wyniki wyborów przeprowadzanych w Islamskiej Republice Iranu (IRI) – co ciekawe, kraju powszechnie kojarzonym z teokratyczną satrapią, daleką od ideałów demokracji – mają przemożny wpływ na losy nie tylko samej Persji, ale i całego regionu, a często nawet na rozwój wydarzeń w polityce globalnej.

Nie inaczej było i tym razem. Wybory prezydenta IRI – w których starli się głównie Hasan Rouhani (reformator i pragmatyk walczący o drugą kadencję na tym urzędzie) oraz Ebrahim Raisi (utożsamiany z religijnymi i obyczajowymi konserwatystami) – stały się papierkiem lakmusowym nastrojów milionów Irańczyków oraz probierzem ich nastawienia wobec sztandarowych postulatów i działań politycznych urzędującego prezydenta. Rouhani w minionych czterech latach stał się inicjatorem ekonomicznego otwarcia się Iranu na świat, politycznego resetu z Zachodem oraz stopniowej liberalizacji anachronicznych reguł i przepisów krępujących irańską gospodarkę.

Nie mniej ważny jest także sam moment, w którym odbyły się wybory. IRI cieszy się obecnie na Bliskim Wschodzie wpływami i znaczeniem, jakiego nie miała chyba nigdy w swej niemal czterdziestoletniej historii. Polityczne, ekonomiczne i militarne oddziaływanie Iranu sięga dzisiaj nie tylko Libanu czy Bahrajnu (a więc tradycyjnych kierunków ekspansji islamskiej republiki), ale też Syrii, Iraku, a nawet odległego Jemenu. A co ważniejsze, sukcesy te idą w parze z osłabieniem pozycji odwiecznego rywala Teheranu – Arabii Saudyjskiej. W ciągu ostatnich kilku lat Iran wyszedł z międzynarodowej izolacji i stał się partnerem dla najmożliwszych tego świata, m.in. w walce z Państwem Islamskim i współdecydowaniu o losach regionu.

Miażdżące zwycięstwo Rouhaniego i jego reelekcja już w pierwszej turze zaskoczyły niemal wszystkich. Co to oznacza w praktyce? Z pewnością silny mandat polityczny ze strony Irańczyków dla kontynuacji reform podejmowanych przez ekipę Rouhaniego. Warto jednak pamiętać, że w irańskim systemie ustrojowym realną władzę sprawuje nie prezydent i jego rząd, ale „rahbar”, czyli duchowy przywódca kraju. I to on w istocie zadecyduje o tym, czy, kiedy i w jakim stopniu poluzować gorset teokratycznych norm regulujących życie obywateli Iranu.

A można być pewnym, że konserwatyści nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa i walka o serca i dusze Irańczyków trwać będzie dalej. ■



HISTORIA

/ XX WIEK

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

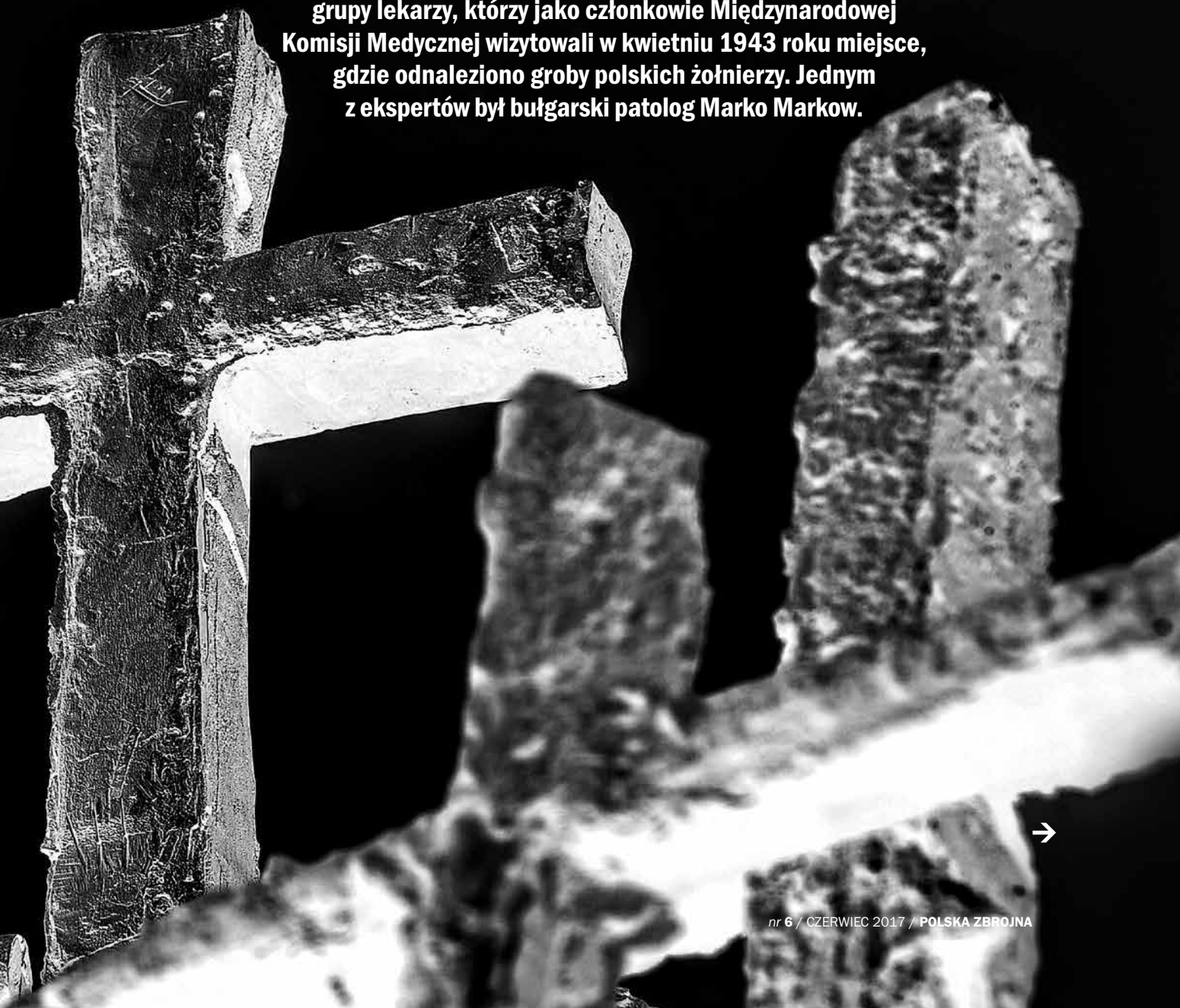


Fragment warszawskiego Pomnika Poległym i Pomordowanym na Wschodzie. Opiekują się nim członkowie Federacji Rodzin Katyńskich i organizacji kombatanckich.

ROBERT SENDEK

KATYŃ ZŁAMAŁ MI ŻYCIE

Zbrodnia katyńska jest tragedią tysięcy polskich oficerów, ich rodzin i bliskich. Położyła się ona cieniem także na losach grupy lekarzy, którzy jako członkowie Międzynarodowej Komisji Medycznej wizytowali w kwietniu 1943 roku miejsce, gdzie odnaleziono groby polskich żołnierzy. Jednym z ekspertów był bułgarski patolog Marko Markow.



Pogmatwane, a jednocześnie w jakiś sposób charakterystyczne dla całej epoki, są losy poszczególnych członków Międzynarodowej Komisji Medycznej, którzy pod koniec kwietnia 1943 roku przybyli do Katynia, aby zbadać sprawę masowych grobów polskich żołnierzy. W przypadku większości z nich praca w komisji zaważyła na całym dalszym ich życiu. Bez wątpienia najtrudniejszy był los ekspertów pochodzących z krajów, które po zakończeniu wojny znalazły się w sowieckiej strefie wpływów. Niektórzy zdążyli wyjechać na Zachód. Tych, którzy zostali, los nie oszczędzał. Czech František Hájek oraz Bułgar Marko Markow po tym, jak w Czechosłowacji i Bułgarii objęli władzę komuniści, zostali zmuszeni do odwołania swych ustaleń z 1943 roku, a następnie wprzęgnięto ich w tryb sowieckiej maszyny propagandowej.

DWUNASTU SPRAWIEDLIWYCH

W połowie kwietnia 1943 roku stało się jasne, że w odnalezionych w Lasku Katyńskim masowych grobach zostali pogrzebani polscy żołnierze. W związku z tym polski rząd emigracyjny zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża (MCK) z prośbą o utworzenie komisji medycznej i zbadanie mogił. Zarząd Czerwonego Krzyża postawił warunek, że o powołanie komisji muszą wystąpić wszystkie zainteresowane strony, w tym także Związek Radziecki. Stalin jednak taką możliwość odrzucił. Niemcy powołali w związku z tym własną komisję, do której zaprosili ekspertów z 12 krajów: Belgii, Bułgarii, Protektoratu Czech i Moraw, Danii, Finlandii, Holandii, Jugosławii, Rumunii, Słowacji, Szwajcarii, Węgier oraz Włoch. Fakt, że to Niemcy byli organizatorami eksperckiej komisji do zbadania masowych grobów w Katyniu, stał się powodem późniejszych ataków prasy sowieckiej, która oskarżała to grono o uprawianie goeb-

belsowskiej propagandy. Członkowie komisji mieli jednak dużą swobodę działania zarówno na terenie Katynia, jak i podczas przygotowywania protokołu końcowego, zawierającego wniośki z prac. Potwierdziły to wypowiedzi poszczególnych lekarzy już po zakończeniu wojny.

Warto wspomnieć, że komisja katyńska nie była jedynym organem tego typu. Podobny zespół Niemcy powołali w czerwcu 1943 roku, gdy na terenie ukraińskiego miasta Winnica odkryte zostały inne masowe groby ofiar NKWD, tym razem z lat wielkiego terroru (1937–1938). W pracach tego drugiego grona brali udział niektórzy członkowie komisji katyńskiej, m.in. Węgier Ferenc Orsós oraz Rumun Alexandru Birkle. Do Winnicy udała się także delegacja bułgarska złożona z lekarza oraz trzech prawosławnych duchownych.

BULGARSKI EKSPERT

Jednym z członków Międzynarodowej Komisji Medycznej był bułgarski patolog, docent Marko Markow. Jego przedwojenna kariera naukowa i lekarska przebiegała dość typowo. Po ukończeniu w 1925 roku studiów medycznych na Uniwersytecie Sofijskim Markow pracował jako internista. Został później asystentem w katedrze medycyny sądowej, gdzie zrobił specjalizację z anatomii ogólnej i patologicznej. W 1937 roku uzyskał tytuł docenta, a następnie specjalizował się z medycyny sądowej w Wiedniu.

Do pracy w komisji Marko Markow został zaangażowany dość przypadkowo, do Katynia zamiast niego miał bowiem jechać jego szef. Gdy w kwietniu 1943 władze niemieckie organizowały komisję lekarską, zwróciły się do rządu bułgarskiego z prośbą o wskazanie właściwego człowieka. Wyznaczono więc ówczesnego szefa katedry medycyny sądowej Uniwersytetu Sofijskiego, prof. Iwana Moskowa. Jego kandydaturę popierał ponoć sam bułgarski premier, Bogdan Filow. Moskow został jednak ostrzeżony przez



Zetknięcie się z tak straszną przemocą było dla dr. Marko Markowa prawdziwym wstrząsem.

W KWIETNIU 1943 ROKU STAŁO SIĘ JASNE, ŻE W ODNALEZIONYCH W ŁASKU KATYŃSKIM MASOWYCH GROBACH ZOSTALI POGRZEBANI POLSCY ŻOŁNIERZE

swego przyjaciela, Borisa Jocowa, członka bułgarskiego rządu. Dlatego zdecydował się na unik: wyjechał z Sofii i dopiero wtedy skontaktował się telegraficznie z ministerstwem spraw wewnętrznych, które przygotowywało wyjazd bułgarskiego delegata. W depeszy Moskwę oznajmił, że nie może jechać do Katynia, ponieważ nie zna niemieckiego, a poza tym już wcześniej władze niemieckie odmówiły mu wizy wjazdowej. Ponieważ czas nagiął, na miejsce Moskwy wskazany został jego podwładny z tego samego instytutu.

Markow próbował się wykręcić od przykrego obowiązku, ale decyzje już zapadły. Błyskawicznie otrzymał wszelkie potrzebne dokumenty, po czym drogą lotniczą udał się najpierw do Berlina, gdzie spotkał się z resztą komisji katyńskiej, a następnie do Smoleńska, gdzie zakwaterowano ekspertów. W Katyniu przebywał, podobnie jak reszta członków komisji lekarskiej, od 28 do 30 kwietnia 1943 roku. Miał wówczas okazję dokładnie obejrzeć miejsce pochówku polskich żołnierzy oraz zapoznać się z dokumentami i gazetami, które wydobyto z już odsłoniętych grobów. Markow przeprowadził autopsję jednego ekshumowanego ciała o numerze 827 (zwłoki miały przed identyfikacją nadawane kolejne numery). W dokumentach

opublikowanych przez Niemców po zakończeniu prac komisji zostało ono opisane jako osoba o nieustalonej tożsamości, po naramiennikach stwierdzono tylko, że był to porucznik.

Gdy komisja zakończyła pracę w Katyniu, bułgarski delegat, podobnie jak pozostali eksperci, złożył swój podpis pod protokołem, stwierdzającym, iż znajdujące się w masowych grobach ofiary zostały zamordowane wiosną 1940 roku. W tym czasie tereny te stanowiły część ZSRR, uznano więc, że winę za zbrodnię katyńską ponoszą władze sowieckie. O pewności co do sprawstwa świadczą wypowiedzi innych członków komisji katyńskiej, przede wszystkim Włocha, Vincenza Palmieriego. W rozmowie z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim Palmieri podkreślił: „Nikt z naszej dwunastki nie miał żadnych wątpliwości, nie padło ani jedno zastrzeżenie. Redagowaliśmy orzeczenie do trzeciej nad ranem, żeby uzgodnić najdrobniejsze poprawki i niuanse wszystkich sygnatariuszy. Zbrodnia była sowiecka, nie ma dwóch zdań”. Potwierdzają to także wspomnienia osób, które Markowa znały bliżej. Wera Mutańczijewa, bułgarska pisarka, córka historyka Petyra Mutańczijewa, który uważał Markowa za przyjaciela domu, napisała w swych



wspomnieniach: „Markow był medykiem sądowym, był jednak także zaufanym lekarzem moich rodziców. W ostatnim czasie ów przyjaciel domu wyglądał na niezwykle przygnębionego. Niemcy wezwali go do uczestnictwa w jakiejś międzynarodowej komisji, która miała ustalić, kto dopuścił się masowej zbrodni na polskich oficerach w Katyniu. Markow był pewien, że to zbrodnia sowiecka. Zetknięcie z tak straszliwą przemocą było dla tego uczonego prawdziwym wstrząsem”.

Z DESZCZU POD RYNNĘ

Wspierani przez ZSRR komuniści objęli władzę w Bułgarii we wrześniu 1944 roku. Niemal natychmiast zaczęły się aresztowania przedstawicieli poprzedniej władzy, uznanej za faszystowską. Pod koniec roku aresztowano również Markowa oraz bułgarskich delegatów, uczestniczących w komisji wizytującej miejsce zbrodni NKWD w Winnicy: lekarza Georgiego Michajłowa, trzech duchownych prawosławnych (Josifa Dikowa, Stefana Nikołowa oraz Nikołaja Kożucharowa) oraz szefa carskiego urzędu propagandy Borisa Kocewa. Wszyscy oni mieli być sądzeni przed utworzonym przez komunistów tzw. sądem ludowym, mającym rozliczyć przedstawicieli monarchofaszystowskiego reżimu. Poszczególne składy sądu ludowego miały się zająć inną grupą społeczną, uznaną za reprezentanta poprzedniego systemu. Pierwsze dwa składy sądziły najwyższych urzędników carskiej Bułgarii, członków carskiej rodziny, premierów i ministrów oraz deputowanych zasiadających w bułgarskim parlamencie od początku lat czterdziestych. O tym, jak ważna dla komunistów bułgarskich była sprawa komisji katyńskiej i winnickiej, świadczy fakt, iż miał się nimi zająć trzeci (z 12) skład sądu ludowego. Wyroki, które zapadły w procesach, były bardzo surowe. Tylko w nocy z 1 na 2 lutego 1945 roku wykonano niemal sto wyroków śmierci na najwyższych politykach bułgarskich poprzedniego systemu. Wśród skazanych znaleźli się premier Bogdan Fiłow, 21 ministrów, 67 deputowanych oraz książę regent Cyryl Presławski.

Proces Markowa oraz członków komisji z Winnicy rozpoczął się 19 lutego. Cała szóstka podsądnych, będących członkami obu komisji, została oskarżona o to, że stała się narzędziem faszystowskiej manipulacji w sprawie zbrodni w Katyniu i Winnicy. Podczas procesu Markow złożył obszernie zeznania, obejmujące niemal sto stron maszynopisu. Opisał w nich okoliczności podróży do Katynia, pobyt na miejscu, badanie zwłok oraz powrót do Sofii. W zeznaniach Markow praktycznie odwołał swoje wcześniejsze ustalenia i przedstawił argumenty na korzyść sowieckiej wersji wydarzeń, ustalonej przez tzw. komisję Burdenki, która o dokonanie zbrodni



obwiniła Niemców. Markow stwierdził, że ekshumowane ciała wyglądały tak, jakby zostały złożone w ziemi rok, a nie trzy lata wcześniej. Powiedział także, że w 1943 roku protokół podpisał pod naciskiem lekarzy niemieckich, bojąc się o własne życie. Opisuując swe przeżycia, użył charakterystycznych słów: „Katyń złamał mi życie”.

Spśród wszystkich lekarzy uczestniczących w kwietniu 1943 roku w pracach Międzynarodowej Komisji Medycznej swe ustalenia odwołało jedynie dwóch – ci, w których krajach rządziли komuniści. Istnieją przypuszczenia, że Markow był urabiany przez bułgarską bezpiekę od momentu uwięzienia i że odwołał swe pierwotne ustalenia pod wpływem obawy o własne życie. Z pewnością skala wyroków sądu ludowego oraz ich brutalność (ciała rozstrzelanych wrzucono do lejów po bombach i zasypało żużlem) musiała zrobić na nim ogromne wrażenie i skłonić go zmiany zeznań w obawie o własne życie. Z kolei dla komunistów Markow był zbyt cennym propagandowo więźniem, by można było po prostu się go pozbyć. Został w procesie całkowicie oczyszczony z zarzutów i uwolniony. Na jego korzyść wzięto pod uwagę fakt, że w odróżnieniu od członków późniejszej komisji, która w lipcu 1943 roku badała sprawę masowych grobów w Winnicy, nie udzielił wywiadów prasie ani rozgłośni radiowej, tzn. nie brał udziału w propagandowych działaniach, wymierzonych – tak argumentował sąd – w Związek Radziecki. Uwolniony został również Georgi



Dr Marko Markow na spotkaniu członków Międzynarodowej Komisji Medycznej z ministrem zdrowia Rzeszy, Berlin 1943 rok

GDY KOMISJA ZAKOŃCZYŁA PRACĘ W KATYNIU,

BUŁGARSKI DELEGAT, PODOBNIK JAK POZOSTALI EKSPERCI, ZŁOŻYŁ SWÓJ PODPIS POD PROTOKOŁEM STWIERDZAJĄCYM, IŻ ZNAJDUJĄCE SIĘ W MASOWYCH GROBACH OFIARY ZOSTAŁY ZAMORDOWANE WIOSNĄ 1940 ROKU

Michajłow, lekarz z komisji winnickiej. Na więzienie skazano natomiast pozostałych podsądnych, Borisa Kocewa oraz trzech duchownych. Odwołanie przez Markowa swego podpisu pod dokumentem z 1943 roku Vincenzo Palmieri podsumował tak: „Orzeczenie podpisali bez wahania i profesor Markow z Sofii i profesor Hajek z Pragi, nie należy się dziwić ich późniejszym odwołaniom. Odwołałbym może i ja, gdyby wyzwolenie Neapolu przypadło było w udziale wojskom sowieckim”.

W zamian za współpracę komunistów ułatwili Markowowi karierę naukową. Po zakończeniu procesu – w lutym 1945 roku – został on pierwszym szefem katedry medycyny sądowej w nowo utworzonym wydziale medycznym na uniwersytecie w Pławdiwie. Rok później Markow wystąpił jako świadek władz sowieckich podczas procesu w Norymberdze, gdzie przedstawiał sowiecki punkt widzenia, wspierając tezy komisji Burdenki. W 1950 roku, gdy wydział medyczny Uniwersytetu Sofijskiego przekształcono w Akademię Medyczną, Markow został jej rektorem.

ZBRODNIA A POLITYKA

Na początku lat pięćdziesiątych kwestia zbrodni katyńskiej znów stała się sprawą o dużej wadze politycznej w rozgrywkach między mocarstwami. Przy Kongresie USA powstała specjalna komisja śledcza, której celem było zbadanie dowodów w sprawie zbrodni katyńskiej. Rów-

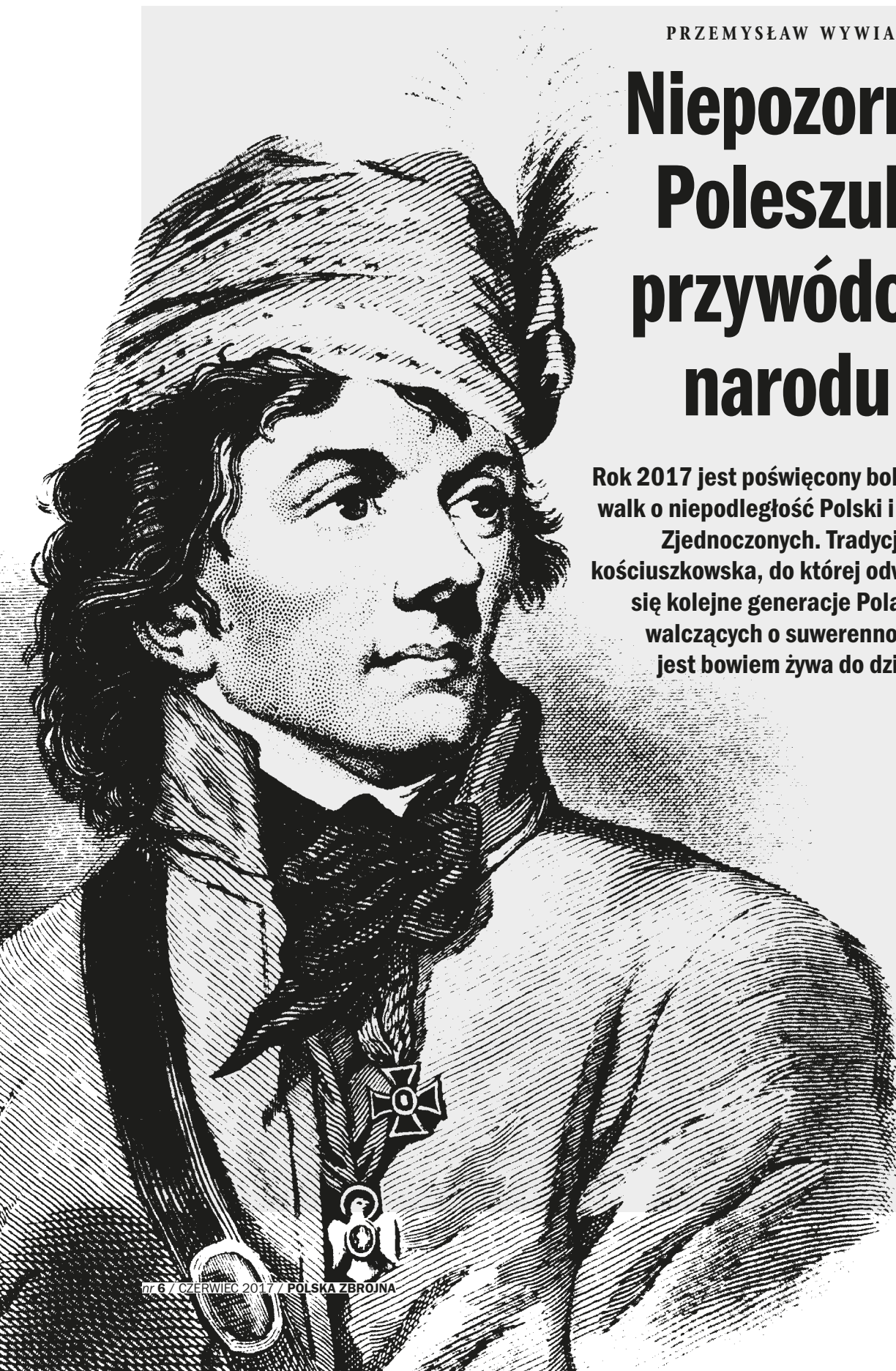
noległe w ZSRR oraz państwach satelickich zaczęły się pojawiać materiały potwierdzające sowiecką wersję wydarzeń. Do wyjścia z cienia oraz ponownego zabrania głosu został zmuszony także Marko Markow. Zdrawko Dafinow, przedwojenny carski oficer, zwolniony z wojska po objęciu władzy przez komunistów, w swoim dzienniku pod datą 15 marca 1952 roku pisze tak: „Dziś patolog Marko Markow, który w 1943 roku brał udział w niemieckiej komisji, badającej masowe groby zamordowanych polskich oficerów w Lesie Katyńskim i który podpisał wówczas protokół, że były one dziełem tajnych służb sowieckich, wyparł się swego podpisu i ogłosił oficjalnie na łamach gazety »Rabotniczesko deło«, że zgadza się z opublikowanym w »Prawdzie« ogłoszeniem specjalnej radzieckiej komisji, zajmującej się wyjaśnianiem okoliczności wokół zamordowania polskich oficerów, iż rozstrzelania dokonało niemieckie gestapo. To dziwne, że patolog nie był w stanie ustalić, kiedy dokonano tej zbrodni. A jeszcze dziwniejsze jest to, kiedy on sam doświadczył przemocy – w 1943 roku czy teraz, kiedy próbuje ratować się przed więzieniem”.

Jednocześnie Markow ogłosił, że otrzymał dwa listy, jeden od Specjalnej Komisji Śledczej Kongresu Stanów Zjednoczonych do Zbadania Zbrodni Katyńskiej, drugi od Juliusa Epsteina, członka Amerykańskiego Komitetu do Zbadania Zbrodni Katyńskiej. Listy zawierały zaproszenie do wzięcia udziału w pracach nad wyjaśnieniem okoliczności mordu katyńskiego. Ponieważ Markow nie mógł opuścić Bułgarii, listy pozostały bez odpowiedzi. Patolog oświadczył jedynie, że podtrzymuje swe zeznania, złożone przed sądem ludowym oraz podczas procesu w Norymberdze. Marko Markow odszedł na emeryturę w 1965 roku. Zmarł 14 kwietnia 1967 roku, kiedy pociągiem wracał z sympozjum naukowego w Pławdiwie. ■

PRZEMYSŁAW WYWIĄŁ

Niepozorny Poleszuk przywódcą narodu

Rok 2017 jest poświęcony bohaterowi
walk o niepodległość Polski i Stanów
Zjednoczonych. Tradycja
kościuszkowska, do której odwoływały
się kolejne generacje Polaków
walczących o suwerenność,
jest bowiem żywa do dziś.



POLONA.PL

Był jedynym przywódcą powstania, od którego nazwiska wzięło ono nazwę. Nie mówi się o powstaniu marcowym – na wzór listopadowego czy styczniowego – ale o kościuszkowskim, co świadczy o wielkim szacunku dla Tadeusza Kościuszki. Był też najbardziej znanym Polakiem epoki, bohaterem walk o niepodległość Polski i Stanów Zjednoczonych. Zasłynął jako świetny i nowatorski inżynier, fortyfikator oraz dowódca, który potrafił z powodzeniem użyć niewyszkolonych, ale pełnych zapału żołnierzy przeciwko armii regularnej. Był, w obliczu doświadczeń amerykańskich, świadom potrzeby włączenia do walki o niepodległość całego narodu. „Siła ducha Kościuszki polega na tym, że on zawsze konsolidował, jednoczył Polaków. Kościuszcze nie przeciwstawiał się nikt, kto zdrowo myślał o ojczyźnie”, ocenia prof. Mieczysław Rokosz, prezes Komitetu Kopca Kościuszki w Krakowie. „Kościuszek reprezentował niezbywalne prawa narodu do bycia wolnym”. Do tradycji kościuszkowskiej będą się odwoływać kolejne generacje Polaków walczących o suwerenność.

WYBITNY INŻYNIER

Służbę dla ojczyzny rozpoczął, kiedy wstąpił do Korpusu Kadetów w Warszawie, który do historii przeszedł jako Szkoła Rycerska. Pod koniec 1766 roku Tadeusz Kościuszek dostał patent oficerski na rangę chorążego. Edukację wojskową kontynuował w Szkole Inżynieryjnej powołanej w Szkole Rycerskiej, gdzie oprócz zdobywania wiedzy z matematyki, geografii praktycznej czy rysunku brał udział w zajęciach terenowych z topografią i fortyfikacji. Ukończył również kurs taktyki.

W 1769 roku wyjechał do Francji, żeby kontynuować edukację. Niestety jako obcokrajowiec nie mógł studiować w słynnej École royale du génie w Mézières, ale zaliczył kursy przygotowawcze do tej szkoły. Uczęszczał również do Królewskiej Akademii Malarstwa i Rzeźby. Po powrocie do kraju okazało się jednak, że dla młodego i wykształconego oficera nie ma miejsca w mocno ograniczonej liczebnie armii. Trudna sytuacja życiowa, ale też chęć walki o ideały, w które wierzył, skłoniły go do wyjazdu do Ameryki. W 1776 roku dotarł na kontynent północnoamerykański, by wziąć udział w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Tutaj szybko doceniono jego umiejętności z dziedziny inżynierii wojskowej. Pierwszym zadaniem, z którego znakomicie się

wywiązał, było ufortyfikowanie Billingsport tak, aby zabezpieczyć Filadelfię przed atakiem angielskiej floty. Szybko dostał awans na inżyniera pułkownika.

W 1777 roku Kościuszek dostał przydział do armii gen. Horatia Gatesa i razem z nią wyruszył na północ. Pod jego nadzorem ufortyfikowano prawy brzeg rzeki Hudson, dzięki czemu Amerykanie odnieśli zwycięstwo pod Saratogą. Kapitulacja angielskich oddziałów miała znaczenie zarówno wojskowe, jak i polityczno-moralne, gdyż skłoniła Francuzów do włączenia się do wojny. Kiedy Gates opisywał w raporcie dla Kongresu przebieg bitwy, nie omieszczał wspomnieć, że „płk Kościuszek wybrał i oszańcował pozycję”.

Kolejne dwa lata Polak spędził na fortyfikowaniu rejonu rzeki Hudson, by zamknąć ją dla okrętów angielskich. Wchodził w konflikt z francuskimi inżynierami, którzy chcieli narzucić mu własne koncepcje. Ostatecznie, zgodnie z pomysłem Kościuszki, główny zespół fortyfikacji został umieszczony na wzgórzu West Point. Przez rzekę przeciągnięto potężny żelazny łańcuch, który miał zatrzymać angielskie statki. Ostrzelały go nadbrzeżne baterie. West Point sta-

ło się najpotężniejszą twierdzą Ameryki, a gen. John Armstrong skomentował, że Kościuszek „uzyskał sławę, nadając mu charakter i siłę, które odwiodły nieprzyjaciela od wszelkiego nowego zamiaru opanowania Krainy Wyżyn”.

W 1780 roku dowodzący siłami amerykańskimi George Washington, który osobiście znał i cenił Kościuszkę, przychylił się do jego prośby i przeniósł go do prowadzącej krwawą walkę z Anglikami armii Południa. Jednocześnie powierzył Polakowi stanowisko naczelnego inżyniera tej armii. Do jego głównych obowiązków należało organizowanie przepraw przez rzeki, więc zaprojektował płaskodenne łodzie, drewniane pontony transportowane na wozach. Wkrótce ten sprzęt uratował powstańców od klęski, bo umożliwił im szybką przeprawę przez rzekę Dan. Tadeusz Kościuszek wziął także udział w blokadzie Charlestonu, gdzie nie tylko kierował pracami inżynieryjnymi, lecz także prowadził walkę z mniejszymi oddziałami angielskimi, likwidował próby przemytu żywności do obrońców twierdzy czy podejmował służbę wywiadowczą (dowodził batalionem piechoty i szwadronem jazdy).



KOŚCIUSZKO WIERZYŁ W MOŻLIWOŚĆ SKUTECZNEJ WALKI ODDZIAŁÓW NIEREGULARNYCH, ZŁOŻONYCH ZE SŁABO WYSZKOŁONYCH, ALE ŚWIADOMYCH SWOICH CELÓW OCHOTNIKÓW PRZECIWKO ARMII REGULARNEJ



Tadeusz Kościuszko
pod Maciejowicami.
1794 rok

Wraz z końcem wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych – jako generał brygady armii amerykańskiej – postanowił wrócić do kraju. Po ośmioletnim pobycie w Ameryce Kościuszko żywił sympatię do rządów republikańskich oraz zmienił swoje podejście do sztuki wojennej. Uwierzył w możliwość skutecznej walki oddziałów nieregularnych, złożonych ze słabo wyszkolonych, ale świadomych swoich celów ochotników, przeciwko armii regularnej. Doceniał także znaczenie sztuki inżynierii, w tym umocnień polowych, w nowoczesnej wojnie.

PRZEWIDUJĄCY STRATEG

W polskiej armii znalazło się dla niego miejsce dopiero w okresie Sejmu Wielkiego. 12 października 1789 roku został awansowany do stopnia generała majora armii koronnej. Wiosną 1790 roku trafił do dywizji małopolskiej, a w wojnie polsko-rosyjskiej 1792 roku dowodził jedną z trzech dywizji tworzących armię koronną księcia Józefa Poniatowskiego. W czasie bitwy pod Zieleńcami jego oddziały stanowiły tylną straż, która uniemożliwiła Rosjanom okrążenie sił głównych. Wtedy Tadeusz Kościuszko został odznaczony orderem Virtuti Militari za to, że przyczynił się do zwycięstwa Polaków.

W lipcu 1790 roku Kościuszko stoczył bitwę pod Dubienką. Nie atakował przeprawiających się przez Bug Rosjan, lecz oparł obronę na ufortyfikowanym obozie na północ od Dubienki. Wzniesione przez niego umocnienia wywarły wrażenie nawet na dowódcy armii rosyjskiej gen. Michale Kachowskim, który tak je potem opisał: „Ustawiony we dwie linie w porządku bojowym na bardzo korzystnym miejscu, mając przed frontem błoto, umocniony przy tym mnóstwem baterii. Skrzydła dotykały się prawie do wsi Wola, leżącej w lesie blisko cesarskiej granicy, lewe – do wsi Uchańki przy Bugu i te ujęte były przez piechotę i konnych strzelców. Tak korzystną miejscowość przeciwnik obwarował ze znajomością najbardziej możliwą”. Rosjanom mimo czterokrotnej przewagi nie udało się rozbić oddziałów Kościuszki w tej najbardziej zaciętej bitwie wojny o „Konstytucję 3 maja”.

Po przystąpieniu króla Stanisława Augusta do konfederacji targowickiej i zakończeniu zmagani wojennych Tadeusz Kościuszko, podobnie jak książę Józef i wielu innych oficerów, odszedł z wojska. Po pobycie za granicą wrócił jednak do Polski, by stanąć na czele powstania w obronie niepodległości kraju. 24 marca 1794 roku zaprzysiął w Krakowie akt powstania, a za nim zrobiło to wojsko. Został jego najwyższym i jedynym naczelnikiem. Jeszcze tego samego dnia wydał

KOŚCIUSZKO DOCENIAŁ ZNACZENIE SZTUKI INŻYNIERII W NOWOCZESNEJ WOJNIE

manifest, w którym zwracał się do żołnierzy: „Wzywam od Was, stawam na czele waszym, Koledzy! Przyniosłem moje życie dla was! Odwaga wasza i obywatelstwo są mi rękojmią pomyślności kochanej Ojczyzny. Bądźmy jednym ciałem z obywatelami, łączmy się najściślej, łączmy serca, ręce i sposoby wszystkich ziemi naszej mieszkańców. Zdrada nam broń wytrąciła z ręki, niech cnota znowu tę broń podniesie, a wnet spadnie to ohydne jarzmo, w którym jęczymy”.

LEGENDARNY DOWÓDCA

Naczelnik natychmiast przystąpił do budowy armii powstańczej. W jego zamyśle składać się ona miała z trzech komponentów: stutysięcznej armii regularnej opartej przede wszystkim na poborze rekruta dymowego; milicji złożonej z nadwyżek rekruta, które nie zostałyby wchłonięte przez jednostki liniowe; pospolitym ru-



szeniu, obejmującym wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Kościuszko zamierzał zatem – wzorem amerykańskim – wyszkolonemu i dobrze zorganizowanemu przeciwnikowi przeciwstawić siły oparte na poświęceniu całego narodu.

Już 4 kwietnia 1794 roku doszło do wydarzeń, które stały się jednym z najważniejszych czynników tworzących legendę Kościuszki jako przywódcy narodu. W czasie marszu na Warszawę oddziały powstańcze stoczyły pod Raławicami bitwę z przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Gdy sytuacja polskich oddziałów stawała się krytyczna, Kościuszko postanowił zaryzykować i rzucił na przeciwnika odwód w sile 320 kosynierów oraz czterech kompanii piechoty. Prowadzeni przez Naczelnika kosynierzy wybiegli z parowu, w którym się ukrywali, i brawurowo uderzyli wąskim frontem na baterie nieprzyjaciela. Udało się rozbić część piechoty rosyjskiej i zdobyć działa. Następne uderzenie na prawe skrzydło Rosjan również zakończyło się zwycięstwem.

Chociaż wygrana bitwa pod Raławicami nie była wielkim sukcesem militarnym, miała ogromne znaczenie dla morale walczącego narodu oraz przyszłych pokoleń. Niejednokrotnie bowiem odwoływano się potem do tych wydarzeń. Tak w napisanym nazajutrz raporcie napisze Kościuszko: „Narodzie [...] racz poczuć na koniec twą siłę, dobać jej całkowitej, chciej być wolnym i niepodległym. Jednością i odwagą dojdiesz tego szanownego celu! Umysł twój przygotuj do zwycięstw i do klęsk, duch prawdziwego patriotyzmu powinien w obydwóch zachować swą tęgość i energię. Mnie nic nie zostaje, tylko wielbić twoje powstanie i służyć ci dopóki mi nieba życia pozwolą”.

Tymczasem w Warszawie i Wilnie wybuchły powstania, w których również postawiono na masowy udział ludności. Kościuszko po doświadczeniach w Ameryce doceniał wagę poparcia całego społeczeństwa dla insurekcji. Dlatego w obozie w Połańcu wydał słynny uniwersał, w którym znosił poddaństwo osobiste chłopów, zapewnił im nieusuwalność z ziemi oraz ograniczył pańszczyznę na czas powstania.

Tuż po klęsce pod Szczekocinami 6 czerwca wydał „Ordynans generalny do całej siły zbrojnej”, w którym zalecał przenosić działania powstańcze na tereny Rzeczypospolitej pozostające pod zaborem rosyjskim i pruskim. Chciał zatem osłabić przeciwnika przez akcje na jego tyłach. Tymczasem 27 czerwca ruszyła prusko-rosyjska ofensywa na Warszawę. Kościuszko podjął decyzję o stoczeniu bitwy na przedpolach stolicy. W ten sposób zyskał na czasie, by móc przygotować obronę miasta, oraz wpłynął pozytywnie na morale jego

mieszkańców, obawiających się klęski i represji ze strony Rosjan. Tak te walki ocenił potem historyk epoki Stanisław Herbst: „Obronę stolicy rozpoczynano w sytuacji poprawionej. Bitwa na przedpolu Warszawy wydobyła nowe, dotychczas nie ujawnione cechy: jednolite dowodzenie na odcinku 30 km, zastosowanie umocnień polowych w centrum, wytrwałą zaciętość na jednym skrzydle, zaczepne wystąpienie na drugim. Świadczyła o moralnej odporności żołnierza, przywracała zachwiane klęskami zaufanie wojska i ludności cywilnej do dowództwa”.

OBROŃCA WARSZAWY

10 lipca Kościuszko zarządził odwrót. Jego oddziały sprawnie przegrupowały się na stanowiska obronne stolicy. Około 23 tys. żołnierzy zostało zgrupowanych w trzech polowych obozach warownych, usytuowanych przed liczącą 11 km ciągłą linią okopów otaczających Warszawę od Żoliborza na północy po Łazienki na południu. Pracami fortyfikacyjnymi, do których zaangażowano wszystkich mieszkańców, osobiście kierował Kościuszko. „To, co najbardziej oryginalne i nowatorskie, to inżynierska obrona stolicy, pierwsza na tę skalę w historii nowożytnej wojskowości. Choć nie ostatnia”, ocenił Herbst. „Obrona stolicy to wykorzystanie ukształtowania jej powierzchni, zabudowy, tysięcy łopat, a w razie potrzeby karabinów i pik milicji municypalnej obok liniowego wojska. To również zorganizowanie zaplecza, produkcji armat i amunicji, szpitali, a nade wszystko zapasów, energii społecznej. Ten niepozorny Poleszuk stworzył tę Warszawę, którą znamy – walczącą i budującą”.

Ponadto, w obliczu zajęcia Wilna przez Rosjan oraz przygotowań do szturmów generalnych na stolicę Kościuszko wydał rozkaz do wybuchu powstania w Wielkopolsce, które miało m.in. odciągnąć uwagę Prusaków. Po trwającym kilka tygodni oblężeniu oddziały pruskie i rosyjskie rozpoczęły odwrót: Warszawa była uratowana. Było to – obok Raławic – największe zwycięstwo polskie w czasie insurekcji. Niestety, wskutek porażki na wschodzie sytuacja powstańców się pogarszała. O ostatecznych losach insurekcji zdecydowała bitwa pod Maciejowicami. W związku z opóźnionym przybyciem na pole bitwy dywizji gen. Adama Ponińskiego zostały przekreślone plany Naczelnika i doszło do klęski. Ranny Kościuszko trafił do niewoli. ■

PRZEMYSŁAW WYWIAŁ jest historykiem wojskowości, pracownikiem Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie



MUZEUM MARYNARKI WOJENNEJ W GDYNI

ul. Zawiszy Czarnego 1B
81-374 Gdynia
tel. 58 620 13 81

www.muzeummw.pl

SALE WYSTAWOWE

**EKSPOZYCJA PLENEROWA
BRONI I UZBROJENIA MORSKIEGO
OKRĘT-MUZEUM ORP „BŁYSKAWICA”**

Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni
gromadzi zabytki związane z historią
i tradycją morskiego rodzaju sił zbrojnych

Edukatorzy

Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni
proponują lekcje, zabawy i gry muzealne



KRZYSZTOF
KUSKA

Ostatnia deska ratunku



Wietnam, 29 kwietnia 1975 roku. Amerykanie przegrali wojnę i wycofują się z kraju. 30 kwietnia upadnie Sajgon. Tymczasem w bazie Tan Son Nhut do ostatniego lotu przygotowuje się południowowietnamski pilot instruktor mjr Phuong. To już ostatni sprawny samolot. Zostały jedynie wraki ponad stu innych maszyn, niektóre z nich wciąż płoną. Wokół pasa tłoczą się cywile, którzy dobrze wiedzą, że nowy reżim nie będzie miał litości dla miejscowych współpracujących z Amerykanami. Ludzie wciskają się w każdą możliwą szczelinę herculesa. Gdy loadmaster informuje dowódcę, że nie może zamknąć rampy, pilot decyduje się rozpocząć kołowanie i w pewnym momencie gwałtownie hamuje. Tłum przemieszcza się do przodu i samolot jest gotowy do startu.

Pilot musi teraz wykorzystać wszystkie swoje umiejętności oraz dosłownie każdy metr pasa startowego i znajdującego się tuż za nim bufora bezpieczeństwa. Samolot nie jest nowy, wszedł do linii 23 sierpnia 1957 roku i zaliczył sporo lotów w warunkach wojennych. W końcu maszyna wzbija się w powietrze. Lot, planowany na 80 minut, przeciąga się do 3,5 godziny, ponieważ pilot zgubił drogę nad morzem. W końcu samolot siada na lotnisku w Tajlandii w bazie Utapo.

Herkules nominalnie może przyjąć na pokład 92 pasażerów. Po wylądowaniu wysiadł z niego 452 osoby, z czego 32 znajdowały się w kokpicie. Wszyscy dolecieli cało. Maszyna po wykonaniu tego heroicznego lotu została przejęta przez Gwardię Narodową USA i zakończyła służbę w 118th Tactical Airlift Group w Nashville w stanie Tennessee. 28 czerwca 1989 roku wykonała swój ostatni lot do bazy Little Rock, gdzie można ją podziwiać do dziś.

Jeśli doskonale utrzymane samoloty wojskowe są w rękach wyśmienionych pilotów, to mogą oni zdziałać cuda, nawet pięciokrotnie przekroczyć dopuszczalne normy, ale róbmy wszystko, by cudów czynić nie musieli, a jedynie wykonywali swe zadania. Najlepiej – zgodnie z normami wynikającymi z instrukcji.



Dr KRZYSZTOF KUSKA jest ekspertem zajmującym się lotnictwem wojskowym.



MUZEUM MARYNARKI WOJENNEJ
PK/DZIAŁ GRAFICZNY

TOMASZ GOS

SMOK Z ELBLĄGA

**Pierwszy polski okręt był budowany w XVI wieku.
Nie ma pewności co do tego, jaki był to typ jednostki.
Wiadomo, że jego budowa nigdy nie została ukończona.**

Zeby zrozumieć, dlaczego Zygmunt II August postanowił stworzyć załazek polskiej floty, należy się cofnąć do okresu, w którym rządził jego ojciec. Za panowania Zygmunta Starego Polska uwickła się w wojnę z Rosją, w której stawką były przede wszystkim Inflanty (dzisiejsze tereny Łotwy i Estonii). Do tej wojny potrzebne były okręty. Król miał więc do wyboru budowę własnej floty albo wynajęcie statków kaperskich. Kaprami nazywano dowódców lub armatorów uzbrojonych statków handlowych, którzy w imieniu swojego mocodawcy brali udział w wojnie. Z reguły mieli oni prawo do zachowania większości łupów zdobytych w czasie walki. Zygmunt Stary wybrał porozumienie z kaprami. Niektórzy historycy dowodzą, że wystawienie w 1517 roku listu kaperskiego gdańszczaninowi Adrianowi Flintowi należy przyjąć za datę pierwszego podniesienia polskiej bandery na morzu.

Po śmierci Zygmunta Starego jego syn nadal rozwijał flotę kaperską. W 1563 roku Polska przystąpiła do sojuszu z Danią i Lubeką przeciwko Szwecji. Na Bałtyku rozgorzały walki. Rodzima flota kaperska z roku na rok się rozrastała, ale w porównaniu z Danią czy Szwecją wciąż była słaba. Wojna zakończyła się po siedmiu latach kongresem pokojowym w Szczecinie. Zanim to jednak nastąpiło, w 1567 roku król musiał przenieść bazę floty kaperskiej z Gdańska do Pucka. Państwa zachodnie uważały bowiem (niesłusznie zresztą), że flota kaperska jest gdańska, a nie polska. Wiązało się to z różnymi działaniami odwetowymi z ich strony, uderzającymi w gdańskie handel i żeglugę. To wywoływało ogromne niezadowolenie Gdańszczan.

Dodatkowo kaprzy czuli, że mają poparcie króla, dlatego też wysuwali w stosunku do władz miasta coraz to nowe żądania, co oczywiście jeszcze bardziej zaogniło sytuację między kaprami a Gdańszczanami. Przeniesienie bazy do Pucka nie osłabiło jednak animozji. W 1568 roku kilka statków kaperskich po przegranej potyczce ze Szwedami, było zmuszonych podczas sztormu schronić się w gdańskim porcie. Doszło wówczas do pozornie błędnego incydentu, który miał tragiczne w skutkach konsekwencje.

AWANTURA O KURY

Grupa kaprów chciała kupić żywność od jadących na targ Kaszubów. Wywiązała się kłótnia o ceny towarów. Doszło do bójki. Kaprowie ukradli kilka kur i uciekli. Oburzony tym incydentem burmistrz Gdańska Konstantyn Ferber posadził 11 kaprów biorących udział w rozboju na

ławie oskarżonych. Wszystkich skazano na śmierć przez powieszenie. Zwłokom obcięto głowy, które przyozdobiono różnymi wieńcami i wbito na pale umieszczone przy Wysokiej Bramie (obecnie Brama Wyżynna). Dodatkowo Rada Miasta Gdańska nakazała komendantowi tamtejszej latarni, by żądał od wszystkich jednostek kaperskich okazywania dokumentów oraz wyjaśnienia, skąd i dokąd płyną, a także określenia, jak długo zamierzają zostać w porcie. Zarządzenie to miało obowiązywać nawet w czasie burzowej pogody.

Okręty kaperskie niechętnie stosowały się do nowych procedur. Doszło do tego, że wkrótce po ogłoszeniu przez radę miasta zarządzenia obsługa latarni otworzyła ogień do kilku statków kaperskich. Jedna z jednostek została zatopiona. To oznaczało otwarty konflikt między Gdańskiem a Zygmuntem II Augustem. Król do zbadania tej sprawy powołał specjalną komisję, ale jej członkowie nie zostali nawet wpuszczeni za mury miasta. Burmistrza Gdańska (wraz z kilkoma innymi

gdańskimi urzędnikami) oskarżono o obrazę majestatu króla i wezwano do Lublina, gdzie został osądzony i na kilka miesięcy uwięziony w zamku.

MARZENIA O WŁASNEJ FLOCIE

Tymczasem stosunki polsko-duńskie stopniowo się pogarszały. W 1569 roku Duńczycy podstępem opanowali kilka polskich okrętów strażniczych w rejonie Rewala, a ich załogi uwięzili w Kopenhadze. Zygmunt August wiedział, że musi mieć regularną flotę z wyszkoloną załogą i uzbrojonymi okrętami, by coś znaczyć na Bałtyku. Statki kaperskie były zbyt słabe, żeby zmierzyć się z flotami innych krajów bałtyckich. Trzeba było znaleźć kogoś, kto miał doświadczenie w budowaniu okrętów, i miejsce, gdzie takie jednostki mogłyby powstać.

W grudniu 1569 roku Zygmunt August zawiadomił dożę Wenecji, że wysyła swojego przedstawiciela Antonia Angelego z zadaniem wyszukania i sprowadzenia do Polski budowniczego okrętów. Zezwolenie na pracę w służbie polskiego króla dostał Domenicus Sabioncellus, który w polskich dokumentach występuje jako Zaviazello. W tych aktach pojawia się jeszcze wzmianka o drugim budowniczym: Jakubie Salvatore. Obaj wykonali w Polsce model okrętu, który został zaakceptowany przez utworzoną w 1568 roku przez Zygmunta Augusta Komisję Morską, uważaną przez wielu historyków za załazek polskich władz morskich.





ELENA DUVERNAY/FOTOLIA, PK/DZIAŁ GRAFICZNY

GALERA

Okręt o napędzie wiosłowym, często wspomaganym przez żagle. Takie jednostki budowano od czasów starożytnych aż do XIX

wieku. Istnieje blisko 30 odmian tych okrętów. W XVI wieku jednym z typów galer była galeota – mały okręt żaglowo-wiosłowy. Była to

GALEON

Okręt żaglowy z XV–XVIII wieku. Miał kilkusetosobową załogę i był uzbrojony od kilkunastu do ponad 100 armat. Z reguły galeony to jednostki o wyporności kilkuset ton, mające od 30 do 55 m długości i od 7 do 14 m szerokości. Jednym z największych w historii był galeon „Adler von Lübeck” (Orzeł z Lubeki), zwany także „der Große Adler” lub „Lübscher Adler”. Został zbudowany w XVI wieku i należał do hanzeatyckiego miasta Lubeki. Miał 78,30 m długości całkowitej, trzy pokłady działowe i wyporność w granicach 2000–3000 t. Posiadał 138 armat, a załoga składała się z około 1000 osób.

szybka jednostka, mająca od 16 do 23 wioseł (po 2–3 ludzi na wiosło). Takich okrętów używano na Morzu Śródziemnym i Bałtyku.

Pozostało tylko wybrać miejsce budowy jednostki. Biorąc pod uwagę niezbyt dobre stosunki króla z Gdańskiem, wybór tego portu byłby zbyt ryzykowny. Okręt zaczęto więc budować w Elblągu, najprawdopodobniej na terenie Łasztowni, dużego obszaru znajdującego się poza murami miasta. Jan Kostka, prezes Komisji Morskiej, wyznaczył do nadzorowania budowy swojego podskarbiego Jana Bąkowskiego.

GALEON CZY GALERA?

Przez wiele lat historycy forsowali tezę, że pierwszy polski okręt był galeonem. Mieczysław Boczar w książce „Galeona Zygmunta Augusta. Próba rekonstrukcji”, na podstawie analizy zachowanych dokumentów związanych z powstawaniem jednostki, opisuje sposób jej budowy oraz podaje ilość zużytego drewna. Według niego ten okręt był właśnie galeonem. Jak twierdzi: „łączna liczba pracowników zatrudnionych przy budowie galeony elbląskiej w dniu 8 czerwca 1571 roku wynosiła (...) 43 osoby. (...) Do budowy okrętu [typu Galeon] za czasów panowania w Anglii Elżbiety I, stocznia w Deptford, budująca rocznie pięć statków, zatrudniała 228 osób, a więc 46 pracowników do jednej pochylni. Na podstawie porównania stanu zatrudnienia w Deptford i w Elblągu można przypuszczać, że poziom techniczny budowy galeony elbląskiej nie odbiegał w zasadzie od poziomu w stocznich angielskich z końca XVI wieku”.

Z kolei Bohdan Andrzej Kuliński w książce „Okręt jego królewskiej mości Zygmunta II Augusta. Historia galeonu, który nie był galeonem” stawia tezę, że pierwszy polski okręt był galera. Według niego tor wodny między Elblągiem a Morzem Bałtyckim był za płytki, żeby mógł go pokonać galeon, który z pewnością ugrzązłby na

mieliznie. Duńskie galery (o mniejszym zanurzeniu niż galeony) pływały natomiast po Zalewie Wiślanym w czasie konfliktu Stefana Batorego z Gdańskiem.

Autor zwraca także uwagę na to, że w dokumentach źródłowych słowo „galeon” występuje co prawda kilkanaście razy w różnych odmianach, ale w XVI wieku określano tak również galery. W źródłowych dokumentach nie ma też wzmianki o ławach wiosłarskich i wiosłach, w które wyposażano galery. Można to wytłumaczyć tym, że polska jednostka nigdy nie została ukończona.

SPRÓCHNIAŁY OKRĘT

Zwodowano go 14 czerwca 1571 roku. Prace wykończeniowe jednostki przerwała jednak śmierć Zygmunta II Augusta. Jego następca Stefan Batory wdał się w wojnę z Gdańskiem. 18 września 1577 roku flota duńsko-gdańska pod dowództwem Gdańszczanina Ferdynanda von Hardecka desantowała pod Elblągiem swoje wojska. Miasto zostało oblężone, ale mieszkańcy zdołali przenieść okręt w górę rzeki. Prawdopodobnie odrąbali maszt, by jednostka mogła przejść pod Mostem Wysokim.

Jakie były dalsze losy okrętu? Według niektórych historyków mógł zostać sprzedany przez króla, inni nie wykluczają, że uległ zniszczeniu przez długie lata zacumowany przy nabrzeżu. Istnieje notatka sporządzona w 1588 roku przez podskarbiego Jana Dulskiego z Malborka: „Od rozbierania okrętu starego w Elblągu, dla starości spróchniałego, wydane floreny 148, gr 2, denarów 12”. Jak podaje Jerzy Pertek w opracowaniu „Polacy na morzach i oceanach”, na dziobie okrętu była umieszczona, wykonana na specjalne zamówienie, głowa smoka. Dlatego też w literaturze historycznej pierwszy polski okręt funkcjonuje pod nazwą „Smok”. ■



MUZEUM WOJSK LĄDOWYCH w Bydgoszczy

ul. Czerkaska 2, 85-641 Bydgoszcz
tel. 261 41-20-26, fax 261 41-23-31

www.muzeumwl.pl

Znajdź nas na Facebooku 

Oddział w Toruniu

ul. Sobieskiego 24-28, 87-100 Toruń

tel. 261 43-24-66

fax 261 43-24-65

Oddział we Wrocławiu

ul. Obornicka 108, 50-961 Wrocław

tel. 261 65-74-23, 261 65-74-24





13 Galicyjski Pułk Ułanów atakuje włoskich Bersallierów podczas bitwy pod Custozzą – obraz Juliusza Kossaka

PIOTR KORCZYŃSKI

MIT GALICYJSKIEJ SOMOSIERRY

Dla kawalerzystów z 13 Pułku Ułanów szarża pod Custozzą okazała się pogromem.

Wieczorem 23 czerwca 1866 roku oficerowie 13 Pułku Ułanów urządzili szampańskie przyjęcie. Wprawdzie od kilku dni oddział był w polu, bo sprzymierzeni z Prusakami Włosi ośmielili się wypowiedzieć Austrii wojnę, ale świeże awanse zobowiązywały do tego, żeby szybko je uczcić. Dotychczasowy dowódca pułku, płk Ludwig Pulz, stanął na czele brygady kawalerii, a jego miejsce zajął ppłk Maksymilian Rodakowski, brat sławnego malarza i wielki miłośnik Henryka Sienkiewicza, którego dzieła tłumaczył na język niemiecki.

Gdy mocno zakrapiana alkoholem impreza rozkręciła się na dobre, płk Pulz wznosił toast za to, że wkrótce zdobędzie Order Marii Teresy. Wywołało to niebywały entuzjazm wśród jego podkomendnych, oficerowie składali przysięgi, że zginą, byle ich dawny dowódca dostał ten krzyż. Płk Rodakowski poprosił, by jego 13 Regiment jako pierwszy został wysłany do walki. Nie wszyscy biesiadujący byli jednak w radosnych nastrojach – na przykład rtm. Ernst Kasperlik przeżył zawód miłośny i obietnica, że jego regiment jako pierwszy uderzy na wroga dała mu nadzieję na szybką śmierć.

POLSKI REGIMENT

Ta mieszanina entuzjazmu i desperacji wśród oficerów już następnego dnia znacząco wpłynęła na historię jednostki, która w cesarskiej armii była nieoficjalnie nazywa-

na polskim regimentem. 13 Pułk Ułanów był jednym z najmłodszych regimentów w ówczesnej armii habsburskiej. Sformowano go w styczniu 1860 roku jako ochotniczy, ale z powodu braku odpowiedniej liczby kandydatów wcielono do niego dywizjony z 1, 2, 8 i 10 Pułku Ułanów. Jednostka nie miała własnego okręgu uzupełnień, a ochotników zamierzała zdobywać przez wolny werbunek prowadzony w Galicji i na Bukowinie.

Płk Ludwig Pulz, Morawianin, był doświadczonym kawalerzystą i jednym z reformatorów rakuskiej jazdy. Zorganizował m.in. eksperymentalną brygadę w kawalerii, w której kładziono nacisk nie tylko na manewrowość całej jednostki, lecz także indywidualne wyszkolenie żołnierzy – musieli świetnie jeździć konno, posługiwać się bronią białą i strzelecką, a także umieć pływać, co było novum w armii austriackiej.

W duchu tych reform także żołnierzy 13 Regimentu w taki sposób przygotowywano do nowych zadań – pełnienia służby patrolowej, współdziałania z innymi rodzajami broni i osłony własnej piechoty. 7 lipca 1862 roku oddział został przekształcony w regularny pułk ułanów. Do jednostki mieli trafiać poborowi z Galicji i Bukowiny, a jej etat ustalono na 1007 szabel i 854 konie w czasie pokoju, a w wypadku wojny liczby te miały wzrosnąć odpowiednio do 1072 i 929.

Początkowo regiment, wbrew temu jak później go przedstawiano, nie miał stricte polskiego charakteru.

TA SZARŻA OBROSŁA LEGENDĄ, CHOĆ STRATEDZYZ UZNALI JĄ ZA POMYŁKĘ

Większość szeregowych stanowili Rusini, a podoficerów – Czesi i Niemcy. Sytuacja zmieniła się w latach 1864–1865, gdy do pułku wcielono weteranów powstania styczniowego. Kilku z nich zostało promowanych na oficerów, jak porucznicy Karol Smolik i Zygmunt Longchamps de Bérier. To właśnie dzięki nim mieszkańcy Galicji uznali 13 Regiment za polski, choć nadal Polaków było tam stosunkowo niewiele.

POKAŻCIE, CO POTRAFIĄ UŁANI

Większość galicyjskiej opinii publicznej była zadowolona z wybuchu w 1866 roku wojny z Prusami i będącymi z nimi w sojuszu Włochami. By wspomóc armię cesarską, w Galicji rozpoczęto formować ochotniczy pułk krakusów Kazimierza Starzyńskiego. Tę inicjatywę poparło także środowisko Hotelu Lambert z księciem Władysławem Czartoryskim na czele. Liczył on nie tylko na pokonanie Prus, lecz także na możliwość austriacko-francuskiego przymierza przeciwko Rosji. W Galicji przede wszystkim wierzono, że po zwycięskiej wojnie zostaną rozszerzone prawa ludności polskiej. Nie dziwi więc, że oddziały rekrutujące żołnierzy z Galicji (oprócz 13 Pułku Ułanów dotyczyło to 1 Pułku Ułanów i 57 Pułku Piechoty) były postrzegane przez większość jej polskich mieszkańców za swoje, a ich sukcesy na froncie traktowane wręcz jako wygrane polskiego oręża.

Początkowo brygada kawalerii płk. Pulza, wzmocniona brygadą kawalerii płk. Augusta Bujanovicsa, stanowiła osłonę lewego skrzydła austriackiej Armii Południowej, maszerującej przeciwko Włochom w kierunku Werony. Kawalerzyści mieli prowadzić rozpoznanie i zwalczać nieprzyjacielską jazdę, ale do 24 czerwca nie udało im się nawiązać żadnego kontaktu z nieprzyjacielem.

Po nocnym przyjęciu, rankiem 24 czerwca do sztabu brygady Pulza dotarł rozkaz arcyksięcia Albrechta, zmieniający zadania kawalerii. Zakazywał on angażowania jazdy w początkowej fazie walki, by wykorzystać ją do pościgu strategicznego w razie wygranej bitwy, a na wypadek porażki – do osłaniania odwrotu. Dzisiaj nie można już rozstrzygnąć jednoznacznie, czy rozgorączkowani dowódcy kawalerii zignorowali ten rozkaz na wieść o natknięciu się na nieprzyjaciela, czy zbyt późno do nich dotarł.

O godzinie 7 rano płk Pulz dostał meldunek, że podjazdy wysłane przez niego na wzgórza wokół Custozzy natknęły się na dwa pułki włoskiej kawalerii. Dowódca wydał rozkaz natychmiastowego ataku na wschód od szosy Sommacampagna – Villafranca, który zgodnie z obietnicą

mieli rozpocząć ułani 13 Pułku wsparci przez 1 Pułk Huzarów i brygadę płk. Bujanovicsa.

Rodakowski zdecydował o natychmiastowej szarży, chociaż nie sprawdził, jakie siły w rzeczywistości ma przed sobą. Podpułkownik rozwinął swój oddział w linię i zakrzyknął: „Dzieci, za mną, i, jeśli nie będziecie mogli znaleźć

sztandaru, szukajcie mojej białej konfederatki. Pokażcie, co potrafia ułani Traniego! [książę Ludwik Maria von Trani był nominalnym zwierzchnikiem 13 Pułku]”. Trębacze zagrali sygnał do ataku i padła komenda: „Galopem!”. Trzy szwadrony ruszyły naprzód, a czwarty skierowano na lewą flankę pułku jako rezerwę. Kawalerzyści pędzili galopem w tumanach kurzu w kierunku niewidzialnego wroga. Nagle, niespełna 600 kroków od pozycji nieprzyjaciela, okazało się, że ułani wcale nie atakują pułków kawalerii, lecz tyralierę włoskiej piechoty! Żołnierze z 49 i 50 Pułku Piechoty, mimo gwałtownego ataku kawalerii, nie dali się zaskoczyć – szybko sformowali czworoboki. Jako pierwszy na taką nieprzyjacielską formację uderzył nieszczęśliwie zakochany rtm. Ernst Kasperlik. Przedarł się do środka, ale tam padł martwy. Nie zdołano rozerwać ani tego czworoboku, ani pozostałych. W jednym z nich znalazł schronienie następca tronu włoskiego książe Humbert.

Kawalerzyści, mimo strat, parli do przodu, omijali zieleń ogień i najeżone bagnety czworoboki. Finał szarży okazał się jednak podobny do tego, jaki spotkał kawalerię cesarza Napoleona pod Waterloo – skończyła się w przydrożnym rowie melioracyjnym, do którego wpadli rozpedzeni ułani. Zapanował kompletny chaos. Sam ppłk Rodakowski spadł z konia i dopiero po chwili dosiadł innego, którego odebrał jakimś szeregowemu. Dowódca miał jeszcze nadzieję, że na pomoc jego trzem zdziśiatkowanym szwadronom przyjdzie rezerwa. Niestety, w tumanach kurzu i dymu jego żołnierze całkowicie stracili orientację, pobłądzili i na koniec zostali pobici w samotnym ataku na wschód od szosy biegnącej do Villafranca.

Rodakowski rozpoczął odwrót i próbował skoncentrować rozproszony regiment. Udało mu się zebrać jedynie 200 kawalerzystów niedaleko Casino Polli. Podpułkownik, przybity krwawymi stratami i brakiem efektu szarży, wycofał resztkę pułku w kierunku Sommacampagna. Krwawa bitwa pod Custozzą dopiero się rozpoczynała i ostatecznie była zwycięska dla strony austriackiej. Dla 13 Pułku okazała się jednak pogromem. O Orderze Marii Teresy nie mogło być mowy, a dowódcy kawalerii



zaraz po bitwie musieli znaleźć jakieś argumenty wobec złamania regulaminu austriackiej armii, kategorycznie zabraniającego przeprowadzania szarży na piechotę przygotowaną do obrony.

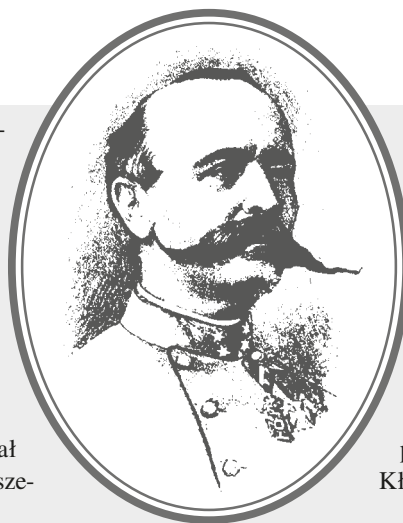
DUCH CUSTOZZY

Atak na włoskie czworoboki okazał się dla 13 Pułku Ułanów katastrofalny. W szarży wzięło udział 24 oficerów i prawdopodobnie 570 szeregowych, a straty wyniosły 12 oficerów, 288 żołnierzy i 300 koni. Do niewoli trafiło 25 ułanów, aż 131 zaginęło, reszta poległa lub została ranna. Włoska dywizja księcia Humberta, na którą szarżowali kawalerzyści 13 Pułku, w całej bitwie pod Custozzą utraciła 55 żołnierzy – tyle było rannych i zabitych. 13 Pułk przestał istnieć jako zwarty oddział. Jego dowódca

w raportach starał się wykazać, że atak na piechotę włoską był spowodowany brakiem widoczności. Podkreślał też, że szarża jego jednostki oraz kolejne ataki brygad Pulza i Bujanovicsa powstrzymały i skutecznie związały dywizję księcia Humberta. Tłumaczenia Rodakowskiego oraz jego przełożonego nie przekonały arcyksięcia Albrechta, który uznał, że samowolny atak 13 Pułku nie tylko nie przyczynił się do odniesienia zwycięstwa, ale wręcz doprowadził do przekreślenia jego planów strategicznych. Głównodowodzący stwierdził też, że cała kawaleria zawiodła jego oczekiwania podczas bitwy, gdyż okazała się niezdolna do wykonania strategicznego pościgu za wycofującymi się włoskimi wojskami.

Mimo tej surowej oceny arcyksięcia szarża 13 Pułku pod Custozzą szybko zaczęła obrastać legendą – zwłaszcza w Galicji. Krakowski „Czas” z czerwca 1866 roku w korespondencji z frontu włoskiego pisał entuzjastycznie o bohaterstwie galicyjskich kawalerzystów i tym też tłumaczył ich wielkie straty w bitwie pod Custozzą: „Ułani hr. Trani zaatakowali i rozbili jeden po drugim cztery nieprzyjacielskie czworoboki. Jeszcze zajęci rozpędzaniem czworoboków spotkali pułk ułanów włoskich, których również rozbili, lecz przez to wpadli pod ogień działowy nieprzyjacielski i wielu ludzi utracili”.

Dziennikarzom w sukurs poszli ówcześni wielcy bataliści – Juliusz Kossak i Ludwik Koch, którzy na swych płótnach przedstawili szarżę 13 Pułku. Im więcej lat upływało od rzeczywistych wydarzeń pod Custozzą, tym



PŁK MAXIMILIAN VON RODAKOWSKI POPROSIŁ, BY JEGO 13 REGIMENT JAKO PIERWSZY ZOSTAŁ WYSŁANY DO WALKI

bardziej kojarzyły się one Galicjanom z wielkimi zwycięstwami polskiej kawalerii. Mit dokonań 13 Pułku Ułanów osiągnął apogeum w latach 1906 i 1910, gdy z wielką pompą obchodzono w Galicji uroczystości rocznicowe jednostki. „Czas” z 1910 roku podkreślał, że „bitwa pod Custozzą przypomina najświetniejsze czyny polskiego żołnierza, przypomina Grunwald, Kircholm, Kluszyń, Chocim, Wiedeń, Olszynkę Grochowską”, a tekst kończył się zapewnieniem, że należy „oddać cześć tym, co chociaż nie za ojczyznę, ale bodaj za sławę polskiego imienia krew przelewali”.

„Duch Custozzy” zawładnął nie tylko galicyjskimi lojalistami. Po śmierci arcyksięcia Albrechta w 1895 roku, głównego oponenta kultu konia i szabli w armii austriackiej, romantyczna wizja szarży 13 Pułku Ułanów nie miała już żadnych przeszkód w c.k. armii. Wielkie bitwy z użyciem białej broni stały się podstawową doktryną wojenną austro-węgierskich kawalerzystów. Jak bardzo to było zgubne, okazało się już w pierwszych miesiącach wielkiej wojny, gdy oficerowie wychowani na legendzie szarży pod Custozzą nie potrafili stawić czoła rosyjskim dywizjom kawalerii, lepiej zorganizowanym i wyszkolonym, a przede wszystkim umiejącym walczyć pieszo.

Legenda 13 Pułku była żywa także wśród kawalerzystów Legionów Polskich. Wszak słynną straceńczą szarżę 2 Regimentu II Brygady pod Rokitną 13 czerwca 1915 roku poprowadził jeden z byłych oficerów 13 Pułku Ułanów – rtm. Zbigniew Dunin-Wąsowicz. Zginął razem z 64 ułanami, pokonawszy trzy pozycje rosyjskich tranzei, umocnionych zasiekami z drutu kolczastego i gniazdami karabinów maszynowych. Szarżę przeżyło sześciu ludzi. Jak wspominał ułan Andrzej Jakubowicz, który w czasie ataku dostał się do niewoli, zdumieni Rosjanie pytali go: „A mnogo wy dostali wódki?”. Na co indagowany odparł: „Ani grama”. „To wy gieroje”, odpowiedzieli z uznaniem żołdaci. Po uroczystościach pogrzebowych poległych ułanów kapelan II Brygady ks. Józef Panaś zanotował ze smutkiem w swym dzienniku: „Szarża ta była piękną i bohaterską, ale w każdym razie niepotrzebną omyłką, gdyż to samo zadanie mogła lepiej i z mniejszym ryzykiem wykonać piechota po odpowiednim przygotowaniu artyleryjskim”.

TADEUSZ WRÓBEL

Samotny lot nad Berlinem

W nocy 7 czerwca 1940 roku na Berlin spadły pierwsze bomby. Nalot przeprowadziła załoga jednego samolotu, Farman NC 223.4 Jules Verne, należącego do francuskiego lotnictwa morskiego, który po wykonaniu zadania szczęśliwie powrócił do bazy.

Na początku czerwca 1940 roku sytuacja militarna Francji była coraz gorsza. Z rejonu Dunkierki ewakuowano ponad 300 tys. okrążonych żołnierzy alianckich. Brytyjski korpus ekspedycyjny powrócił do ojczyzny bez ciężkiego uzbrojenia i pojazdów, które musiano pozostawić na plażach. Niemieckie jednostki kontynuowały marsz w głąb Francji. 3 czerwca 1940 roku Luftwaffe przeprowadziła wielki nalot na Paryż. W tej operacji, z udziałem około 200 samolotów, zginęło 250 osób, wiele zostało rannych. Francuzi w odwecie za uderzenie na swą stolicę postanowili zbombardować Berlin. Celem miała być fabryka Siemensu znajdująca się w północnej części miasta.

NIEZWYKŁY JEDYNAK

Problemem w przeprowadzeniu tej misji była odległość pomiędzy stolicą Trzeciej Rzeszy a kontrolowanymi jeszcze przez Francuzów lotniskami. Niewiele francuskich samolotów wojskowych było przystosowanych do pokonywania takich dystansów. Przez większość okresu międzywojennego nie planowano bombardowań strategicznych. Znaczenie takich działań bombowców docenił dopiero Pierre Cot, minister lotnictwa między czerwcem 1936 roku a styczniem 1938 roku. Otóż chciał on potroić liczbę bombowców poprzez sformowanie pięciu nowych eskadr bombowych, rekonwersję siedmiu z 12 eskadr obserwacyjno-rozpoznawczych, a także wyposażać pięć pozostałych w samoloty zdolne wykonywać bombardowania strategiczne. Jednak

większości zamierzeń Cota nie udało się zrealizować przed wybuchem wojny z Niemcami.

W czerwcu 1940 roku Francuzi musieli improwizować. Szansę na przeprowadzenie ataku na Berlin dał im przystosowany do celów militarnych czterosilnikowy samolot pocztowy Farman NC 223.4 Jules Verne. W 1937 roku trzy takie maszyny zamówiły linie lotnicze Air

France. Pierwszej nadano oznaczenie F-AJQM i imię Camille Flammarion. Drugi w kolejności był Jules Verne, oznaczony jako F-ARIN, a trzeci – F-AROA Le Verrier.

Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku trzy samoloty zostały przejęte przez wojsko i przekazane do lotnictwa morskiego. W kwietniu 1940 roku stacjonujący w Bordeaux Jules Verne wykonywał loty transportowe i patrolowe. Na lotnisku Toussus-le-Noble został przystoso-

wany do przenoszenia ośmiu 250-kilogramowych bomb. W tylnych drzwiach wejściowych z prawej strony kadłuba zamontowano karabin maszynowy kalibru 7,5 mm. Samolot wyposażono w celownik bombowy, autopilota i dodatkowe zbiorniki paliwa oraz pomalowano na czarno. Francuzi sklasyfikowali Julesa Verne'a jako „bombowiec pomocniczy”.

Pierwszą misję bojową sześciuosobowa załoga pod dowództwem kmdr. ppor. Henriego „Paszy” Daillière'a przeprowadziła w nocy z 13 na 14 maja 1940 roku, a jej celami były stacja kolejowa w niemieckim mieście Aachen i mosty w holenderskim Maastricht.





Dowódca pierwszego alianckiego ataku bombowego na stolicę Trzeciej Rzeszy kmdr ppor. Henri „Pasza” Daillière.

GERMAN FEDERAL ARCHIVES

BERLIŃSKA WYPRAWA ROZPOCZĘŁA SIĘ 7 CZERWCA 1940 ROKU O GODZINIE 15. FRANCUSKI SAMOŁOT DOTARŁ DO STOLICY TRZECIEJ RZESZY OKOŁO PÓŁNOCY, NIEZAUWAŻONY PRZEZ WROGA

18 maja bombowiec wykonał atak na wyspę Walcheren. Tego dnia oficjalnie utworzono 5 Eskadrę Bombową (B5), której dowódcą został Daillière. 19 maja jego samolot ponownie pojawił się nad Aachen. Jules Verne był też eskortą krążownika „Émile Bertin”, który 10 czerwca wyszedł z Brestu z 286 t złota z francuskich rezerw. Docelowym portem był kanadyjski Halifax, ale zmiana sytuacji politycznej spowodowała, że okręt zmienił kurs na należącą do Francji karaibską wyspę Martynika.

LOT OKREŻNY

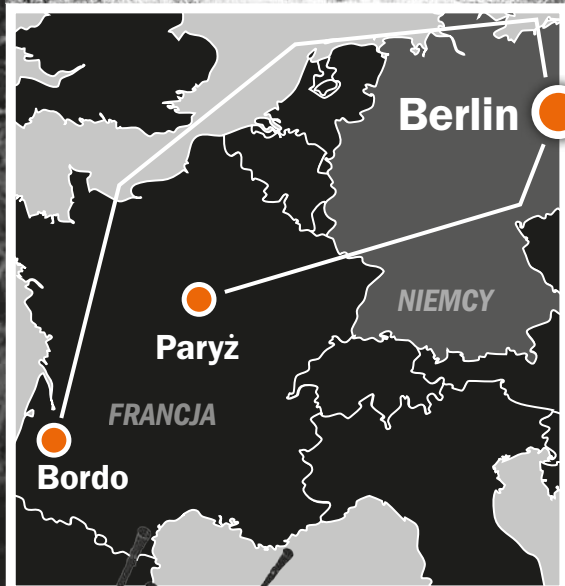
Julesa Verne’a przebazowano 6 czerwca 1940 roku z Lanvéoc-Poulmic w Bretanii do Bordeaux-Mérignac. Daillière postanowił polecieć nad stolicę Trzeciej Rzeszy z kierunku, który wróg uważał za bezpieczny. Francuski lotnik, wykorzystując duży zasięg swego samolo-

tu, wybrał okreśną trasę. Po starcie z rejonu Bordeaux bombowiec miał lecieć początkowo nad Francją, a potem nad kanałem La Manche i Morzem Północnym. Następnie, po przelocie nad okupowaną przez Niemców Danią, lecąc nad Bałtykiem, kierować się na Szczecin. Dopiero wtedy farman powinien skrócić na południowy zachód. Nad Berlin Daillière planował dotrzeć wieczorem, od północy. Aby uniknąć balonów zaporowych, obniżył wysokość lotu nad miastem do 100 m.

Przed nalotem na Berlin Jules Verne został uzbrojony w osiem podwieszonych pod kadłubem bomb o masie 250 kg, a do jego wnętrza załadowano jeszcze 80 sztuk 10-kilogramowych bomb odłamkowych i zapalających, które członkowie załogi mieli zrzucić ręcznie.

Berlińska wyprawa rozpoczęła się 7 czerwca 1940 roku o godzinie 15. Plan Daillière’a sprawdził się całkowicie,

Jules Verne został uzbrojony w osiem podwieszonych pod kadłubem bomb o masie 250 kg oraz 80 sztuk 10-kilogramowych bomb odtłamiakowych i zapalających.



Niemieckie armaty przeciwlotnicze uaktywniły się dopiero, gdy 250-kilogramowe bomby spadły na fabrykę Siemens.

aczkolwiek największym zagrożeniem okazały się dla bombowca okręty brytyjskie i francuskie, które – nie wiedząc o misji – ostrzelały farmana. Na szczęście niecelnie. Francuski samolot dotarł do stolicy Trzeciej Rzeszy około północy, niezauważony przez wroga. Obserwatorom z ziemi pewnie wydawało się, że przelatuje jakaś niemiecka maszyna. W momencie pojawienia się farmana Berlin był oświetlony. Niemieckie armaty przeciwlotnicze i reflektory uaktywniły się dopiero, gdy 250-kilogramowe bomby spadły na fabrykę Siemens. Dwaj członkowie załogi zrzucili ręcznie małe bomby. Strzelec pokładowy zaś większość amunicji zużył, strzelając do reflektorów. Ostatnim akordem było wyrzucenie nad Berlinem butów technika pokładowego Corneilleta. Po ataku Jules Verne poleciał dalej na południe, w kierunku Czechosłowacji, by dopiero później skręcić na zachód. Według planu samolot

miał wylądować na lotnisku w Chartres. Jednak było ono atakowane przez Niemców i bombowiec skierował się na paryskie Orly. Po zatankowaniu paliwa Jules Verne odleciał stamtąd do Bordeaux-Mérignac, gdzie wylądował po 13 godzinach i 40 minutach od startu. W tym czasie maszyna pokonała dystans około 4,8 tys. km.

Trzy dni po nalocie na Berlin załoga Julesa Verne'a znowu pojawiła się nad Trzecią Rzeszą. Tym razem Francuzi zrzucili bomby na zakłady lotnicze Heinkla w Rostocku. 10 czerwca 1940 roku Włochy przystąpiły do wojny po stronie Trzeciej Rzeszy. 14 czerwca pomocniczy bombowiec zaatakował skład paliw w porcie Marghera koło Wenecji. Dwa dni później dokonał nieudanego nalotu na Livorno. 18 czerwca zaś załoga Daillière'a wykonała ostatnią misję, podczas której zrzucono ulotki propagandowe nad Rzymem. Do chwili podpisania przez Francję zawieszenia broni 22 czerwca 1940 roku Jules Verne wykonał 17 lotów bojowych.

ZMIENNE LOSY

Po nalocie na Berlin niemiecka propaganda szalała. Jego uczestników nazywano piratami i oskarżano o użycie bomb chemicznych. Grożono Francuzom, że jeśli zostaną schwytani, to będą postawieni przed sądem jako przestępcy wojenni. Nalot wykorzystywała też francuska propaganda, twierdząc, że Berlin zaatakowała „formacja bombowców”. Francuzi podawali, że „wszystkie” ich samoloty wróciły do bazy.

24 czerwca 1940 roku trzy farmany NC 223.4 przeniesiono na lotnisko w Tuluzie. 15 sierpnia 1940 roku eskadra 5B (nowe oznaczenia eskadr w lotnictwie morskim Vichy wprowadzono 1 sierpnia 1940 roku) została rozwiązana. Julesa Verne'a Francuzi ukryli przed Niemcami w hangarze na lotnisku w Marignane koło Marsylii, w strefie, w której władzę sprawował rząd Vichy. Gdy po lądowaniu aliantów w listopadzie 1942 roku we Francuskiej Afryce Północnej wojska niemieckie wkroczyły do południowej Francji, ówczesny dowódca spalił Julesa Verne'a, by nie wpadł w ręce wroga.

Tragiczne były losy dowódcy pierwszego alianckiego ataku bombowego na stolicę Trzeciej Rzeszy. Daillière pozostał lojalny wobec władz Vichy. Po rozwiązaniu 15 sierpnia 1940 roku 5 Eskadry Bombowej służył w afrykańskich posiadłościach Francji. 31 stycznia 1942 roku został dowódcą lotnictwa morskiego w Afryce Zachodniej, którego bazy były w Dakarze w Senegalu. Zginął 11 października 1942 roku od kul wystrzelonych przez dawnych sojuszników. Brytyjski myśliwiec ostrzelał francuski bombowiec Martin 167F z 2 Flotylli, którym Daillière leciał, gdy przeprowadzał rozpoznanie rejonu Freetown, stolicy kolonii Sierra Leone. ■

TADEUSZ WRÓBEL

RODZINA FARMANÓW

W latach trzydziestych XX wieku francuskie lotnictwo wojskowe otrzymało kilkadziesiąt ciężkich czterosilnikowych bombowców.



Pomysł wprowadzenia do sił powietrznych ciężkiego bombowca nocnego pojawił się we Francji w drugiej połowie lat dwudziestych ubiegłego wieku. Ministerstwo lotnictwa w 1929 roku przedstawiło wymagania, jakie powinien on spełniać. Próbę skonstruowania maszyny podjęła firma Avions Farman, która tuż po zakończeniu I wojny światowej wyprodukowała ponad sto dwupłatowych bombowców F.50. Większość z nich została dostarczona francuskiemu lotnictwu wojskowemu.

NOWA KONCEPCJA

Avions Farman postanowiła, że jej bombowiec będzie górnopłatem o konstrukcji w większości metalowej. Zanim pojawiły się oficjalne wymagania, firma uruchomiła prace nad samolotami F.211 i F.212 wyposażonymi w dwa

silniki. Ich osiągi były jednak niezadowalające, dlatego postanowiono dokonać dużych zmian w konstrukcji. Według nowych założeń samolot miał być znacznie większy i wyposażony w cztery silniki, montowane po dwa w tandemie (jeden ze śmigłem ciągnącym, drugi z pchającym), umieszczone w gondolach podwieszonych pod skrzydłami. Jako jednostkę napędową wybrano początkowo silnik Hispano-Suiza 12Lbr o mocy 600 KM. Prototyp F.220.01 wzbił się w powietrze 26 maja 1932 roku. Maszyna jednak nie wzbudziła zainteresowania wojska i została przebudowana na cywilny transportowiec.

Niezrażona początkowym niepowodzeniem Avions Farman opracowała w 1933 roku drugi prototyp bombowca, oznaczony jako F.221.01, z silnikami Gnome-Rhône o mocy 730 KM. Maszyna miała stałe podwozie. Pierwszy raz wzbiła się w powietrze w maju 1933 roku.

Maszyny NC.223.4 trafiły do lotnictwa morskiego, w którym wykonywały misje patrolowe nad Atlantykiem oraz transportowe.



Potem zamontowano w niej mocniejsze silniki o mocy 800 KM i w tej konfiguracji zyskała przychylną opinię wojskowych decydentów. W grudniu 1934 roku zamówiono dziesięć maszyn w wersji F.221. Ich produkcję uruchomiono w Billancourt. Dostawy dla sił powietrznych zrealizowano między czerwcem 1936 a wrześniem 1937 roku. Maszyny trafiły do utworzonej w lipcu 1935 roku 15 Eskadry Bombowej, która powstała właśnie z myślą o potężnych samolotach Farmana.

Równocześnie Avions Farman kontynuowała prace nad modyfikacją ciężkiego bombowca. Wykonywano je na prototypie F.221.01, doprowadzając go do wersji F.222.01. Widoczną zmianą było chowane podwozie. Wyprofilowano skrzydła i poszerzono kadłub, co polepszyło właściwości aerodynamiczne maszyny. W tej wersji zainstalowano również nowe silniki, Gnome-Rhône 14 Kirs/jrs, o mocy 870 KM. Maszynę oblatano jesienią 1935 roku.

Na początku 1937 roku wojsko zamówiło 12 bombowców w wersji F.222.1, które weszły do służby wiosną tegoż roku. Siedem z tych samolotów dostała I Eskadra 15 Grupy Bombowej. Pozostałe cztery wysłano do 4 Eskadry w Tong, w Indochinach Francuskich. Do wersji F.222.1 zmodyfikowano część F.221.

Równocześnie opracowano wersję F.222.2, w której zmodyfikowano przednią część kadłuba. Dzięki nowemu, obniżonemu nosowi zmieniło się położenie wieżyczki strzeleckiej, co poprawiło pole obserwacji z kokpitu. W 1937 roku w Avions Farman zamówiono 24 bombowce F.222.2, które mogły przenosić bomby o łącznej masie do 4200 kg. Od grudnia 1937 roku trafiały one do II Eskadry 15 Grupy Bombowej.

Bombowce Farmana F.221 i F.222 miały jako uzbrojenie defensywne trzy karabiny maszynowe MAC wzór 1934 kalibru 7,5 mm. W F.221.01 były one rozmieszczone na dwóch osłoniętych stanowiskach w części nosowej i na grzbiecie oraz wieżyczce pod kadłubem (częściowo chowana). W produkcyjnych F.221 i F.222 karabiny były natomiast ulokowane w trzech wieżyczkach. Wersja F.221 mogła przenosić do 2200 kg bomb, a F.222 – 4190 kg. Ich załogi liczyły pięć – sześć osób.

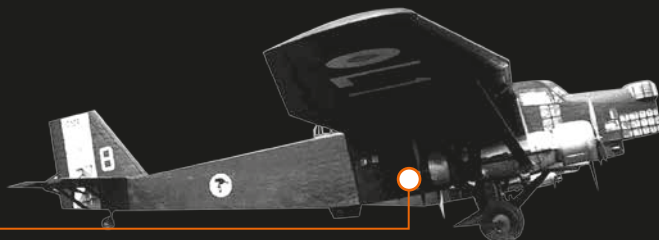
Następną wersją był samolot bombowy F.223, którego oznaczenie zmieniono na NC.223 (NC, czyli Nationale

POZA BOMBOWCAMI SIŁY POWIETRZNE DYSPONOWAŁY SZEŚCIOMA SAMOLOTAMI TRANSPORTOWYMI FARMAN F.224, W KTÓRYCH MIEŚCIŁO SIĘ 39 SPADOCHRONIARZY

Centre, ponieważ w 1936 roku zakłady produkujące farmany były częścią Société Nationale de Constructions Aéronautiques du Centre – SNCA-C). Jako jednostkę napędową wybrano silnik Hispano-Suiza 14Aa 08/09 o mocy 1050 KM. Ministerstwo lotnictwa zamówiło w maju 1937 roku 18 egzemplarzy NC.223. Jednak kontrakt ten niebawem anulowano. Rok później firma Avions Farman otrzymała nowe zamówienie na 15 maszyn, oznaczonych jako NC.223.3, z silnikami Hispano-Suiza 12 Y-29.

Ten wariant miał bardziej aerodynamiczny kształt kadłuba niż wcześniejsze konstrukcje ciężkich bombowców, skrzydła o mniejszej powierzchni i zmienionym kształcie oraz podwójne usterzenie pionowe. Zrezygnowano z wysokiej przedniej wieżyczki na rzecz osłoniętego stanowiska. Jako jego uzbrojenie zachowano karabin maszynowy kalibru 7,5 mm. Bombowiec na grzbiecie i pod kadłubem wyposażono też w nowe wieżyczki typu SAMM 109 z pojedynczym działkiem Hispano 404 kalibru 20 mm. Masa przenoszonych bomb wzrosła do 7000 kg. Według publikacji „Les derniers avions Farman” od listopada 1939 roku do marca 1939 roku wyprodukowano →

RODZINA BOMBOWCÓW F.220



Typ	F.220	F.221.01	F.221	F.222	F.222.1	F.222.2	F.223	F.223.3
Pierwszy lot	1932	1933	1934	1935	1936	1937	1936	1938
Długość (m)	21,02	21,52	21,52	21,57	21,57	22,57	22	22
Rozpiętość skrzydeł (m)	36	36	36	36	36	35,05	33,6	33,6
Powierzchnia skrzydeł (m²)	186	186	186	186	186	184	132	132
Typ silnika	Hispano-Suiza 12 Lbr	Gnome-Rhône 14 Kbrs	Gnome-Rhône 14 Kdrs	Gnome-Rhône 14 Kdrs	Gnome-Rhône 14 Kirs/Jrs	Gnome-Rhône 14 Kirs/Jrs	Hispano-Suiza 14Aa 08/09	Hispano-Suiza 12 Y-29
Moc silnika (KM)	600	730	800	800	870	870	1050	910
Masa pustego samolotu (kg)	8395	8775		10 700	11 000	11 000	9000	10 000
Masa maksymalna (kg)	14 265	14 320	17 800	15 500	18 700	18 700	18 000	19 190
Prędkość (km/h)	250	270	272	320	325	360	420	400
Produkcja	1	1	10	1	12	24	2	15

15 bombowców NC.223.3 (inne źródła podają, że powstało ich tylko osiem). Jednak pierwszy do 15 Grupy Bombowej trafił dopiero w czerwcu 1940 roku.

WOJENNA MOBILIZACJA

Poza wersjami dla wojska zakłady Farmana produkowały potężne czterosilnikowe maszyny na zamówienie linii lotniczych Air France. Po modyfikacji sprzedano im prototyp F.220, jako F.220B. Linie lotnicze nadały mu imię Le Centaure i wykorzystywały jako samolot pocztowy na trasie nad południowym Atlantykiem. Potem jeszcze zamówiły cztery podobne o oznaczeniu F.220.0.

W 1937 roku Air France zamówiły u Farmana trzy nowe maszyny do przewozu poczty, Farman NC.223.4., będące najbardziej zaawansowaną technicznie wersją z rodziny „220”. Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku samoloty zostały przejęte przez wojsko i przekazane lotnictwu morskiemu.

Na początku wojny lotnictwo bombowe sił powietrznych nie było wykorzystywane. Francuscy politycy nie godzili się na naloty na Niemcy z obawy przed odwetem Luftwaffe. W grudniu 1939 roku bombowce Farmana rozrzucały więc nad Trzecią Rzeszą tylko ulotki. Sytuacja zmieniła się dopiero w maju 1940 roku, po ataku Niemiec na Francję. Bombowce, głównie F.222, bo wcześniej F.221 przesunięto do zadań transportowych, zaczęły dokonywać nocnych nalotów na cele na terytorium wroga. Do momentu zawieszenia broni wykonały 63 misje bojo-

we. Podczas działań utracono sześć maszyn, w tym dwie z powodu trudnych warunków pogodowych.

W działaniach bojowych nie użyto F.223.3. Czternaście maszyn (jedną utracono w wypadku) ewakuowano w końcu czerwca 1940 roku z bazy w Reims do Afryki Północnej. Później cztery z nich przekazano Air France, które wykorzystywały dawne bombowce jako samoloty pocztowe dalekiego zasięgu.

Po wejściu w życie zawieszenia broni z Niemcami samoloty kurierskie zwrócono liniom lotniczym. Wycofane do Afryki Północnej bombowce Farmana lotnictwo Vichy używało zaś jako transportowce, przeformowując 15 Grupę Bombową w 15 Grupę Transportową. Ich część została zniszczona podczas walk w Syrii (od czerwca do lipca 1941 roku) i po inwazji aliantów na francuską Afrykę Północną w listopadzie 1942 roku.

Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku wojsko przejęło część samolotów Farmana od Air France. Maszyny NC.223.4 trafiły do lotnictwa morskiego, w którym wykonywały misje patrolowe nad Atlantykiem oraz transportowe. Jedną z nich, samolot „Jules Verne”, na przełomie kwietnia i maja 1940 roku przystosowano do przenoszenia bomb i włączono do utworzonej 5 Eskadry Bombowej (B5). Załoga Julesa Verne’a przeprowadzała nocne naloty na cele w Niemczech, Holandii i we Włoszech. Jej najgłośniejszą misją był rajd na Berlin. Po zawieszeniu broni samoloty NC.223.4 zwrócono liniom lotniczym Air France.

KRZYSZTOF
KUBIAK

Przeciw partyzantom



Wiek XX nie bez przyczyny bywa nazywany przez wielu badaczy historii woj-skowości epoką partyzanek. Chyba nigdy wcześniej rozmaitego rodzaju nie-regularne formacje nie odegrały tak istotnej roli w przebiegu wielu konfliktów. Nigdy też dotąd walka partyzancka nie stała się podstawową formą prowadzącą do rozstrzygnięcia orężnego. Taka sytuacja zmusiła regularne siły zbrojne do stosowa-nia nowatorskich rozwiązań taktycznych i operacyjnych, by podjąć skuteczne zma-gania z przeciwnikiem, który zazwyczaj unikał otwartego boju. W kilku przypad-kach uznano, że najskuteczniejszym sposobem uzyskania efektu zaskoczenia będzie posłużenie się desantem z powietrza.

Tak właśnie postąpili Niemcy w Jugosławii, gdy wiosną 1944 roku ich wywiad ustalił, że sztab pozostającej pod kontrolą komunistyczną partyzantki, z jej dowódcą Josipem Brozem-Tito, rozmieścił się w jaskini w pobliżu bośniackiego miasta Drvar. Zorganizowano wówczas kombinowaną operację, która otrzymała kryptonim „Rösselsprung” (skok konika szachowego). Jej plan zakładał, że powietrznodesantowy oddział SS zostanie wysadzony w rejonie bezpośrednio przylegającym do kryjówki partyzanckiego sztabu, w głębi terenu kontrolowane-go przez przeciwnika. Zadaniem oddziału było pojmanie bądź likwidacja Tity i jego najbliż-szych współpracowników. Żeby spadochroniarzy wesprzeć, w kierunku Drvaru nacierać miały siły zmotoryzowane wydzielone przez 7 Ochotniczą Dywizję Górską SS „Prinz Eugen” i 373 Dywizję Piechoty (chorwacką). Operacja rozpoczęła się o świcie 25 maja 1944 roku sil-nym bombardowaniem lotniczym pozycji partyzanckich. Niemcy zdołali opanować „cytadelę” Tity, ale opór stawiany przez partyzantów umożliwił mu wyrwanie się z okrążenia. Wkrótce des-ant został zepchnięty w rejon cmentarza w Drvarze, gdzie spadochroniarze i strzelcy przeszli do obrony. Odblokowały ich dopiero następnego dnia jednostki nacierające drogą lądową. Tito w tym czasie został przerzucony specjalnie wysłanym sowieckim samolotem do Bari, skąd Bry-tyjczycy przetransportowali go na wyspę Vis (Lisę).

Zupełnie inaczej potoczyły się losy afrykanerskiego ataku powietrznodesantowego na ango-lańską Cassingę. 4 maja 1978 roku w rejonie tego matecznika partyzantów SWAPO (Organiza-cja Wyzwolenia Ludu Afryki Południowo-Zachodniej), oddalonego około 250 km od granicy kontrolowanej przez RPA Namibii, wylądowało 370 południowoafrykańskich spadochroniarzy. Mieli zadać partyzantom maksymalnie duże straty, tak by na dłuższy czas uniemożliwić im pro-wadzenie ofensywnych działań infiltracyjnych na terytorium południowego sąsiada. Obóz party-zancki zdobyto. Stracono zaledwie trzech żołnierzy, a jednego uznano za zaginionego, podczas gdy straty przeciwnika oszacowano nawet na 6 tys. Następnie spadochroniarzy sprawnie ewakuowano śmigłowcami transportowymi. Próbując temu przeciwdzia-łać kubańską kolumnę pancerno-zmotoryzowaną skutecznie powstrzyma-ła afrykanerskie lotnictwo. Atak na Cassingę okazał się taktycznym suk-cesem, ale wizerunkową katastrofą, gdyż machina medialna bloku wschodniego podjęła narrację o masakrze bezbronnym uchodźców, a pod-chwycili ją tak zwani postępowcy na całym świecie. Na Republikę Połu-dniowej Afryki ponownie spadły gromy potępienia.



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI



Friese Meren w Holandii. 2 maja 2017 roku odsłonięto pomnik upamiętniający polską załogę bombowca Vickers Wellington IC z 305 Dywizjonu Bombowego „Ziemi Wielkopolskiej” im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

ANNA DĄBROWSKA

CI LUDZIE WALCZYLI O NASZĄ WOLNOŚĆ

**Holendrzy wydobyli z jeziora
szczątki polskich lotników i uczcili
ich pamięć.**

JACEK ZAGOZDZON / MUZEUM SIŁ POWIETRZNYCH W DEBLINIE

B

ombowiec Vickers Wellington IC o numerze R1322 SM-F wystartował 8 maja 1941 roku o godzinie 22.56 z lotniska Syerston koło Nottingham w Wielkiej Brytanii. Samolot należał do 305 Dywizjonu Bombowego „Ziemi Wielkopolskiej” im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, dowodzonego przez mjr. Bohdana Kleczyńskiego. Pododdział powstał pod koniec sierpnia 1940 roku i wchodził w skład Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii. Jego personel stanowili lotnicy, którzy po wrześniu 1939 roku dotarli tam przez Rumunię i Francję.

TRAGICZNY LOT

Za sterami maszyny zasiadł 30-letni pilot sierż. Jan Dorman, który przed wybuchem wojny służył jako instruktor w szkole lotniczej w Dęblinie. Drugim pilotem był plut. Zdzisław Gwóźdź, 26-letni rezerwista, zmobilizowany w sierpniu 1939 roku do 6 Pułku Lotniczego. Najstarszy w załodze, 33-letni kpt. Maciej Socharski, był nawigatorem. W Polsce służył w 1 Pułku Lotniczym w Warszawie jako dowódca 1 plutonu, a następnie obserwator. Radiooperatorem był plut. Henryk Sikorski, 24-letni żołnierz 5 Pułku Lotniczego. Na pokładzie służyło też dwóch strzelców pokładowych: kpr. Ludwik Karcz, 25-latek z Krakowa, w cywilu technik dentystyczny, zmobilizowany do 6 Pułku Lotniczego, oraz plut. Stanisław Pisarski, 26-letni żołnierz 5 Pułku Lotniczego. Załoga miała zbombardować Bremę, port i przemysłowe miasto w północnych Niemczech. Wellington był uzbrojony w cztery bomby o wadze 500 funtów każda, kontenery z ładunkami zapalającymi oraz osiem karabinów maszynowych kalibru 7,7 mm. Polacy mieli zrzucić bomby na strategiczne cele: stocznię, rafinerię, hutę i fabrykę samolotów Focke Wulf.

Kiedy maszyna znalazła się nad Morzem Północnym, została zaatakowana przez niemiecki myśliwiec Messerschmitt Bf 110. Bombowiec

trafiony serią z działka, 9 maja o godzinie 00.48 runął do sztucznego jeziora IJsselmeer. Wszyscy piloci zginęli. Kilka dni później miejscowy rybak wyłowił z wody ciała trzech polskich lotników. Trafiły one do niemieckiej bazy morskiej koło Amsterdamu, gdzie zidentyfikowano dwóch żołnierzy: sierż. Dormana i plut. Gwóźdźa. Trzeciego ciała, pozbawionego prawej nogi, nie rozpoznano. Wszyscy polegli zostali pochowani 20 maja na cmentarzu w Amsterdamie. Dwa miesiące później woda wyrzuciła na brzeg w okolicy wyspy Urk ciało kpr. Karcza. Żołnierz został pochowany na miejscowym cmentarzu, a w lipcu 1947 roku jego szczątki przeniesiono na cmentarz „Rusthof” w Oud-Leusden.

OSUSZONE JEZIORO

Wydawało się, że pozostali polscy lotnicy staną na dnie jeziora już na zawsze. Stało się jednak inaczej. Z IJsselmeer, które powstało po odgrodeniu zatoki Morza Północnego, jest wydobywany piasek, który wykorzystuje holenderska branża budowlana. W 2014 roku firma Royal Smals dostała pozwolenie na jego eksploatację w rejonie katastrofy polskiego bombowca.

Prace poprzedzono badaniem dna jeziora i wówczas nurkowie natknęli się na szczątki samolotu. Spoczywał zakopany w piasku 12 km na południowy zachód od miejscowości Lemmer. Nurkowie odnaleźli elementy silnika Bristol Pegasus, montowanego w vickers wellingtonach, i karabin maszynowy 303 Browning. Na podstawie badania dokumentacji lotów, przeprowadzonego przez ministerstwo obrony Holandii i po analizie odnalezionych fragmentów maszyny z dużym prawdopodobieństwem stwierdzono, że to wrak wellingtona R1322.

W środku samolotu znajdowały się szczątki lotników oraz bomby, które stanowiły zagrożenie. Z tego względu podjęto decyzję o wydobywaniu bombowca. Prace prowadzono na przełomie



1. Szczątki bombowca Vickers Wellington IC nr R1322 SM-F, które trafiły do Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie

2. Tabliczka znamionowa regulatora napięcia

3. Pistolet sygnałowy

4. Fragment dziennika bojowego 305 Dyonu mówiący o misji bombowca Vickers Wellington IC nr R1322

Evander Broekman, inicjator i koordynator akcji wydobywania wellingtona

DLA HOLENDRÓW JEST WAŻNE, ABY PAMIĘTANO O TEJ ZAŁODZE I ABY POLACY WIEDZIELI, JAK TRAKTOWANI SĄ TUTAJ BOHATEROWIE

sierpnia i września 2016 roku. Podjęła się ich firma Leemans Specialwerken, która zajmuje się m.in. poszukiwaniami lotniczymi. Wspierało ją holenderskie wojsko: saperzy oraz Sekcja Ratownictwa Morskiego i Identyfikacji Królewskich Sił Lądowych (Recovery & Identification Unit Royal Netherlands Army), która poszukuje żołnierzy zaginionych podczas II wojny światowej.

Wokół miejsca, w którym znajdował się wrak samolotu, wbito w dno stalowe elementy. Po połączeniu utworzyły

one szczelne ściany w kształcie prostokąta o wymiarach 25x36 m. Dzięki specjalnym pompom osuszono wydzielony fragment 900 m² dna, wypompowując z niego 4 tys. m³ wody. Pierwszy raz przeprowadzono w Holandii tego typu operację. Potem za pomocą dźwigu podniesiono maszynę z mułu i warstwą po warstwie przeszukano miejsce katastrofy. Koszt operacji wyniósł milion euro; 70% tej kwoty zapłaciła gmina De Fryske Marren, na której terenie odkryto wrak, pozostałe 30% zostanie pokryte →



KOMENTARZ

JACEK ZAGOŹDŻON

Holenderska akcja poszukiwawcza oraz ogrom środków i pracy, jakie ten projekt pochłoniął, są niesłuchanie ważne, przede wszystkim dla rodzin ofiar. Znajdujące się we wraku szczątki poległych polskich lotników zostały poddane badaniom DNA. Według relacji strony holenderskiej, pobrano wystarczającą ilość materiału, aby w laboratoriach holenderskiej armii zidentyfikować trzech członków załogi. Okazało się, że odnalezione fragmenty kości strzałkowej prawej nogi należą do pochowanego w Amsterdamie – do tej pory jako „nieznany lotnik” – Stanisława

Pisarskiego. Udało się więc przywrócić tożsamość kpt. Macieja Socharskiego, plut. Pisarskiego i plut. Henryka Sikorskiego. Ich uroczysty pochówek jest planowany na jesień tego roku w Holandii.

Do naszego muzeum trafiła część wydobytych szczątków samolotu Wellington: mocno uszkodzony, wygięty prawdopodobnie od uderzenia i niekompletny karabin Vickers.303, radio, rakietnica, elementy kokpitu, butle tlenowe, zawory, charakterystyczne elementy konstrukcyjne kadłuba, szczątki gumowego pontonu ratunkowego, klamry uprząży spadochronów, części mechaniczne silnika i instalacji pokładowych. Po dokładnym rozpozna-

niu, opisaniu i opracowaniu dokumentacji konserwatorskiej muzealia zostaną zabezpieczone i staną się częścią ekspozycji wraz z całą historią misji załogi oraz udokumentowanymi szczegółami akcji wydobywania. Muzeum z Evanderem Broekmanem, szefem grupy poszukiwawczej, pracuje teraz nad kolejnym projektem upamiętnienia lotników. Powstaną aplikacje mobilne, które pozwolą przenieść się wirtualnie sprzed pomnika do MSP i z muzeum do miejsca katastrofy w Holandii. ■

JACEK ZAGOŹDŻON jest pracownikiem Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie

z zysków ze sprzedaży piasku wydobytego z jeziora. Odnaleziono elementy kadłuba bombowca, części silnika, podwozia, łopat śmigła, kokpitu oraz fragmenty broni pokładowej. Wydobyto też cztery bomby lotnicze, które zdetonowano, oraz rzeczy osobiste załogi: rewolwer Smith & Wesson, guzik z orzełkiem, przyrządy nawigacyjne, nóż kieszonkowy, skórzany portfel, cztery zegarki, w tym jeden z napisem „Swojemu instruktorowi uczniowie 1939”, czyli należący do sierż. Dormana, a także bakelitowe słuchawki od hełmofonu z wrytym nazwiskiem „Sikorski”.

Numer seryjny silnika oraz hełmofon z nazwiskiem pozwoliły zidentyfikować samolot i we wrześniu 2016 roku ogłoszono oficjalnie, że znaleziony wrak bombowca Vickers Wellington Mark IC należy do polskiego Dywizjonu 305. Szczątki lotników trafiły do laboratorium holenderskiej armii, gdzie udało się rozpoznać kości trzech członków załogi: kpt. Socharskiego, plut. Pisarskiego i plut. Sikorskiego.

PAMIĘĆ O BOHATERACH

Holendrzy postanowili upamiętnić polskich lotników. Z inicjatywy władz gminy De Fryske Marren oraz Evandera Broekmana, szefa projektu wydobywania szczątków, w Oudemirdum we Fryzji postawiono pomnik poświęcony załodze bombowca. Zbudowano go z odnalezionych uszkodzonych łopat śmigła wellingtona i stanął nad jeziorem IJsselmeer, skąd w oddali widać miejsce,

gdzie samolot wraz z załogą spoczywał przez kilkadziesiąt lat.

W uroczystości odsłonięcia monumentu 2 maja 2017 roku wzięli udział przedstawiciele polskiej ambasady i Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie. Symbolicznie rozpostarto na łące obok pomnika ogromną, o powierzchni 400 m², szachownicę polskich sił powietrznych. Dostarczyło ją polonijne stowarzyszenie Hurricane of Hearts, promujące polską historię i tradycję w Wielkiej Brytanii. Uroczystość połączono z prezentacją książki o wydobywaniu wraku, prelekcją pracownika muzeum Jacka Zagożdżona na temat udziału polskich lotników w zmaganiach II wojny światowej oraz wystawą „17 000 powodów, by pamiętać”.

„Dla Holendrów jest niezwykle ważne, aby pamiętać o tej załodze i aby Polacy wiedzieli, jak traktowani są tutaj bohaterowie. W Holandii nie zapomnieliśmy, że ci ludzie walczyli także o naszą wolność, i chcemy, aby Polacy wiedzieli o tym”, mówił podczas uroczystości Broekman.

Pomnikiem będzie się opiekować grupa holenderskich kadetów morskich, do której należy syn Broekmana – Ewen. „Widziałem wiele filmów na temat II wojny światowej i pamiętam, że brało w niej udział dużo żołnierzy z Polski. Walczyli m.in. w dywizjonach myśliwskich. Byli bardzo dobrzy. To ważne, aby tutaj być, ponieważ Polacy byli bohaterami walczącymi o naszą wspólną wolność”, uważa Ewen Broekman. ■

KRAKÓW
SIEDZIBA
PCK

Skrzynia katyńska

Poszukiwania skrzyni z przedmiotami odnalezionymi w 1943 roku w trakcie niemieckiej ekshumacji ofiar zbrodni katyńskiej.

Badania georadarem przeprowadzone jesienią 2016 roku na podwórzu krakowskiej kamienicy, w której mieści się siedziba Polskiego Czerwonego Krzyża, nie wykryły żadnych obiektów, które mogłyby być skrzynią z pamiątkami ofiar zbrodni katyńskiej. Poinformował o tym prokurator Marek Klimczak z pionu śledczego warszawskiego Instytutu Pamięci Narodowej.

Chodzi o skrzynię z przedmiotami odnalezionymi w 1943 roku w trakcie niemieckiej ekshumacji ofiar zbrodni katyńskiej. Rzeczy przewieziono do Państwowego Instytutu Medycyny Sądowej i Kryminalistyki w Krakowie (obecnie Instytut Eks-

pertyz Sądowych), gdzie ich konserwacją i opracowaniem zajął się zespół dr. Jana Robla. Niemcy zorganizowali publiczną ekspozycję tych przedmiotów. **Część artefaktów z wystawy skradli i ukryli członkowie Armii Krajowej.** Według relacji niezującego profesora Akademii Górniczo-Hutniczej Jana Sentka, w ich ukryciu pomagał jego teść. Podobno część rzeczy zapakowano do drewnianej skrzyni i zakopano na podwórzu siedziby PCK przy ul. Studenckiej w Krakowie.

Podczas jesiennych poszukiwań przebadano wszystkie dostępne fragmenty podwórza, na którym miała zostać zakopana „skrzynia katyńska”.



BUNDESARCHIV

Mimo negatywnych wyników, PCK chce dalszych badań, bo uważa, że georadar nie daje stuprocentowej pewności. Dr Jerzy Ziętek z AGH przyznaje, że urządzenie nie wykryło np. rur kanalizacyjnych i wodociągów, które według planów się tam znajdują. AD ■

Opaska Leśnika

Zbiory Muzeum Powstania Warszawskiego wzbogaciła opaska powstańcza twórcy podziemnego przemysłu zbrojeniowego **plk. Jana Szypowskiego „Leśnika”**. Pamiątkę przekazała córka – Krystyna Szypowska. Dyrektor muzeum Jan Ołdakowski podkreślił, że powstańcze opaski są najcenniejszymi pamiątkami w ich zbiorach. „Każda staje się częścią ekspozycji i jest umieszczana w specjalnej gablocie”. Plk Szypowski był szefem Służby Uzbrojenia w Komendzie Głównej AK oraz dowódcą Zgrupowania „Leśnik”. Jego żołnierze walczyli na Woli, Muranowie, Starym Mieście, Czerniakowie i w Śródmieściu. Plk Szypowski wstąpił się także m.in. unieszkodliwieniem samobieżnej miny Goliat. AD ■



Dar maczkowców

Sala tradycji Czarnej Dywizji wzbogaciła się o eksponat z Kanady.

Mundur „battle dress” w barwach 1 Pułku Artylerii Przeciwpancernej podarowali sali tradycji 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej w Żaganiu weterani z Koła Nr 8 Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kana-

„Battle dress” w barwach 1 Pułku Artylerii Przeciwpancernej

dzie. Dar z Ottawy przekazał ppłk. Waldemarowi Szczepaniakowi, szefowi Wydziału Wychowawczego 11 DKPanc, plk Cezary Kiskowski, polski attaché obrony w Kanadzie.

Mundur należał do kpt. Mieczysława Makucha, który walczył w obronie Polski we wrześniu 1939 roku w 10 Brygadzie Kawalerii, a potem przez Francję i Hiszpanię dotarł do Wielkiej Brytanii. Tam otrzymał przydział do 2 Pułku Pancernego 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. W jej szeregach przemierzył cały szlak bojowy od Normandii do Wilhelmshaven. Po wojnie osiadł w Kanadzie, gdzie swoją drugą ojczyznę znalazło wielu maczkowców. AD ■

RAFAŁ MNIEDŁO/11 LDKPanc



OSP OCIESEK I JERZY KOWALCZYKOWIE



ANNA DĄBROWSKA

Polegli z kapitanem

Spoczywa tutaj 22 powstańców styczniowych.

To była jedna z większych bitew z Rosjanami w rejonie Gór Świętokrzyskich w trakcie powstania styczniowego. „Dnia 28 listopada 1863 roku stojąc z jazdą w Ociesękach zostałem zawiadomiony, że Moskwa w sile 3 rot piechoty, 2 dział i 1 sotni kozaków podąża gościńcem od wsi Cisowa”, napisał gen. Józef Hauke-Bosak w raporcie dla władz powstania.

Z ARMII CARSKIEJ DO POWSTANIA

Zadaniem sił rosyjskich było zlikwidowanie oddziałów powstańczych, które zaatakowały w nocy z 24 na 25 listopada Opatów. Polacy zabrali z kasy miejskiej ponad 35 tys. złotych, zdobyli też broń i amunicję. Rankiem 28 listopada Rosjanie wyruszyli z Kielc, aby przeczesać okoliczne lasy w poszukiwaniu Polaków.

Naszymi oddziałami na tym terenie dowodził gen. Hauke-Bosak. Oficer był synem carskiego generała Józefa Haukego. Po ukończeniu Korpusu Cesarskiego dla Małoletnich, a następnie Korpusu Paziów służył w carskiej armii. W 1857 roku był już adiutantem ministra wojny. Potem związał się z konspiracyjną grupą polskich oficerów i odszedł z rosyjskiego wojska. Gdy wybuchło powstanie styczniowe, włączył się do walki, zostając naczelnikiem województwa sandomierskiego.

Szefem jego sztabu był płk Zygmunt Chmieleński, też syn generała wojsk rosyjskich. Absolwent Aleksandryjskiego Korpusu Kadetów w Petersburgu i tamtejszej Akademii Wojennej służył jako porucznik artylerii armii carskiej w Warszawie. Potem, pod wpływem nastrojów patriotycznych zrezygnował ze służby i w 1861 roku uciekł na emigrację do Francji i Włoch, gdzie pracował jako wykładowca w Polskiej Szkole Wojskowej. Na wieść o wybuchu powstania oficer wrócił do Polski. W Krakowie brał udział w formowaniu oddziału kawalerii. Na początku września 1863 roku został awansowany na pułkownika i wojskowego naczelnika województwa krakowskiego.

Pod Ociesękami obaj polscy dowódcy zdecydowali, aby zaatakować Rosjan. Do dyspozycji mieli cztery kompanie piechoty i tyle samo szwadronów jazdy. W lasach rozlokowano oddziały piechoty, a w stronę Rosjan wyruszył oddział konny. Jego zadaniem było wciągnięcie nieprzyjaciela w zasadzkę. Kiedy Rosjanie zaatakowali powstańczą konnicę, Polacy cofnęli się, prowadząc nieprzyjaciela między ukryte w lesie oddziały.

„Starliśmy się z Moskwą bardzo pomyślnie. Strzelcy kpt. Tylmana po silnym i żwawym ogniu rzucili się na bagnety, przy czym zabrali nieprzyjacielowi 24 karabiny. Po godzinnym boju, w którym Moskwa poniosła wielkie stra-

ty, dowiedziawszy się że nadchodzi druga kolumna moskiewska nakazałem odwrót ku Rębówu, gdzie czekała na nas jazda. W czasie naszego odwrotu ku Rębówu, Moskałe zostali raz jeszcze zaatakowani przez trzecią kompanię mjr. Rębajły pod jego osobistym dowództwem”, opisywał w swoim raporcie gen. Hauke-Bosak. Mimo osiągniętej przez Polaków przewagi nadciągające rosyjskie posiłki zmusiły powstańców do wycofania się.

W walkach po stronie rosyjskiej zginęło 80 żołnierzy, kilkudziesięciu zostało rannych. Wśród Polaków było kilkunastu rannych i 22 zabitych, m.in. adiutant Olszewski o nieznanym dziś imieniu oraz dwudziestoletni kpt. Albin Tylman, dowódca kompanii piechoty w oddziale Chmieleńskiego.

NASI POLEGLI

Oficer następnego dnia po bitwie został wysłany do Ociesek, aby sprawdzić, co się stało z zabitymi. Dowiedział się, że Rosjanie przed świtem opuścili wieś, zabierając ze sobą swoich rannych na podwodach, a zabitych pochowali we wspólnych mogiłach za wsią.

Znalazł też martwych kolegów, odartych z odzieży przez Rosjan. Wieśniacy ponakrywali ich kawałkami płótna i słomą. „Zabici leżeli z twarzami tak pogodnymi, jak we śnie marzycielskim podczas lubych rojeń o wielkim jakimś szczęściu, o błogich rozkoszach życia, które właśnie na przekór tej mojej młodzieńczej ułudzie było już dalekie od nich”, opisywał uczestnik bitwy pod Ocieskami kpt. Zienkiewicz. W miejscowym kościele na środku nawy stał katafalk, otoczony świecami. „Na katafalku spoczywała odkryta trumna, obita czerwonym aksamitem, a w niej zwłoki poległego kapitana Tylmana, z czołem przeszytym kulą moskiewską. Charakterystyczna za życia bródka hiszpańska, którą zawsze starannie utrzymywał, dodawała mu i po śmierci nadzwyczajnego powabu”.

Całe zdarzenie opisano też w miejscowej parafialnej księdze zgonów: „Działo się to we wsi Ocieskach dnia trzydziestego listopada 1863 roku o godzinie drugiej z południa. Stawili się Jan Czechowski, włościanin gospodarz rolny wsi Mokradle, lat 47 mający, i Stanisław Król, włościanin gospodarz rolny z wsi Grodno, lat 60 mający, obydwa tamże zamieszkali, i oświadczyli nam, że w dniu dwudziestym ósmym listopada roku bieżącego od godziny dziesiątej z rana do godziny pierwszej z południa tu we wsi Ocieskach w wojnie zaszłej z wojskami cesarsko-rosyjskimi przez ten ciąg czasu poległo śmiercią od strzałów 22 żołnierzy ze strony powstańczej, z których dwóch świadkowie i lud parafialny poznali i oświadczyli nam iż jeden nazywa się Tylman, a drugi Olszewski, innych zaś dwudziestu nie znają”.

Powstańcy swoich poległych pochowali na cmentarzu parafialnym w ziemnej mogile, na której ustawili dębowy krzyż. Grób odnowiono w 1922 roku, a w następnych latach mogiłę odtworzono, nadsypano ziemią i postawiono nowy, trzymetrowy krzyż dębowy. Po 1945 roku okoliczni mieszkańcy postawili tam duży krzyż z rurek metalowych osadzonych w betonowym obmurowaniu oraz zamontowali tablicę granitową z napisem „Poległym za Ojczyznę”.

Powstał w ten sposób bezimienny grób symboliczny. Dlatego w 150. rocznicę wybuchu powstania styczniowego mogiła została całkowicie odnowiona. W lipcu 2013 roku Ochotnicza Straż Pożarna w Ocieskach zorganizowała uroczystość, podczas której po mszy polowej na cmentarzu nastąpiło uroczyste odsłonięcie i poświęcenie powstańczego grobu. Ziemia na mogile została utwardzona kostką brukową, położono też na niej granitową płytę z poprzedniej mogiły. Obok powstał cokół z płyt czarnego granitu, na cokole wzniesiono obelisk z czerwonego granitu, a za nim postawiono żelazny krzyż.

Na głazie zamocowano nową tablicę. Pod wyrytym na niej stylizowanym orłem w koronie umieszczono napis: „Tu spoczywa 22 powstańców styczniowych z oddziałów gen. Józefa Hauke-Bosaka poległych w walce za ojczyznę pod Ocieskami w dniu 28 XI 1863 r. Kpt. Albin Tylman dowódca kompanii strzelców, Olszewski adiutant oraz nieznan”. Lipcową uroczystość uświetniła inscenizacja bitwy sprzed 150 lat w wykonaniu Grupy Rekonstrukcji Historycznej „Pułk Żuawów Śmierci” z Buska-Zdroju.

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA

W 1863 roku dowodzący w bitwie gen. Hauke-Bosak i płk Chmieleński wraz ze swoimi oddziałami wyruszyli walczyć dalej i 16 grudnia stoczyli pod Bodzechowem przegraną bitwę z pułkiem dowodzonym przez Ksawerego Czengierego. W tej potyczce płk Chmieleński został ciężko ranny i dostał się do rosyjskiej niewoli. Trafił do więzienia w Radomiu, gdzie wyrokiem sądu wojskowego został skazany na śmierć. Rosjanie postawili polskiego oficera przed plutonem egzekucyjnym i rozstrzelali 23 grudnia 1863 roku.

Gen. Hauke-Bosak w grudniu 1863 roku objął dowództwo powstańczego II Korpusu Krakowskiego i razem z podległymi wojskami stoczył ponad 70 bitew na terenie województw krakowskiego, sandomierskiego i kaliskiego. Niestety 21 lutego 1864 roku pod Opatowem jego jednostki zostały rozbite. W kwietniu generał wyemigrował. Brał potem udział po stronie Francji w wojnie francusko-pruskiej i zginął pod Dijon 21 stycznia 1871 roku. ■

Panu ppłk. Piotrowi Tomali

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Rodziców

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Komponentu Wojsk Specjalnych.

**Panu ppłk. Pawłowi Wcisło
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego żalu, szczerego współczucia
i słowa wsparcia z powodu śmierci

Mamy

składają koleżanki i koledzy
z Wydziału Współpracy Zagranicznej
Oddziału Operacyjnego
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu kadm. Krzysztofowi Jaworskiemu,

Dowódcy 3 Flotylli Okrętów w Gdyni,
wyrazy współczucia i szczerę kondolencję
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencję
z powodu tragicznej śmierci

śp. szer. Daniela Dzika,

żołnierza batalionu zmechanizowanego 9 BBKPanc,
składa dowódca

9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska.

Pani Marzennie Sońnickiej

wyrazy szczerego współczucia
i głębokiego żalu z powodu śmierci

Brata

składają dyrekcja i pracownicy
Wojskowego Biura Historycznego
w Warszawie.

Słowa wsparcia

oraz wyrazy głębokiego współczucia

Panu mjr. Bogusławowi Wańko

z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
Szefostwa Obrony Powietrznej
Dowództwa Operacyjnego RSZ.

**Panu płk. Waldemarowi Masztalerzowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

najszczerze wyrazy współczucia, wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze i pracownicy
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych
w Bydgoszczy.

Szefowi Służb Technicznych IWsp SZ

**Panu płk. Waldemarowi Masztalerzowi
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają kadra i pracownicy wojska
Szefostwa Eksploatacji Sprzętu Inżynieryjnego
i OPBMR
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu kmdr. por. Mariuszowi Jelińskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
w tych trudnych chwilach po stracie

Żony

składają dowódca, kadra i pracownicy
3 Flotylli Okrętów w Gdyni.

Pani Magdalenie Borkowskiej

wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Teścia

składają kadra kierownicza, żołnierze i pracownicy
Szefostwa Finansów IWsp SZ.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Panu st. chor. sztab. Andrzejowi Bork

wyrazy szczerzego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Siostry

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
batalionu dowodzenia Marynarki Wojennej
w Wejherowie.

Panu st. chor. Sylwestrowi Kwapiszowi

wyrazy głębokiego żalu i szczerzego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze oraz pracownicy wojska
7 Brygady Obrony Wybrzeża
Słupsk–Łębork–Trzebiatów.

Pani Annie Michalskiej**oraz Jej Rodzinie**

wyrazy najszczerzego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, kadra i pracownicy
Dowództwa 3 Flotylli Okrętów.

„Nikt nie umiera na ziemi,
dopóki żyje w sercach tych, którzy zostają”.

Wyrazy głębokiego i szczerzego współczucia dla

Pana płk. Marcina Szaro

z powodu śmierci

Żony

składają kierownictwo, żołnierze i pracownicy
Jednostki Wojskowej Nr 5949.

Panu płk. Markowi Adamowiczowi,

szefowi Szefostwa Infrastruktury Inspektoratu
Wsparcia Sił Zbrojnych,

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składa szef Inspektoratu Wsparcia SZ
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska.

Wyrazy najszczerzego współczucia
szefowi Urzędu do spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Janowi Józefowi Kasprzykowi

z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Wojsk Obrony Terytorialnej.

Panu Mariuszowi Zagajnemu

starszemu specjalście

w Biurze do Spraw Umów Offsetowych

oraz Jego Rodzinie

wyrazy szczerzego współczucia oraz głębokiego żalu
z powodu nagłej i niespodziewanej śmierci

Matki

składają połączeni w żałobie i smutku
dyrektor, żołnierze oraz pracownicy
Biura do spraw Umów Offsetowych.

Panu płk. dr. inż. Jackowi Cichoszowi**oraz Jego Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Matki

składają kadra i pracownicy
Zarządu Planowania i Programowania Rozwoju
Sił Zbrojnych – P5 Sztabu Generalnego WP.

Wyrazy szczerzego współczucia
oraz głębokiego żalu

Panu płk. Sławomirowi Urbańskiemu**oraz Jego Rodzinie**

z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Elblągu.

Panu płk. Sławomirowi Urbańskiemu

komendantowi Oddziału Żandarmerii Wojskowej
w Elblągu

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerze
kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składają komendant główny, żołnierze
i pracownicy wojska Żandarmerii Wojskowej.

Panu płk. Sławomirowi Urbańskiemu

komendantowi

Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Elblągu
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej
w Warszawie.

Teresie Kępa

oraz Jej Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

Panu Waldemarowi Sokołowskiemu

wyrazy współczucia oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Żony

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

Panu st. chor. sztab. Janowi Popowiczowi

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze oraz pracownicy wojska
7 Brygady Obrony Wybrzeża
Słupsk–Łębork–Trzebiatów.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”.

Ks. J. Twardowski

Najbliższym i Rodzinie

Pana chor. sztab. rez. Arkadiusza Kowalczyka

wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu Jego śmierci

składają dyrekcja, żołnierze oraz pracownicy
Departamentu Administracyjnego MON.

11 maja 2017 r. zmarł nasz Kolega
chor. sztab. rez. Arkadiusz Kowalczyk.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie i Bliskim

składa w imieniu pracowników urzędu MON
Dyrektor Generalny
Ministerstwa Obrony Narodowej.

Z głębokim żalem żegnamy Prezesa Sądu,
kolegę i przyjaciela

płk. mgr. Jerzego Dziubę.

Wyrażając smutek z powodu odejścia
tak ważnej dla nas Osoby,

łączymy się w nieukojonym bólu

z Rodziną i Najbliższymi.

Szczególne wyrazy współczucia kierujemy
do Synów oraz Mamy.

Sędziowie i Pracownicy

Wojskowego Sądu Garnizonowego
w Szczecinie

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

Prezesa Wojskowego Sądu Garnizonowego
w Szczecinie

sędziego płk. Jerzego Dziuby.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie i Bliskim

oraz Pracownikom Wojskowego Sądu
Garnizonowego w Szczecinie

składają prezes i pracownicy Wojskowego Sądu
Garnizonowego w Warszawie.

„Nie umiera ten,

kto pozostaje w sercu i pamięci bliskich”.

Najbliższym i Rodzinie naszego Kolegi

chor. sztab. rez. Arkadiusza Kowalczyka

wyrazy najserdeczniejszego współczucia
i słowa otuchy z powodu Jego śmierci
składają koleżanki i koledzy

z Oddziału Zarządzania Nieruchomościami
Departamentu Administracyjnego MON.

Gen. bryg. rez. Adamowi Dudzie

w związku ze śmiercią

Ojca

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje
wraz z modlitewną pamięcią
składa sekretarz stanu w MON
Bartosz Kownacki.

Pani Małgorzacie Kowalczyk

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę żalu
z powodu śmierci

Męża

składają szef i zastępca
Oddziału Zabezpieczenia Żandarmerii Wojskowej.

Pani Małgorzacie Kowalczyk

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę żalu
z powodu śmierci

Męża

składają koledzy i koleżanki z Oddziału
Zabezpieczenia Żandarmerii Wojskowej.

**Panu mjr. Grzegorzowi Majka
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Warszawie.

Panu st. szer. Pawłowi Uranowskiemu

wyrazy głębokiego żalu

i szczerę współczucia

z powodu śmierci

Dziecka

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
resortu obrony narodowej
112 batalionu remontowego
w Giżycku.

Pani Krystynie Janiszewskiej

wyrazy głębokiego żalu

i szczerę współczucia

z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki
w Zegrzu.

Z głębokim żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

płk. Eugeniusza Kaczanowskiego.

Małżonce Dorocie

oraz dzieciom: Ewelinie i Kamili

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę żalu
składa dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
wraz z całym dowództwem.



Pamiętamy

mjr Marek Kaletka

2 czerwca 1994 r., UNIFIL Liban

mł. chor. Jarosław Maćkowiak

2 czerwca 2011 r., PKW Afganistan

plut. Tomasz Krygiel

8 czerwca 2004 r., PKW Irak

kpr. Andrzej Zielke

8 czerwca 2004 r., PKW Irak

st. chor. Jan Kiepusa

10 czerwca 2013 r., PKW Afganistan

plut. Miłosz Górka

12 czerwca 2010 r.,
PKW Afganistan

kpr. Grzegorz Bukowski

15 czerwca 2010 r.,
PKW Afganistan

por. Robert Marczewski

21 czerwca 2008 r., PKW Afganistan

mjr Witold Kowalczyk

23 czerwca 1994 r., UNPROFOR
Jugosławia

ppor. Wiesław Kuciński

23 czerwca 1994 r., UNPROFOR
Jugosławia

plut. Paweł Stypuła

26 czerwca 2010 r., PKW Afganistan

szer. Jerzy Suchodół

29 czerwca 1979 r., UNEF II Egipt

KSIĄŻKA

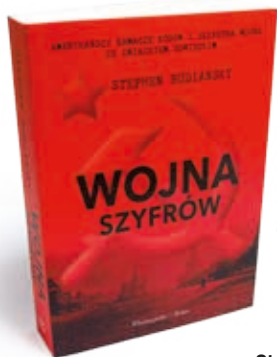
Zimna wojna kryptologów

Nie ma chyba w Polsce miłośnika wojskowości, któremu nic by nie mówiła nazwa „Enigma”. Wkład polskich kryptologów w złamanie szyfrów hitlerowskiej maszyny kodującej jest bowiem jedną z najjaśniejszych kart naszego wysiłku włożonego w zwycięstwo nad III Rzeszą. I mimo że już mniej osób połączy sprawę Enigmy z kryptologicznymi osiągnięciami Polaków w czasie wojny z Rosją w 1920 roku, którą wygrano m.in. dzięki odkodowaniu rosyjskich rozkazów operacyjnych, to wiadomo, że kryptologia ciekawi wielu Polaków. Dlatego książka Stephena Budianskiego „Wojna szyfrów” będzie cieszyć się sporym zainteresowaniem. Autor przybliży historię amerykańskiej National Security Agency (NSA), ze szczególnym uwzględnieniem trwającej pięć dekad walki o złamanie szyfrów i kodów służb radzieckich, a także tych używanych przez pozostałe państwa Układu Warszawskiego. Plusem tej publikacji jest podejście autora, który nie tworzy obrazu rywalizacji między dobrymi Amerykanami a złymi komunistami, lecz stara się zachować dystans. Pokazuje zatem

zarówno skłonności NSA do zdobywania wiedzy o wszystkim i o wszystkich, jak i bezwzględność służb bezpieczeństwa ZSRR. ■

KRZYSZTOF
WILEWSKI

Stephen Budianski, „Wojna szyfrów”, Prószyński i S-ka, 2017



KSIĄŻKA

Nowy początek

Wszystkiego zaplanować nie można. W pewnym momencie po prostu trzeba zdać się na los lub łut szczęścia i wyruszyć dalej – w nieznanne...

Odwieczną przyczyną przemieszczania się inteligentnych stworzeń jest poszukiwanie lepszych warunków życia. Nie zapominają o tym celu kosmiczni koloniści z wielu różnych inteligentnych gatunków i cywilizacji. Są to m.in.: salerianie, asari, turianie oraz ludzie ze stacji Nexus, zawieszonych w nowym bycie – galaktyce Andromedy. Miał to być ich nowy dom. Intrygujący i pełen wyzwań. Świat, w którym mogliby wieść pokojową egzystencję z innymi rasami. Tymczasem stał się ich przekleństwem...

Po gwałtownym wybudzeniu z kriostazy pionierzy dowiadują się, że ich stacja została prawie całkowicie zniszczona i bezwładnie dryfuje w pobliżu niezidentyfikowanej, ale śmiertelnie niebezpiecznej anomalii – nazwali ją Plagą – która opa-

nowała pobliskie systemy planetarne. Uświadamiają sobie, że zmierzają ku zagładzie. Mają teraz jedno zadanie – zidentyfikować zagrożenie i odbudować Nexusa. Żeby to osiągnąć, wszystkie rasy oraz ich liderzy muszą ze sobą współpracować. Nie będzie to jednak łatwe. Do głosu dochodzą stare, międzygatunkowe animozje. Pojawiają się sprzeczne, trudne do pogodzenia pragnienia i cele. Wzmaga się potrzeba kontroli i rywalizacja o ograniczone zasoby konieczne do przeżycia w tym ekstremalnie nieprzyjaznym środowisku. Powodzenie misji staje pod znakiem zapytania. Wszystko zmierza do wybuchu krwawego konfliktu... ■

PAWEŁ KĘPKA

Hough Jason M., Alexander K. C., „Mass Effect: Andromeda. Nexus Początek”, Insignis, 2017



KSIĄŻKA

Śladami broni V

Rakieta V-2 spowodowała więcej zgonów w trakcie jej produkcji niż w efekcie bojowego użycia.

Kiedy w nocy z 18 na 19 sierpnia 1943 roku lotnictwo alianckie przeprowadziło, w dużej mierze w efekcie informacji dostarczonych przez wywiad Armii Krajowej, nalot na poligon raketowy w Peenemünde, prowadzone tam prace zostały

przeniesione m.in. na tereny dzisiejszej Polski. Do roku 1989 niewiele było wiadomo w naszym kraju o broni V. Dopiero kiedy zmieniła się sytuacja polityczna i ujawniono dotychczas nieznane dokumenty, zaczęto wydawać książki poświęcone tej tematyce, udostępniono także do zwiedzania część poligonów. Nadal jednak mało jest publikacji o pracach badawczych i produkcji broni V w Polsce.

Marek Dudziak, entuzjasta historii i poszukiwania jej śladów, postanowił chociaż częściowo wypełnić tę lukę. Dotarł m.in. do meldunków wywiadu przemysłowego Komendy

KSIAZKA

Upadek Draenoru

Cała historia zaczęła się miliony lat wcześniej, kiedy tytan Sargeras stworzył demoniczną armię. Do jej poprowadzenia skłonił dwóch przywódców eredarów – Kil’jaedena Kłamcę i Archimonda Plugawego. Trzeci – Velen oparł się mrocznej magii tytana. Wraz z niewielką grupą współplemionców uciekł i schronił się na obcej ziemi. Osiedli tam jako tajemnicze istoty zwane draenei, czyli wygnancy. Wiele lat później ziemię tę, zwaną Draenorem, zamieszkują już waleczne plemiona orków. Prowadzą one spokojne życie, unikając międzyplemiennych kontaktów. Ich niepokój wywołują tylko tajemnicze znaki i przepowiednie, które zwiastują nadciągającą katastrofę. Aż w końcu, pewnego dnia zła magia opanowuje orcze ple-

miona i zwraca je przeciwko starożytnym dranei. Oprzeć się jej są w stanie tylko nieliczni, a wśród nich Durotan, przywódca klanu Mroźnych Wilków. Cena buntu jest jednak wysoka, a Draenoru ocalić już się nie da. Zebrane w jedną wielką hordę klany orków ruszają na podbój nowego świata.

Historię tragicznych wydarzeń w Draenorze, które stały się dla orków zarazem końcem, jak i początkiem, poznajemy dzięki synowi Durotana, Thrallowi. W „Narodzinach hordy” jest on jedynie narratorem, zwiastunem schyłku orczego świata. Fani Warcrafta wiedzą jednak, że w przyszłości odegra on bardzo ważną rolę w dziejach hordy. Dzieje całego uniwersum są bardzo rozbudowane i wielowątkowe, dlatego komuś, kto, próbując je rozgryźć, nie zarywa nocy przy komputerze, czasem ciężko się połapać, chociażby w chronologii. A w dodatku książki, chociaż silnie osadzone

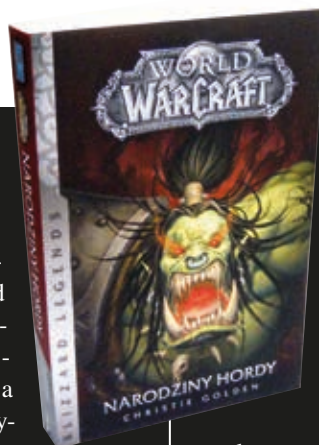
w realiach gry, żyją właściwie własnym życiem, niezależnie od tego, co dzieje się w wirtualnym świecie. Dobrze więc, że Insignis zdecydowało się opublikować

akurat tę powieść Christie Golden, bo od niej właśnie warto zacząć serię, by zachować chronologię wydarzeń.

„Narodziny hordy” po raz pierwszy zostały wydane ponad dziesięć lat temu i od tamtej pory autorka zdążyła już dopisać kilka części. Ta w dużej mierze opowiada o wydarzeniach, które zostały opisane w wydanych w ubiegłym roku promujących film książkach „Durotan” i „Początek”. Można je jednak śmiało odłożyć na półkę i poznać tę historię z czystym kontem. Od początku. A zaczęła się ona miliony lat wcześniej...

JOANNA ROCHOWICZ

Christie Golden, „World of Warcraft. Narodziny hordy”, Insignis, 2017



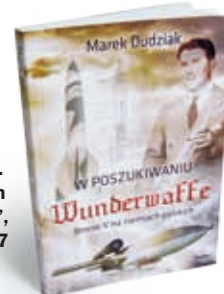
Główniej ZWZ/AK, a także wspomnień więźniów i pracowników przymusowych. Jak zaznacza autor, nie jest to pozycja wyczerpująca temat, nie wszystkie zebrane informacje zdołał zweryfikować, ale może się ona stać punktem wyjścia do dalszych badań. Dudziak nie tylko przybliży historię broni V (pocisk rakietowy V-1, rakiet balistyczna ziemia-ziemia V-2, dział V-3, rakiet ziemia-ziemia Rheinbote V-4), lecz także prowadzi czytelnika przez ośrodki szkoleniowe, poligony doświadczalne i ćwiczebne, wskazuje miejsca, gdzie pociski trafiały, oprowadza po zakładach produkcyjnych.

Wiele z tych miejsc skazanych jest na zapomnienie. O ich przeszłości świadczą niekiedy jedynie pozostałości stanowisk rakietowych, betonowa droga, resztki fundamentów budynków, ślady po liniach kolejki wąskotorowej, relikty umocnień ziemnych czy leje po wybuchach. Książka zainteresuje zarówno tych, którzy fascynują się bronią V – pełno tu bowiem szczegółów technicznych dotyczących jej budowy i działania – jak i poszukiwaczy śladów wojennej historii, ponieważ jest znakomitym przewodnikiem, wartym wykorzystania choćby podczas wakacyjnych wędrówek. Ciekawym

uzupełnieniem publikacji są liczne fotografie miejsc, o których autor opowiada, rysunki ilustrujące konstrukcję pocisków, mapy, m.in. ta z zaznaczonymi ośrodkami badań i produkcji broni V na terenie Polski, czy informacja o trasach turystycznych.

RENATA GROMSKA

Marek Dudziak,
„W poszukiwaniu
Wunderwaffe.
Bronie V na ziemiach
polskich”,
Replika, 2017



Płk Grzegorz Kaliciak jest jednym z bohaterów książki Bartłomieja Nowodworskiego o polskich wojownikach.

ARCH. PRYWATNE

KSIĄŻKA

Dwunastu wojowników

Od Zawiszy Czarnego
do Grzegorza Kaliciaka.

Bartłomiej Nowodworski, legendarny saper, którego określa się mianem komandosa epoki nowożytnej, zasłynął w walkach o twierdzę smoleńską. Po wielu miesiącach oblężenia Polacy zdobyli ją dzięki pewnemu podstępowi – Nowodworski zakradł się kanałami pod mury miasta i podłożył ładunek wybuchowy. W ten sposób ugotował polskim oddziałom drogę do twierdzy. Nazwisko Mikołaja Skrzetuskiego rozsławił Henryk Sienkiewicz. Tyle że pierwowzór jego świętoszkowatego bohatera bez skazy, Jana, był okrutnym zawadiaką i hultajem. W walce jednak niezastąpionym, czego nieraz miał dowiedzieć w starciach z Kozakami.

Jerzy Iwanow-Szajnowicz zyskał natomiast przydomek człowieka-ryby. W czasie II wojny światowej był agentem brytyjskiego oraz polskiego wywiadu i walczył w greckim ruchu oporu. Zasłynął z tego, że w ukryciu podpływał do okrętów wroga i instalował na nich miny magnetyczne. To zaledwie trójka z 12 Polaków sportretowanych w książce „Fighterzy. Najlepsi polscy wojownicy”. Marcin Szymaniak tłumaczy, że pokazał ludzi, którzy byli wojownikami „z krwi i kości, walczącymi

osobiście w najgorętszym wirze bitew”. Przypuszczam jednak, że autor miał niemały problem, by spośród wielu niezwykłych postaci z naszej historii – tej dawnej, ale też i najnowszej – wybrać tuzin. Widać jednak, że kierował się jeszcze jednym kryterium – opowieści o ludziach miały stworzyć historię polskich żołnierzy na przestrzeni kilku wieków. Cieszy mnie, że nie skupił się tylko na odległych w czasie historiach, lecz także pokazał współczesnego bohatera walk o Karabę – płk. Grzegorza Kaliciaka.

Opowieści o polskich wojownikach są znakomicie napisane – ze swadą, humorem, ale i rzetelnym oddaniem faktów. Dziennikarski warsztat autora sprawił, że powstały dynamiczne, napisane w reporterskim stylu historie z pełnokrwistymi bohaterami, mającymi nie tylko zasługi, ale też słabości.

ANETA

WIŚNIEWSKA



Marcin Szymaniak, „Fighterzy. Najlepsi polscy wojownicy”, Znak, 2017

KSIĄŻKA

Krav maga bez tajemnic

Akcja jest lepsza od reakcji. Każda obrona jest jednocześnie atakiem. Kontroluj otoczenie, a nie jednostkę. To kilka z podstawowych reguł systemu krav maga yashir. Jego twórca, Gershon Ben Keren, to instruktor z dwudziestoletnim stażem, posiadacz czarnego pasa w judo i krav madze, psycholog z wykształcenia. Krav magę określa mianem sztuki walki, choć przyznaje, że jeśli ma się niewiele czasu na jej naukę, to sprowadza się ją właśnie do samoobrony lub sposobu szybkiego zneutralizowania przeciwnika. W książce „Krav maga. Zaskocz, zniszcz, zniknij” mistrz przybliży tajniki swojego systemu.

Autor opisuje podstawowe umiejętności i techniki oraz możliwe scenariusze zagrożenia. Krav maga, a co za tym idzie także ta publikacja, są reklamowane jako dostarczające rozwiązań w realnych sytuacjach, takich jak choćby przyjęcie odpowiedniej pozycji obronnej wobec jednego lub wielu napastników. Książka prezentuje systematyczne i kompleksowe podejście do zagadnienia – każda technika bazuje na tych samych zasadach, dlatego opanowanie jednej pozwala na zastosowanie jej w różnych sytuacjach. Dodatkowo publikacja została wzbogacona o liczne fotografie, wykonywane podczas dynamicznych pokazów, bez pozowania.

Lektura nawet najlepszej książki nie zastąpi realnego treningu, ale pomoże uzupełnić wiedzę, a niektórych zainspiruje i zmotywuje do rozpoczęcia ćwiczeń.

PIOTR ZARZYCKI

Gershon Ben Keren, „Krav maga”, Bellona, 2017

PRAKTYCZNE PORADNIKI

KSIĄŻKA

Być profesjonalistą

W niektórych sekwencjach filmu „Snajper” z Tomem Berengem w roli głównej prowadzący ogień słucha uwag obserwatora, który przekazuje informacje o odległości do celu i prędkości wiatru. Są one niezbędne strzelającemu, by wprowadzić właściwe nastawy celownika tak, by pierwszym strzałem razić cel.

Szczegóły działania takiej dwójki przedstawił Jerzy A. Ejsmont w poradniku dla snajperów. Autor najpierw wyjaśnia zawiłości związane z określaniem miar kątowych i opisuje budowę celowników optycznych oraz siatek celowniczych. Wskazuje m.in., jak należy zgrywać celownik optyczny z karabinem

i w jaki sposób przeprowadzić test nastaw, by można było właściwie dokonywać pomiaru odległości od celu. Dużo uwagi poświęca balistyce wewnętrznej, w przewodzie lufy, ale prezentuje też zagadnienia dotyczące balistyki zewnętrznej, która ma decydujący wpływ na celność prowadzonego ognia. Wyjaśnia także, jak należy strzelać, jeśli cel znajduje się za szybą lub ukryciem w postaci metalowych elementów.

Jerzy A. Ejsmont przy opisywaniu zasady prowadzenia ognia posługuje się przykładami, które pozwalają lepiej zrozumieć kolejne fazy wła-

ściwego złożenia się do strzału, przygotowania broni i dania celnego strzału. Skupia się przy tym na wnoszeniu poprawek ze względu na wiatr i podaje w tabelach wartości, które dobry strzelec powinien znać na pamięć. Wspomina również o wpływie wilgoci i temperatury na celność ognia. Co ciekawe, pokazuje skutki błędów, których oczywiście każdy strzelec wyborowy powinien się wystrzegać. ■

JAN BRZOZOWSKI

Jerzy A. Ejsmont, „Balistyka dla snajperów. Praktyczny poradnik”, WNT, 2011



Jerzy A. Ejsmont, „Amunicja i jej elaboracja. Praktyczny przewodnik”, WNT, 2009

KSIĄŻKA

Nie dla amatorów

Publikacja z pewnością zainteresuje tych, którzy dużo czasu spędzają na strzelnicach. Osoby doskonałe swoje umiejętności strzeleckie ponoszą bowiem spore koszty związane z kupnem wyprodukowanej fabrycznie amunicji. Autor wychodzi naprzeciw wszystkim, którzy chcą się nauczyć elaboracji amunicji w domowych warunkach.

Oczywiście wszystkich elementów naboju nie można wykonać samodzielnie. Po strzelaniu mamy do dyspozycji tylko łuski, spłonki i proch musimy dokupić, a pociski możemy wykonać samodzielnie lub

zamówić u producenta. Po zgromadzeniu komponentów możemy scalić je w nabój. Autor książki opisał nie tylko, jak to zrobić, lecz także proces odlewania pocisków ołowianych. Omówił też części składowe naboju, ze szczególnym uwzględnieniem ładunków miotających, spłonek. Z jego książki możemy się też dowiedzieć, w jakie narzędzia do bezpiecznego mocowania poszczególnych części naboju i scalania go w całość trzeba się zaopatrzyć. Dla lepszego zrozumienia procesów elaboracji autor przedstawił w książce dwa z nich (do amunicji pistoletowej i karabinowej) w formie diagramu. Tabele elaboracyjne dla wybranych egzemplarzy

broni pozwolą na precyzyjne wykonywanie amunicji.

Co ważne, w książce zostały eksponowane informacje o niebezpieczeństwach, jakie mogą grozić, jeśli nie przestrzega się procedury w trakcie napełniania łuski prochem, scalania naboju, a także jakie to może mieć skutki podczas strzelania. ■

JAN BRZOZOWSKI

ANDRZEJ
FĄFARA

Między nauką a fikcją

Ostatnio sporo czytam o I wojnie światowej. I oglądam, bo są też albumy ze zdjęciami, które robią często większe wrażenie niż słowa. Poznaję rozmaite szczegóły, o których wcześniej nie wiedziałem, i stawiam sobie pytanie, co by było gdyby. Zawodowi historycy uciekają zazwyczaj od takich niepoważnych rozważań, ale ja jako amator mogę sobie na to pozwolić.

Pretekstem wybuchu wojny był, jak wiadomo, zamach na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie, do którego doszło 28 czerwca 1914 roku. Arcyksiążę był bratankiem cesarza Austro-Węgier Franciszka Józefa i oficjalnym następcą tronu. Wizytował wtedy Bośnię i Hercegowinę, która stanowiła część terytorium Cesarstwa. Serbia, popierana przez Rosję, nie akceptowała takiego stanu rzeczy. Nie akceptowała tego zwłaszcza ugrupowania ekstremistyczne, których nigdy na Bałkanach nie brakowało.

A co by było, gdyby do zamachu nie doszło? Mogło nie dojść, bo przecież podczas przejazdu arcyksiążęcej świty przez Sarajewo popełniono wiele błędów. Pierwszy, fundamentalny, zrobiono w momencie, gdy zamachowiec rzucił bombę w stronę kabrioletu, którym jechał Franciszek Ferdynand z żoną. Bomba odbiła się od opuszczonego dachu samochodu, spadła na jezdnię i eksplodowała pod tylnym kołem następnego pojazdu. Nie było wprawdzie ofiar śmiertelnych, ale 20 osób odniosło rany. Wyglądało to bardzo groźnie, a jednak program wizyty był kontynuowany! Trudno to doprawdy zrozumieć.

Arcyksiążę dotarł do ratusza, gdzie wygłosił przemówienie, po czym spytał cesarskiego namiestnika w Bośni, gen. Oskara Potiorka, czy będą jeszcze jakieś zamachy. Generał zaklinał się, że nie. „No to jedziemy dalej”, postanowił Franciszek Ferdynand. Sytuacja kabaretowa, chyba nie do pomyślenia w dzisiejszych czasach. Najpierw dostojni goście mieli odwiedzić szpital, gdzie godzinę wcześniej zawieziono rannych po wybuchu bomby. Tego punktu programu rozstawieni na trasie przejazdu zamachowcy znać oczywiście nie mogli. Traf jednak chciał, że znajdujący się na czele kolumny samochód nie skręcił w stronę szpitala, lecz pojechał zgodnie z pierwotnymi planami. Kawalkada, w tym kabriolet z arcyksięciem, na moment się zatrzymała. To wystarczyło serbskiemu gimnazjaliście Gavrilowi Principowi do oddania strzałów w stronę Franciszka Ferdynanda i jego żony. Strzałów, jak się okazało, śmiertelnych.

Czy doszłoby do wybuchu I wojny światowej, gdyby przejazd przez miasto został odwołany po pierwszym groźnym incydencie? Albo gdyby nie pomyłono drogi do szpitala? Albo gdyby już po zamachu Serbia zgodziła się na wszystkie żądania Austro-Węgier, w tym to najtrudniejsze, jakim było przeprowadzenie cesarskiego śledztwa na swoim terytorium? Poważni historycy niechętnie odpowiadają na tak postawione pytania. Trudno im się dziwić. Odpowiedzi, nawet najmądrzejsze, nie mogą mieścić się w ramach nauki. Są po prostu fikcją.

WYSTAWA
NARODOWA KOREI
POŁUDNIOWEJ

25 YEARS
LAT
MSPO

HONOROWY PATRONAT
PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY

XXV MIĘDZYNARODOWY SALON PRZEMYSŁU OBRONNEGO

5-8.09.2017, KIELCE

ufi
Member



Partner strategiczny:
PGZ
POLSKA GRUPA ZIECZENIOWA

WWW.MSPO.PL

Targi Kielce
exhibition & congress centre

TARGI DAJĄ WIĘCEJ

Sprawdź na:

■ www.targidajawiecej.pl

■ facebook.com/targidajawiecej

HISTORIA Polska Zbrojna

JUŻ
WKRÓTCE

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Twoja historia – Twoje życie!

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna